

Choking Agent

W stożkowym piecu zwanym Wielkim Generatorem temperatura spalanego koksu sięga 1200 stopni Celsjusza. W atmosferze VII kręgu dantejskiego piekła czarne złoto zostaje zgazowane w bezbarwną, bezwoną, cichą śmierć. Następnie schłodzona płaszczem wodnym Mora, wtłoczona pod ciśnieniem w szklanych rurek krwiobieg wędruje do cylindrycznych wież przemywających, gdzie zostaje oczyszczona z nadmiaru ziemskiego brudu. Kąpiel jej nie zaszkodzi, uspokoi, obniży temperaturę, złagodzi temperament przed kolejnym etapem przemiany, przed zespoleniem na grafitowym łonie aktywnego węgla z zielonożółtym ulubieńcem słońca tak bardzo znieawidzonym przez układ oddechowy. I oto jest. Niewidoczny obecny. Zrodzony ze światła. Śpi. Spokojnie oddycha, czeka, by w odpowiedniej chwili wypełnić serce taką ilością krwi, aż pęknie osierdzie uwalniając rzekę ognia.

Deutsch Eylau/Ława, 1 czerwca (niedziela) 1941 r.

On. Taki trochę chłopiec z plakatu, radosny harcerz z reklamy cukru. Objawił się o poranku w kształcie równoramiennym wpisanym w prostokąt otwartych drzwi. Rzeźki i krzepki. Doskonały jak wzór harmonicznego podziału. Wrócił, mój ci on. Pomyślała ona, Persila biała dama, pachnąca owsianką i toaletowym mydłem „Springbrunnen”. Higieną osobistą schludnej mieszczki uzupełnia przykazanie czystości. Brud, choroba, głód nie mają u niej najmniejszych szans. W przedsionku stoi i patrzy. Wzroku nie odrywa od jego wzroku. Przypomina instruktorkę Bund Deutscher Mädel[1] na porannym apelu. Jest prawdziwa, szczerą i prosta. Jest niemiecka. Taka do bólu praktyczna i zdrowa. Skupia na sobie uwagę, którą On ogniskuje w okolicach jej bioder. Wzbudza zainteresowanie w aureoli podziwu niczym przynajświętsza paniątka. Zachęca całą sobą do bliższego kontaktu na nieskazitelnej prześcieradła bieli. W ramach wstępu do duchowego odrodzenia chętnie udzieli lekcji gimnastyki na wykrochmalonej pościeli. Na co dzień dyskretnie uśmiechnięta, wdzięczna i skromna, aseptycznie uprzejma, powściągliwie wylewna teraz energicznie rzuca się, jak głodna wampirzyca na jego szyję. Na swych ustach czuje jak jego tętnica gorącym życiem wzburzonej krwi pulsuje. Smukłe palce z praktycznie przyciętymi paznokciami próbuje wbić w jego plecy. Już go nie wypuści, choć wie, że będzie musiała. Powitanie, jak ostatnie pożegnanie. Nieudolnie udaje zaskoczenie, tłumii emocje, z radości płacze. Przez łzy spostrzega, że objawienie o geometrycznie mocno zarysowanych konturach i masywnej bryle, dobrze się prezentuje w nowym, szarym mundurze, zdecydowanie lepiej niż w poprzednim, brązowym. Feldgrau ładnie podkreśla linię jego szerokich ramion, współgra z kwadraturą szczęki, framugą drzwi i gęstością łuku brwi. Kontrastuje przyjemnie z błękitem jego bystrych oczu. W tych jesiennych, polskich brązach nieodparcie kojarzył się z ludzkim gównem. Nawet pachniał podobnie: gotowanym grochem, kiszoną kapustą, przetrawioną wódką, końskim pączkiem na kocim łbie, lasem, zmierzchem, rydze, strachem, halnym wiatrem, piwnicą, obawą przed niepewną przyszłością, oczekiwaniem śmierci, końcem tańca. Teraz roztacza wokół woń pewności siebie. Wraz z nim do mieszkania wkracza zapach benzyny, trotylu i monachijskiego pilznera z odrobiną wyczuwalnej goryczki oraz radości promieniującej z jego łędźwi i mocnych kości. Na wysmaganej wiatrem gładkiej twarzy zadowolonego z siebie zdobywcy świata można wyczuć także nutę potasowego mydła do golenia i mentolowej pasty do zębów. Dbą o siebie. To oznaka zdrowia i hartu ducha. Jest w dobrej kondycji. Mieszanka jego aromatów wypełnia całą wolną przestrzeń wonną, pobudzając przyjemnie wszystkie węchowe receptory, uruchamiając ciąg miłych skojarzeń połączonych z dagerotypami radosnych wspomnień. Wnętrze niewielkiego mieszkania w czynszowej kamienicy na Karl Freyburger Strasse nr 10 powiększa się o dodatkowy wymiar triumfu woli. Tego właśnie od roku w tym miejscu brakowało. Mocnych akcentów. Testosteronu. Jednoznacznie sprecyzowanej mocy zapewniającej bezpieczeństwo. Tęsknoty uświadomionej na poziomie śluzowej błony. Powiewu męskiej świeżości. Mundur przylega do niego, jak druga

skóra. Dopasowany doskonale, jak prezerwatywa „Olla” do jego, no tego. Dopasowany idealnie podkreśla zalety, maskuje wady, informując jednocześnie o bojowym charakterze swego nosiciela. Maskuje i zabezpiecza, lecz ten umundurowany posiadacz błękitu oczu nie lubi prezerwatyw, nie lubi półśrodków, asekuranctwa, zdecydowanie jest wyznawcą pełni wrażeń. Naramienniki zdobi jedna, gęsto tkana, biała belka grubo rozsypanej kokainy. Gefrejter Leo Wilczynsky znowu jest na przepustce i Hanne, żoną jego będąc dobrze wie co to dla niej oznacza. Powrót męża na łono trzeba traktować dosłownie. Trzeba mu poświęcić więcej niż odrobinę nocnego wysiłku w ramach tęsknoty rekompensaty. Zostanie nieco zachwiana jej delikatna kwasowo-zasadowa równowaga, ale jest na to przygotowana. Od chwili ostatniego rozstania tego właśnie na wstępie się spodziewała. Doskonale wie, czego się od niej wymaga, jakie są jego oczekiwania. Wiele się już nauczyła i wiele zniesie dla szczęścia rodziny. Kocha Leona, a rodzina przecież jest najważniejsza. Potem zdrowie, dostatek, Bóg i narodowy socjalizm. Nie traktuje swej poddańczej, lecz pierwszoplanowej roli w kategorii przymusu ani poświęcenia, raczej jako zwykłą małżeńską powinność, prostą fizjologiczną czynność. Może odrobinę jest w tym aktorskiego zadania, ale z pewnością mniej niż metafizyki i smutku w jej oczach zwierząt kopytnych. Wszystko w imię miłości. Tak to sobie tłumaczy, choć imię miłości przybiera czasem zatrważająco niecodzienne formy. Bywają dni, że sama tego chce, sama do niego lgnie, jak ćma do ognia, ale teraz to nie ten czas. On jest zdobywcą. Inicjatywa jest jego domeną. Zapewne jest wyposzczony długim okresem rozłąki i szybko skończy. Lecz myli się Hanne. Leon wcale nie jest wyposzczony, wręcz przeciwnie. Jest zaspokojony i dodatkowo dobrze przygotowany, wytrenowany. O jego kondycję i brak abstynencji przez kilka miesięcy dbały najlepsze dziwki Beneluxu, jedne z wdzięczności za wyzwolenie z rutyny inne dla pieniędzy i rozrywki.

Przepustka Leona jest nieco inna niż poprzednio, ale różnice są czysto formalne, inne szczegóły graficzne, inne emblematy i język. Treść oraz sens pozostał ten sam, powitalno pożegnalny, wypoczynkowo wysiłkowy, określający przynależność i status będący nagrodą za służbę. Tylko wojsko jest zupełnie inne od poprzedniego. Choć struktura podobna to różnica jest zasadnicza, mniej więcej taka, jak między zwycięstwem a porażką. Za to Leon jest wciąż ten sam, może trochę schudł, ale wyszło mu to tylko na dobre. Jest bardziej wyżyłowany, wygłodniały taki charakterny i jednocześnie jakoś szlachetniej witalny, zahartowany w boju, znoju, gnoju. Sprawia wrażenie nieśmiertelnego. Na razie Leon jest wstrzemięźliwy, umiarkowanie podekscytowany, oficjalnie dobrotliwy i pobłażliwie zdystansowany. Delektuje się obrazem Hanne, upaja się drobnymi szczegółami, kosmykiem blond włosów za uchem, 234 rzęsami górnej powieki i 138 rzęsami powieki dolnej, zjeżonymi włoskami na alabastrowym karku, ruchem nadgarstka widmowym, akomodacją oka, serdecznym palcem słońca, różową płytką paznokcia z białą plamką świadcząca o niedoborze wapnia. Rozpływa się w zapachu jej słów prostych zębów, pszennego chleba, masła, białego sera i sody „Henko”. Leon wnika w pory jej gładkiej skóry, w mięśnie poprzecznie prążkowane i tkankę gładką, przesącza się do wnętrza, krąży jej ujarzmionymi prostym rytmem tętnicami bez śladu cholesterolu. Przypomina ją sobie całą. W najdrobniejszych szczegółach odtwarza topografię jej ciała, wszystkie wcięcia, wygięcia, łuki, linie proste i krzywe krzyżujące się pod różnymi kątami, liczy powtórzenia. Tak, to bez wątplenia ona, symetrycznie zapamiętana ta sama, znajoma, zbadana, niepodzielnie jedyna. Siedzi naprzeciwko przy kuchennym stole i błądzi wzrokiem ucieka, powraca. Leon patrzy i myśli o czymś zupełnie innym aniżeli mówi. Snuje fantastycznie smętne opowieści wypakowując prezenty ze swego plecaka obszytego sierścią, a ona słucha, udając zainteresowanie, a może nie. Opowiada, jak to jest gdzie indziej, w świecie, jakie różnice, zaskoczenia, podobieństwa i nieprawdopodobieństwa. Jak tęsknota wielka obgryza do białej kości samotność wojownika pod rozgwieżdżonym niebem Flandrii, kiedy widok ruin jest budujący, a ludzka krzywda powszednieje w swych coraz mniej zaskakujących, przewrotnych formach. Takie bajanie nieco cynicznego globtrotera amatora, mydlenie oczu, wciskanie kitu naiwnej ciemnocie z azjatyckim rodowodem, reklama swojej wersji wydarzeń jako jedyne obowiązującego opisu rzeczywistości. Pośród płynących niczym miód spadziowy słów na stole pojawiają się kolejno: francuskie pończochy bez nóg, rękawiczki z cielejącej skóry bez dłoni, belgijskie praliny z holenderskiego mleka i ziaren kakaowców z Kongo, brazylijska kawa egipska

chałwa oraz oryginalny amerykański Veet. Najprawdziwszy z prawdziwych krem do bezbolesnej depilacji zbędnego owłosienia. Wygląda jakby Leon ograbił sklep kolonialny. Hanne ogląda z radością pełną podziwu i szczerego zainteresowania te wszystkie skarby i oblicza w myślach, jak długo i w jakich pozycjach będzie musiała wyrażać swą wdzięczność.

Hanne jest z natury spolegliwa więc cierpliwie przeczeka. Bez problemu przetrwa czas próby, ale ten szelmowski uśmieszek w kącikach jego mięsistych ust nie wróży nic dobrego, nic złego także nie, może tylko coś niespodziewanego, ale z pewnością niegroźnego. Leon przecież nie jest jakimś tam pierwszym lepszym zbrodźcą, bywa nim na tyle jak bardzo pozwala małżeństwo i fantazja. A zarówno jedno, jak i drugie ma swoje naturalne ograniczenia. Przywykła do tego, że Leon potrafi być zaskakujący w poszerzaniu granic przyzwoitości. Lubi czasami zaskoczyć. Póki co, cieszy się podarunkami i mężem Leonem się cieszy i On także jest bardzo zadowolony ze schludnego domu i zadbanej żony, zadowolony, że taki zaradny, opiekuńczy, mądry i zorganizowany, taki doceniony, męski taki, wykazał się i budzi podziw zasłużony nawet bardziej niż zwykle. Zawsze sądził, że najważniejsze w życiu są dobre wybory. Teraz jest o tym przekonany, czując zapach świeżo parzonej kawy pieszczący jego nozdrza niemniej aniżeli oczy cudowny widok kochającej żony.

Leo Wilczynsky, kiedyś Leon Wilczyński, lat 30, niegdyś zdecydowanie mniej. Urodzony w Bischofswerder to znaczy w Biskupcu, tam też ochrzczony w kościele świętego Jana Nepomucena i Matki Bożej Różańcowej. Obecnie zamieszkały w Deutsch Eylau w narożnej kamienicy u zbiegu Schloß Straße i Karl Freyburger Straße dawnej Kaiserstraße naprzeciwko sklepu „Delikatesy i Destylaty” Christoph Scheminski. Mieszkanie na drugim piętrze nad redakcją Eylauer Zeitung dzieli wraz z żoną Hanne, kiedyś Janeczką z domu Nowicki. Na metrażu zaznacza swą obecność także dwuletnia córka Ana do niedawna nieistniejąca. Powołana do życia na jednej z przepustek w ciepłą sierpniową i cierpliwie zdradliwą noc w dogasającej kilka kilometrów dalej Polsce w zaczynającym się nieznanym świecie bez granic, w innych czasach, w innym mundurze i charakterze w odmiennej od dotychczasowej koniunkturze, w nowym cyklu rozrodczym ssaków łożyskowych. Wszystko się zmienia, ale On jest wciąż ten sam. Przystosowany do każdych warunków człowiek z pogranicza, kameleon. Nigdy nie zazna spokoju. Ten stan jest obcy jego naturze. Spokój jest dla niego równoznaczny ze stagnacją, a ta z powolną, wegetatywną śmiercią.

Leon nie lubi dzieci, ale lubi robić „te rzeczy”. Konsekwencją „tych rzeczy” niestety czasami bywa potomstwo. Chwila przyjemności, a potem lata niedogodności, taka kiepsko wyważona proporcja. Dożywotnia katorka na własne życzenie dopadła w końcu Leona. Córkę widzi na żywo i w kolorze po raz pierwszy. Jest o wiele brzydsza niż na czarno białym zdjęciu, które przysłała mu Hanne. Dodatkowo roztacza bardzo intensywny zapach, inny od wszystkiego, co kiedykolwiek wciągał w nozdrza. Dziwna to sytuacja, że na co dzień działając w batalionie siejącym śmierć i zniszczenie, od święta powołał do życia życie, nieświadomie równoważąc w ten sposób bilans ogólnych strat. Życie, na razie nieświadome własnego życia. Do zjawiska zwanego córką podszedł niczym do potencjalnego zagrożenia, profesjonalnie, nieufnie i asekuracyjnie jak do fugasa na polu walki. Bierze ją delikatnie na ręce, unosi w swych mocnych dłoniach przed oblicze swe, przyglądając się pod różnymi kątami, uważnie temu czemuś. Nie rozpoznał w niej żadnej znajomej istoty ludzkiej, żadnego podobieństwa do Hanne, a już tym bardziej do siebie. Widział już wcześniej inne dzieci, ale to było jakieś inne, było jego własnością. Mimo tego wydawało się bardziej obce niż naprawdę obce dzieci. I ta obcość zrodzona z różnicy była doznaniem dominującym z dnia na dzień pogłębianym uczuciem, dla którego więzy rodzinne nie miały żadnego znaczenia. Z wyglądu i wagi przypominała nieco granat moździerzowy 82 mm. W stosunku do granatów jakoś nigdy nie przejawiał uczuć wyższych ani nie odczuwał z nimi głębszych więzi emocjonalnych poza zwyczajnym uczuciem zagrożenia i ostrożnym dystansem. I wtedy Ana eksplodowała, a Leona okaleczyły odłamki panicznej bezradności. Zrozumiał, że od tego momentu płacz dziecka oznacza coś zupełnie innego niż dotychczas. Z odsieczą podażyła pozostająca w odwodzie, nieustraszona żona, pewna siebie i profesjonalnie opanowana, a przy tym promieniejąca pięknem gwiazdy ekranu, co najmniej jak jakaś Niemirzanka, czy inna Ina Benita. Zagrożenie zostało zneutralizowane.

Bezpieczny spokój nocnej wolności w oczekiwaniu na nagrodę. Patrzy na nią z sytym zachwytem a ona na niego patrzy błękitnymi oczętami, jak na bohatera kroniki filmowej Deutsche Wochenschau. Bez względu na mundur jednakowo przystojnego, wiernego i nieustraszonego bohatera romantycznie okaleczonego popędami racjonalizmu, naznaczonego bliznami odwagi lub strachu. W spojrzeniu Hanne jest zaproszenie, jakieś wyzywające wyznanie. Przynajmniej tak mu się wydaje. Czeką nocy, by mu sprostać. Jest czerwiec czterdziestego pierwszego roku, gorący i niespokojny niczym wrzątek w starym, aluminiowym garnku, w którym żona wygotowuje zasrane pieluchy. 21 Batalion Pionierów wraz z 21 Dywizją Piechoty właśnie wrócił do garnizonu w Elbing na zasłużony odpoczynek po udanej, aczkolwiek wyczerpującej wycieczce po Europie, więc Leon do domu ma teraz bardzo blisko. Wszystko układa się w spójną, sensowną całość. Rok temu podpisał volkslistę, opowiadając się po jedynej właściwej w zaistniałej sytuacji stronie, po stronie zwycięzców. Oni dyktują teraz warunki, modelują świat według uznania, formują niczym mokrą glinę, uzyskując pożądane kształty. Czysty pragmatyzm. Janeczka była w ciąży, a on w zawieszeniu, bez żołdu i perspektyw z nieciekawą przeszłością w wojsku polskim. Musiał przystosować się do nowych okoliczności i zrobił to najlepiej, jak potrafił. Mógł oczywiście pozostać dumnym lub martwym reprezentantem przegranej sprawy, idealistycznym trupem. Co prawda miałyby to w sobie ten tragicznie romantyczny polski wymiar z pierwiastkiem żywej martyrologii uwięzionej w tkance miękkiej, ale względy praktyczne wzięły jednak górę. Rodzina zawsze psuje idealizm, rozmontowuje go na bezużyteczne części. Gdy się jest szczęśliwym posiadaczem rodziny oraz nieodpartej woli życia wtedy trudno być szlachetnym marzycielem, aniołem miłosierdzia lub demonem zemsty z wyżyn obserwującym ludzkie bagno. Ostatecznie mógł przecież znaleźć zatrudnienie w fabryce smoły i papy u Hanne papy. Wybrał inaczej. Znaczy lepiej.

Wreszcie nadchodzi ta noc wyczekiwana, piękna i naga, intensywnie pachnąca pachami Hanne wonna aura kobiecej świętości. Rozkwitająca w pachwinach, w małżowinach, chłonnych węzłach, w ustach, na czereśniowych wargach w owocowych sadach skryta sprośna wiosna młoda cała jego, obfita, otwarta i oddana. Szerokie biodra, mocne uda, jędrne pośladki, którymi mogłaby łupać orzechy od laskowych po kokosowe. Wszystko takie użyteczne, a co najważniejsze w zasięgu ręki, dostępne, żywe, czułe. Leon zaraz rozpocznie pielgrzymkę neofity do miejsca niepokalanego poczęcia. Czuje puls chłonnych węzłów. Ciężkie, mleczne piersi o kasztanowych sutkach przygniecione owłosionym torsem Leona, naprężone, uwięzione w jego szerokich ramionach w szorstkich dłoniach zwiastują dobrobyt. Hanne w objęciach jak liana spleciona, unieruchomiona, zachęcająco rozchylona, rozszerzonymi naczyniami krwionośnymi przyzywa Leona. Wydziela dla niego strefy, produkuje soki. Pij, chleptaj, całuj, zryj. Nasycaj się powoli do woli. Za każdym razem, gdy wkłada w nią język, czuje, że zacieśniają się między nimi coraz mocniej więzy. Krew szybciej krąży po orbicie w odbycie. Pulsujący kwiat, unerwiony ukwiał. On żyje dla tej chwili, chciałby zatopić ją w bursztynie, unieruchomić siebie w niej uwięzić. Pragnie uchronić przed końcem noc przed słońcem niech nigdy nie przeminie czas rozpusty wypełnionej pustki zespolonej w mocnym ud uścisku z poczuciem spełnienia i wyzysku. Ta chwila jest nim całym, naprężonym i twardym chujem żelbetonem zbrojonym, tytanowym rdzeniem wzmocnionym. Zdolnym do przebicia sztywną szpicą bunkrów na linii Maginota albo pancerza pociągu pancernego w najgrubszym miejscu, na wylot, jednym ruchem, precyzyjnym pchnięciem z biodra. Jeden sztos i wszystko rozpiędalone. Każda twierdza zdobyta. Punkt oporu przełamany. Czysta energia. Ana za przepierzeniem schowana śpi najedzona, spokojna, zaszczana, do rana. W ciszy domowego zacisza Leon dyszy, kurcząc się i prężąc, napinając i rozciągając muskulaturę, zaginając przestrzeń w czasie, wykonuje ruchy niegodne filozofa, którym na szczęście nie jest. Ona wchłania go przez wszystkie pory w skórze, zasysa go wszystkimi możliwymi otworami pozostającymi do dyspozycji jego nienasyconej eminencji wilczego apetytu. Leon oczywiście chętnie skorzysta nawet na zapas ze wszystkich dobrodziejstw. Ma klucz do wszystkich drzwi, do każdej kłódki, zręcznymi palcami sapera pioniera odbezpieczy każdy rygielek, zdejmie każde zabezpieczenie, rozbroi każdą pułapkę. I odwrotnie równie łatwo uzbroi skumulowane ładunki, wetknie w sam środek zapalnik i w odpowiedniej chwili połączy dwa kabelki. Zrobi zwarcie, detonując olbrzymi ładunek

skumulowanej energii, uważając, aby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Jest gruntownie przygotowany na przezwycięzenie nawet najmniejszego przejawu oporu wynikającego z obawy lub choćby czystej przekory. Leon wie co i jak, co w co, po co, kiedy i jak głęboko, tudzież płytko. Leon bywa teraz w wielkim świecie, nabywając rozległej wiedzy o kobiecie. Zrywał naręczami córki holenderskich hodowców tulipanów, lizał gorzką belgijską czekoladę, szlifował diamenty w Antwerpii, a we Francji wiadomo. Ten kraj to antidotum na zatwardzenie każdego rodzaju. Depresje leczą syfilisem, a syfilis poematem. Można się tam pozbyć wszelkich zahamowań. Raj na ziemi, gdzie kobiety są jak butelka Beaujolais Nouveau, którą najpierw z przyjemnością się opróżnia, aby następnie z przyjemnym zawrotem głowy wypełnić. Francuzki nie znoszą próżni. Leon kobiety traktuje instrumentalnie nie tylko w sensie muzycznym, lecz także w znaczeniu głęboko teologicznym. W ujęciu świętego Tomasza z Akwinu, wedle którego zaspokajanie męskich żądz to główna rola tych nieczystych istot pozostających w przemożnej władzy wstrętu. Leon nauczył się grać na tym skomplikowanym ludzkim instrumencie. Gra na nim, jak wprawny organista na swym organach w katedrze najświętszych wygórowanych oczekiwań, wydobywając pożądane dźwięki, czasem jednakże w fałszywej tonacji, lecz nigdy niepozbawione prawdziwych emocji. Na szczęście nie ma tu melomanów wyczulonych na czyste dźwięki. Temat ten zawsze go bardzo interesował i zatracił się zupełnie w tym zagadnieniu, w podnieceniu, bez zmysłów, ironii, poza kontrolą. Praktykuje na Hanne nowe techniki zaspokajania swych pragnień, wzbogacając jej drobnomieszczańską moralność o nieznane jej dotąd ogólnie trudno akceptowalne elementy czystej perwersji balansującej na granicy przyjemności i bólu. Na szczęście skrywa je tajemnica alkowy. Nie wszystko jej się podoba, niektórych rzeczy nie lubi, sprawiają jej przykrość, zawstydzają. Niektóre wręcz brzydzą, inne wręcz przeciwnie pozbawiają ją wstydu, w jego miejsce konstruując tajemniczo mroczną piramidę przyjemności na krawędzi przytomności. Leon eksperymentuje i nawet nie wie, że znowu jest w pułapce, w rozrodzkiej klatce. Z przodu z tyłu z góry z dołu z boku na plecach w rozkroku twarde w miękkie, sprężyste w mięsiste ciała jamiste. Wprawia w wibracje wszystkie dewiacje, powietrze drży jak jędrne uda żony. W Tokio wzbudzają się sejsmografy. W Islandii obsuwają się lodowce. Leon jest w centrum wszechświata, w środku wirującej galaktyki, wewnątrz barysfery manipuluje kodem życia w rozprężającym się ciśnieniu w ciasnym czasie i przestrzeni. Czuje, że wszystkie procesy geologiczne egzo i endogeniczne, właściwości fizykochemiczne, teorie socjologiczno ekonomiczne, twierdzenia matematyczne i zagadnienia filozoficzne, opracowania encyklopedyczne, biblia, tora, sutry, czakry, teleskopy i namioty, makroanalizy i mikro urazy, wstrząsy i potopy, wszystkie zagadnienia etyczno-erotyczne, sekretne praktyki ascetyczne, manicheizm, zoroastryzm, szowinizm, okultyzm, koła zębate przekładni obrotowych i elektromagnetyczne fale radiowych transformatorów, produkcja pokostu i świąteczne gotowanie bigosu, siły witalne i słabości trywialne kanalizują się teraz wewnątrz twardych jąder, gdzie napierają na siebie siły akcji i reakcji o przeciwnych zwrotach i takich samych wartościach, ścierają się płyty tektoniczne i poglądy polityczne, wypiętrzają masywy górskie i budzą się wulkany grożące wybuchem w niekontrolowanej eksplozji kumulacyjnego ładunku o mocy kilkudziesięciu tysięcy słońc. Wszystko zaraz eksploduje, urywając głowę Hanne.. Wystrzeliwując ją z impetem rzymskiej katapulty oblężniczej na okołoziemską orbitę. Wyrывая dziurę we frontowej ścianie kamienicy, zalewając ulice Deutsch Eylau gęstym potokiem rozżarzonej białej lawy, która płynąc nieprzerwanie przez Karl Freyburger Strasse i spływając dalej majestatyczną, gęstą falą po schodach parku miejskiego wzdłuż promenady wpadnie w końcu wprost do Jezioraka. Wypełni go po brzegi swą mętną parującą treścią unicestwiająca wszelkie znane i nieznane formy życia, zapładniając gotową na wszystko śmierć. Leon stara się zapobiec tej katastrofie, przeciwstawia swą żelazną wolę napierającemu coraz bardziej, ze zdwojoną siłą żywiołowi. Rzeczywistość pęka w szwach, trzeszczy, skrzypi, stęka, piszczy, warczy, a On musi unieruchomić tylko swym postanowieniem, samą wolą silną falę tsunami wzbierającą gdzieś w pobliżu Haiti, falę, która chluśnie tu za kilka sekund. Takie przed nim stoi zadanie. Wiadomo, że nie podola, polegnie, to przesądzone, niezależne od jego woli, ale zanim się to stanie, mężnie walczy, próbując wykonać zadanie. Na jedną milisekundę straci świadomość przytomności i wzniesie się na wyżyny tylko po to, aby upaść i poczuć swój upadek jako zwycięskie wyzwolenie z okowów obezwładniającego

ciało i umysł pożądania. Tak sobie wyobraża śmierć. Hanne leży miękko na brzuchu, łuk triumfalny pleców pięknie wygięty omal nie pęknie, cięciwa się napina między wzgórzami pośladkami ginie w gorącej dolinie, kotlinie różowej waginie i wtedy, właśnie wtedy ona szepcze.

— Ktoś puka, dobija się do drzwi ktoś puka w drzwi — oddech miarowo przywraca do normy puls.

— Że co?!

— Ktoś puka w drzwi, puka ktoś przecież — powtarza głośniej z twarzą w kwiecistej poduszce w czerwone malwy albo hibiskusy w wezłowiwi łóżka wciśniętej.

To niemożliwe! Wszystko odpływa, odpływa, cofa się wezbrana, groźna fala, niebezpieczeństwo się oddala, Haiti ocalone. Siła woli wygrała. Cofa się satysfakcja pospiesznie umyka przez zamknięte drzwi milisekundowa utrata przytomności. Uciekają przed dotknięciem stopy Boga. Żar wygasa w hutniczym piecu surówka stygnie. Jak to jest możliwe, że w takiej chwili ktoś puka do drzwi? Nieprawdopodobne, lecz możliwe. To się właśnie nazywa timing. Boleśnie prawdziwe. Ktoś, kurwa ma czelność i bezczelnie puka. Konsekwentnie zaznaczając swą natarczywą obecność, po drugiej stronie drzwi wystukując natrętne staccato. Leon jest skrajnie załamany i równocześnie nieziemsko wkurwiony. Mieszanka tych dwóch odczuć jest toksyczna i mocno wybuchowa. Wzbiera w nim nowa, brunatna gniewu fala. W tym stanie jest w stanie zabić każdego bez ostrzeżenia, bez pytania i tłumaczenia z premedytacją zająbać na śmierć. Niestety Leon jest nieuzbrojony. Broń palna znacznie ułatwiłaby sprawę, ale nawet podczas wojny posiadanie broni jest nielegalne. No właśnie. Jest wojna. Jest członkiem zwycięskiej armii i nie ma nawet grama broni palnej, nawet małego, damskiego pistolecika. To chyba nie jest normalne. W dodatku pierwszą rzeczą o jakiej pomyślał w zastępstwie w zestawie dostępnych śmiercionośnych przedmiotów jest tłuczek do ziemniaków. Wiadomo, że lepszy byłby tasak do mięsa albo nożyce do kastrowania knurów, ale niestety nie zarejestrował ich obecności podczas swego ostatniego pobytu w kuchni. Nie będzie przecież teraz buszował po szafkach i szufladach w poszukiwaniu tych użytecznych przedmiotów. Nie ma czasu, a tłuczek do ziemniaków owszem, wisi na ścianie na wieszaku między patelnią i chochelką usłużnie wyczekując kreatywnego zastosowania.

— Weź mnie Leonie! — woła — Weź mnie!!! — Każdy widelec, nóż, łyżka, cały kuchenny arsenał wrzeszczy próbując zmanifestować swą użyteczność. Nawet tarka z dolnej szuflady krzyczy — Chętnie bym komuś ryja zdarła! Jestem taka w tym domu niedoceniona!

Lecz Leon nie słucha. Nie skupia się na dokonaniu racjonalnej selekcji, to nie jest odpowiedni czas na wybory, bierze to, co najbliższej pod ręką. Sięga więc po ten tłuczek do ziemniaków i z tym tłuczkiem do ziemniaków w zaciśniętej dłoni wychodzi szybko z kuchni cały rozczochrany, wytarmoszony, rozbisurmaniony, szeroko rozdygotany jeszcze w pełni nie wygaszony, piorunująco zelektryzowany, namagnesowany z gołą dupą rozjuszonego kopulacyjną porażką goryla skacze agresywnie korytarzem wprost do drzwi zmierza. Nagi, zwierzęco bezwzględny dziki bóg zemsty. Hanne leży jak arystokratyczny kot perski, leniwie rozciągnięta w poprzek łóżka z jakimś rozbawionym zaciekawieniem obserwując rozwój niespodziewanie zaistniałej sytuacji. Luźna i lżejsza, wyzwolona, Leona z siebie pozbawiona, ciągle wilgotna kotka mokra. Spogląda wyczekująco, nie spuszczać z oka płynącego ku drzwiom okazałego galeona gołego Leona. Widać, że złapał wiatr w żagle, idzie taranem wprost na kurs kolizyjny, gotowy do anihilacji, pacyfikacji, abordażu. Jest na fali, pędzi od zawietrznej. Skomplikowany plan jest taki, że otworzy szybko drzwi i tłuczkiem mocno przypierdoli. Tyle. Bez żadnego ostrzeżenia, tłumaczenia. O nic nawet nie zapyta. Najpierw działanie, a dopiero później ewentualnie w razie konieczności jakieś odstrasżające retoryczne pytanie, o ile ktoś trupem nie padnie.

— Chcesz więcej? I następnie bez oczekiwania na odpowiedź, padnie krótki komunikat: Won! Tak na pożegnanie. I to chyba tyle, jeśli chodzi o subtelności savoir vivru. Wszystko jasne. To do dzieła. Akcja. Zaczekaj! Stop! A może za drzwiami żandarmeria stoi? Tłuste psy łańcuchowe złowieszczco pobrzękujące srebrnymi, grawerowanymi blachami zawieszonymi na krępych brandenburskich karkach. Wzdrygnął się na tę myśl, wzdłuż kręgosłupa podpełzła chwila słabości.

Nie miałyby przecież żadnych szans w konfrontacji z tymi dobrze odżywionymi w państwowej hodowli skurwysynów, wrednymi niczym inkwizycja potomkami knechtów. Myśli przez moment w chwilowym zamroczeniu robiąc rachunek prawdopodobieństwa. Niemożliwe, to nie mogą być oni. Wszystkie papiery są przecież w porządku. Zero wybryków. Zero przewinień. Uchybień zero. Wzorowa służba. Jest kilka tajemnic, ale tylko dlatego, że o nie nie pytali, a on szczególnie nie chciał się nimi dzielić w fałszywym cokolwiek, lecz wygodnym przekonaniu, że nikogo takie błahostki z przeszłości na pewno nie mogłyby zainteresować. Czego mogliby zresztą od niego chcieć. Może nagle wezwanie do jednostki? Kurwa, to jest przecież możliwe. Z gracją sflaczałego homo erectusa doskakuje do okna spoglądając ukradkiem zza zasłanki w dół na dawną Kaiserstrasse. Przed bramą kamienicy w miejscu, gdzie zastrzelono miejscowego kretyna Freyburgera nie ma żywej duszy. Nie ma żadnego samochodu, dorożki, przechodnia, żadnego ruchu poza ruchem wskazówek zegara na przeciwległym budynku. Cóż za ulga, zegar nad witryną agenta Agfy wskazuje 22:15. Dzięki Bogu to jednak nie oni, tylko pomyłka. Wszystko jasne. Ktoś pomylił kamienicę, nazwisko, piętra, godziny, dni, drzwi. Możliwe też, że to ta wścibska starucha z parteru z jakąś ważną niecierpiącą zwłoki sprawą. Uciążliwa jak hemoroidy Gertruda Piontek. Sąsiadka gotująca przynajmniej raz w tygodniu wiadro kapusty do samodzielnego spożycia, produkująca dziennie takie ilości dławiącego gazu, jakich nie powstydziliby się żadna przemysłowa instalacja do produkcji bojowych środków trujących. Oby to była ona, będzie przynajmniej pretekst do zbrodni w afekcie. Nie mówiąc już o spełnieniu dobrego uczynku nie tylko dla mieszkańców kamienicy, ale także reszty ludzkości. Może po prostu nie otwierać drzwi może. Nie otwierać. Nieobecność udawać. Skołowany, zgarbiony, strapiony, rozjuszony drapie się włochatą łapą po włochatej dupie. Hanne nie wytrzymuje, głośno się śmieje. No kurwa! Teraz to już wszystko przepadło. Ponowne, powtarzalne, potrójnie natarczywe pukanie. Teraz już wiadomo, że są w domu. No i chuj, konspiracyjny brak obecności stał się opcją niewykonalną. Nie ma wątpliwości. Nie ma innego wyjścia. Trzeba działać. Zamachując się tłuczkiem wzniesionym nad głowę, energicznie chwyta klamkę otwierając zamasyżuje jednym ruchem drzwi. Ma zamiar zabić nie unieszkodliwić, to byłaby przecież nieadekwatna kara za naruszenie tkanki absolutu, rozdeptanie domowego miru, za zniszczenie misternej emocjonalno hormonalnej pajęczyny tkanej w pocie czoła i łędźwi dobre piętnaście minut. Podmucha wilgotnego powietrza przesiąkniętego kocia uryną uderza w nozdrza z zaciemnionej klatki schodowej, otrzeźwia niczym azotyn amylu z IPP[2]. I gdy Leon już ma zadać śmiertelny cios ostateczny, jego wzrok przykuwa oświetlony snopem światła padającego z korytarza wąs! Nie sarmacki, atletyczny, połyskliwy niczym zdrowy balas, polski wąs, raczej cieniutki, hiszpański wąsik francuskiego alfonsa. I patrzy Leon na właściciela tego wąsika i o zgrozo rozpoznaje go, zna dobrze, nie wąsa, tylko Wonsa. Stoi przed nim nie kto inny tylko kapitan Ptolemeusz Wons we własnej nieskrępowanej osobie objawiony z woli boskiej mefistofelesowskiej, której w chwili obecnej jest ziemskim ucieleśnieniem. W 1939 dowódca batalionu chemicznego, w którym Leon był podoficerem, lecz we wrześniu tegoż roku szybko był zakończył swą oszołamiającą karierę z przyczyn niezależnych od swej wolnej woli.

— Pan kapitan tutaj? — Rozwlekając zgłoski z akcentem na zdziwione, rozczarowane „tutaj?”, jakby to „tutaj” było ostatnim na świecie miejscem, w którym kapitan byłby oczekiwany i pożądanym, zapytuje wyprężony nagle niczym struna w kontrabasie Leon, odruchowo stając na baczność.

— Zapraszam do środka, proszę wejść — niepotrzebnie kontynuuje, bo kapitan już właściwie z właściwą sobie pewnością, chryzą lekkością szczwanego lisa jest w mieszkaniu zgrabnie mijając Leona w taki sposób, aby go oby nie dotknąć żadną częścią ciała nie musnąć nawet nigdy niczym w żadnym miejscu.

— Widzę, że masz nowy mundur. Ładny bardzo. Wygodny? Dobrze się w nim czujesz? — Niby pyta, niby stwierdza z lekkim przekąsem kapitan Wons z wąsem, niby mimochodem spostrzegając rozwieszony na krześle mundur unterofiziera należący do Leona, a w jego głosie wciąż pobrzmiwa metaliczne echo dawnych dni, lekko protekcyjna tonacja oplatająca niczym trujący bluszcz pień mózgu. Na szczęście inne bardziej przydatne organy są wolne od oplotu. Leon

czuje się jak w saunie, uderzenia gorąca nokautują go, a zimne poty cucą. Wons smaga go wzrokiem jak brzoźowymi wtkami. Leon wie, że jego mundur jest nie tylko ładny i praktyczny, ale przede wszystkim symbolicznie zwycięski i nie wiadomo dlaczego jest lekko zawstydzony z tego powodu, możliwe, że z wrodzonej skromności lub nabytego poczucia niższości, które w obecności kapitana mocno się uwydatnia. Czuje się trochę jak uczeń przyłapany przez profesora na gorącym uczynku podczas popełniania wykroczeń hańbiących status w miarę cywilizowanego młodego człowieka, a ponadto humanisty i Europejczyka. Wons zawsze traktował go po przyjacielsku, ale zawsze było w tym odrobinę aroganckiego protekcjonalizmu, lecz nie takiego zupełnie złośliwego. Wręcz przeciwnie nawet w pewien sposób dobrotliwie opiekuńczego. U kapitana traktowanie ludzi „z góry” było zupełnie naturalne, wynikało z wychowania i środowiska, w jakim funkcjonował. Choć prawdą jest, że wyczuwając zahamowania Leona wykorzystywał je często jako tło dla własnych wybryków. Przejaskrawiał ich znacznie w konfrontacji z roztropnością przyjaciela, która wyznaczała dla niego granice do przekroczenia. Wonsowi zawsze wolno było więcej. Robił wszystko, co miał odwagę uczynić, oczywiście dopasowując do tego odpowiednią ideę, a Leon swoim wstydem oświeślał jego chwałę lub częściej kompromitującą porażkę. W pewien sposób nawet uzależnił się od wybryków Ptolemeusza, określały one jego świadomość przyzwoitości i były swego rodzaju rozrywkowym przerywnikiem w codziennej monotonii. To, co wolno było czynić Wonsowi z zasady budziło wewnętrzny opór u Leona.

— Stary mundur też zapewne masz, tak na wszelki wypadek, zapewne wolisz myśleć, że z sentymentu. Zawsze byłeś praktyczny.

Oczywiście, że Leon ma także stary mundur spoczywający na dnie drewnianego kufra czekający na przebudzenie w odpowiednim czasie, jak śpiący rycerze pod Giewontem. Ten mundur może być równie zgubny, co zbawienny. W zależności.

Kapitan wyczuwa w powietrzu zapach jurnego samca, słodko kwaśną woń nadczynności gruczołów. Zaciąga się nią i nie rozpoznaje w niej swego śladu. Już wywietrzał. Leon czuje się nieswojo w jego towarzystwie, mimo że jest przecież u siebie w mieszkaniu. W stancy swobody i spokoju, gdzie wolno mu wszystko, gdzie dozwolone jest to, co w innych miejscach publicznie zakazane. Wons wręcz przeciwnie jest naturalnie rozluźniony, nawet może lekko cynicznie znudzony. Dlaczego? Jak to się dzieje, że intruz, przedstawiciel świata, nieistniejącego już poza wspomnieniami, świata, który przecież na jego oczach rozpadł się jak domek z kart przy pierwszym, mocniejszym podmuchu zachodniego wiatru, ten duch ze świata cieni zasiewa taki niepokój i konsternację, czyniąc poczucie dyskomfortu pierwszoplanowym wrażeniem. Leon, stojąc na środku kuchni w kusym płaszczyku małżonki z etolą z borsuka, sobola, czy innego wyliniałego kurewstwa oplecionego wokół szyi i nadgarstków. Jest zupełnie zagubiony w groteskowości tej sytuacji, jest zabawnie bezradny wobec śmieszności nagłego faktu obecności znanej, lecz obcej bądź co bądź osoby, wobec której przecież wszystkie zobowiązania służbowe zdaje się wygasły dwa lata temu, zaraz po ogłoszeniu upadłości przez pracodawcę. Choć możliwa przecież jest sytuacja, w której nie wygasły tylko przeszły jakąś sekretną transformację, hibernację przystosowującą ich treść do nowych warunków. W świetle nowych zasad, z którymi Leon nie jest jeszcze zaznajomiony, ale zaraz zostaną mu one objawione w całej okazałości, za moment okaże się, że zaistniał nowy ład, w którym układ sił rozłożony jest nierównomiernie i obciążony nieproporcjonalnymi wartościami. Układ, w którym przewidziano dla niego nową rolę. Nowy porządek, a w nim silniejszy niż dotychczasowy tak kompletnie nieskuteczny i brutalnie znieważony stopień służbowej zależności.

— Skorzystam z łazienki i porozmawiamy — komunikuje Wons. Zmierzając prosto w stronę łazienki jakby dokładnie wiedział gdzie się znajduje, a przecież chyba nigdy tu nie był. Nawet nie pyta, czy może, tylko informuje, co zamierza uczynić. Właśnie narzucił swój styl, ustalił poziom, określił reguły. Co za arogancki typ. Trudno do tego przywyknąć. Mijając sypialnię rzuca szarmancko w stronę Hanne tubalne — Całuję rączki pięknej Pani — a Leon widzi, jak porusza się nad dyskretnym uśmiechem kapitański, pastowany wąż. Podkrecony zawadiacko wywinięty,

aktywujący się na widok kobiety w łóżku niczym różdżka radiestety.

— Dobry wieczór Kapitanie Wons — odpowiada Hanne rozchichotana pod kołdrą częściowo schowana. Leon cały skamieniały, zdumiony stoi w sieni i chcąc nie chcąc słyszy, jak Wons w łazience leje prosto w oczko gęstym, zwartym strumieniem i głośno pierdzi. Co tu się wyprawia? Oczywiście czuje się nieco zażenowany, oczywiście nie Wons, gdzieżby on. Nigdy. Jeśli ktoś, to tylko Leoś. Zawsze podwójnie zawstydzony, za siebie, że w tym uczestniczy i za niego, że się nie wstydzi. Nawet nie powie „przepraszam” to byłoby przecież jawne przyznanie się do jakiegoś wykroczenia przeciwko regułom, więc będzie udawał, że nic się nie stało. Leon też będzie udawał. Nie potrafi w towarzystwie Wonsa stanąć w obronie zasad określających jego niezależność, cywilizacyjny status zezwalający na konfrontacje różnych punktów widzenia. Kapitan zawsze robił coś głupiego i zawsze było w tym coś naturalnego, może właśnie ten brak wstydu był taki normalny i urokliwy, przez co traktowany w większości przypadków pobłażliwie. Niestosowne zachowanie było jego wizytówką, choć to przecież on, zasrany dziedzic był zaznajomiony z tajnikami dworskiej etykiety, a nie biedny Leon, czwarty syn gajowego z Bischofswerder. A już miał nadzieję, że się na zawsze od niego uwolnił, od jego pretensjonalnej bezceremonialności. Tak naprawdę Wons był w mieszkaniu Leona w zeszłym tygodniu. Nie zastawszy go jednak, pocieszył się nieco towarzystwem żony, która ulegając jego nieodpartemu wdziękowi i swojej chwilowej słabości udzieliła mu czegoś więcej niż tylko gościny i informacji o losach męża oraz terminie jego przybycia. Ale to tajemnica, przynajmniej dla Leona. Hanne czuje się odrobinę zaniepokojona groźną perspektywą oświeconego małżonka zgłębiającego to zagadnienie zreferowane mu pokrótce przez potencjalnie perfidnie niedyskretne Wonsa. Żywi jednak nadzieję, że jego dyskrecja dorówna rozmiarami innym przymiotom jego natury.

Przyszedł i poprosił o pomoc. Tak po prostu, prosto z mostu. Potrzebował pomocy, właśnie pomocy nie kogo innego tylko Leona i nie miał oporów, aby o nią poprosić. Zwyczajnie, po koleżeńsku, po męsku.

— Potrzebuję twojej pomocy Leonie. Jesteś mi niezbędny z kilku powodów, pomijając takie oczywistości, jak nasza dawna znajomość, czy przysięga, którą złożyłeś na sztandar pułku licząc, że się zgodzisz. Potrzebuję twojej pomocy ze względu na twą naturalną znajomość języka niemieckiego, autentyczny pruski rodowód oraz swobodę poruszania się, którą umożliwiają ci twoje papiery. Nieoceniony jest także twój niezawodny instynkt. Ze swojej strony gwarantuję, że będzie to dla ciebie bardzo opłacalne. Oprócz tego w tej chwili tylko my dwaj wiemy, gdzie są zakopane nasze kochane „świnie”, które muszą odkopać. No i zwyczajnie ufam tobie. — W jego prośbie pobrzmiwała dalekowschodnim echem groźba, obietnica, żądanie, tajny rozkaz zaszyfrowany enigmatycznym kodem, nocne nawoływanie zagubionego dziecka. „Świnie” spoczywały głęboko w iłżeckich lasach w śnie płytkim z długim terminem przydatności. Poza tym Leon czuł się nieco zobowiązany, miał u kapitana dług zaciągnięty podczas ostatniej bitwy pod Iłżą. — On dużo o mnie wie. O wiele za wiele. — Uświadomił sobie Leon. Z łatwością mógłby zastosować szantaż, powiedzieć „szach-mat” żądając bezwarunkowej kapitulacji.

— Nie zmuszaj mnie, abym cię musiał przekonywać bardziej dosadną argumentacją. Naprawdę twoja osoba jest mi nieodzowna, gdyby było inaczej, nie byłoby mnie tutaj chyba to rozumiesz? — Mówi kapitan, a Leon wie, że nie żartuje, że może go do tego zmusić, ale przecież nie musi, bo I tak się zgodzi. W imię złe pojętej lojalności, w imię dawnej pseudo przyjaźni poświęci swoje cztery wolne dni, choć tak naprawdę zależało mu wyłącznie na nocach. Wie również, że kapitan wciągnie go w swoje sprawy bez reszty, tak, że staną się jego sprawami, zanim zdąży się zorientować, a wtedy będzie już za późno, aby się z tego wyplątać bez żadnych konsekwencji. Wons był manipulantem i nałogowym kłamcą, prześlizgiwał się między objawionymi prawdami kocimi ruchami szusującego na stokach Garmisch-Partenkirchen intelektualnego narciarza. Trudno było za nim nadążyć.

Ostatni raz widział Wonsa dziewiątego września w trzydziestym dziewiątym o dziewiątej rano w lasach pod Iłżą, jak z własnoręcznie zerwanymi dystynkcjami wraz z grupą przerażonych

i kompletnie zdezorientowanych żołnierzy z 51 pułku piechoty, którzy przecież nie potrafili normalnie funkcjonować w świecie bez dowódców i rozkazów, pospiesznie porzuciwszy wszelki sprzęt ciężki oraz skrętnie zakopawszy to, co mogłoby się jeszcze kiedyś komuś przydać, wymaszerował na wschód z zamiarem przedostania się na zachód, jak większość prawdziwych patriotów. Z bólem w sercu oczywiście i nadzieją na odrodzenie oraz rychłe spotkanie pożegnali się męskim uściskiem dłoni i każdy poszedł w swoją stronę. Leon wyruszył w kierunku przeciwnym do Wonsa, dokonawszy uprzednio tych samych czynności, ale trochę innych kalkulacji, nawet nie przypuszczając, że wyruszając pospiesznie na zachód, prędzej, czy później trafi na wschód.

Obaj służyli wtedy w plutonie przeciwgazowym 51 pułku piechoty dowodzonym przez podpułkownika Fieldorfa. Wons, jako oficer gazowy, Leon był podoficerem w stopniu chorążego. Ostatnie współdziałanie to sytuacja w której „stary” w asyście majora Rottera i adiutanta Krzywika kazał odkręcać zawory w metalowych butlach z fosgenem zwanych pieszczołtliwie „świniami”. Działo się to wieczorem 8 września, gdy do pozycji obronnych w okolicach Piotrowego Pola zaczęła się nieubłaganie zbliżać awangarda niemieckich oddziałów zmotoryzowanych. Niestety niekorzystne wiatry zniweczyły ten ambitny zamiar, gasząc świeczkę na grobie ostatniej szansy na pokonanie wroga. Nawet siły natury sprzysięgły się wtedy z faszystowskim najeźdźcą przeciwko zdesperowanym obrońcom piaszczystej ziemi Piastów.

Do 51 p.p. strzelców kresowych trafili w ramach karnej zsyłki. Służba tam to wątpliwa nobilitacja, a niewątpliwa degradacja z przygnębiającą perspektywą braku perspektyw. Prosta droga ku zatraceniu, dekadencji i śmierci pośród podobnych, bezużytecznych śmieci. Duża w tym zasługa Wonsa, który musiał odpokutować swoje wybryki z żoną pewnego ustosunkowanego w sztabie generalnym majora. Leon trochę z rozpędu trafiony rykoszetem dostał przeniesienie raczej dla towarzystwa, choć traktował to jako wysoce niesprawiedliwą karę i mógł dalej w sobie pielęgnować to swoje ulubione poczucie doświadczanej krzywdy oraz źle pojętej lojalności. Cierpiał dzielnie w oczekiwaniu na nagrodę. Zawsze mogło być gorzej, mogli przecież trafić na przykład do zasranego przez Boga i zapomnianego przez ludzi Czortkowa, a wylądowali tylko w Trembowli. W herbie tej miejscowości widnieją trzy żółte klekсы i jeden dojrzały banan, co doskonale opisywało egzotyczny klimat tego miejsca. Było tam prawie jak w afrykańskiej republice. Dzika wolność kłusownika i bezkresna kresowa nuda. Antypody cywilizacji. Pustynia pokus, gdzie zawiązują się braterskie więzi, które później trudno rozsypać. Znajomość Leona z Ptolemeuszem datuje się na rok 1936. W roku tym rozpoczęli zajęcia na kursach w Warszawskiej Szkole Gazowej, gdzie zgłębiali tajniki wiedzy z zakresu chemii gazów, metod ich przenoszenia, meteorologii, teorii pochłaniaczy i sposobów utylizacji, budowy masek, pocisków i min. Zagadnienia były stosunkowo nowe i dawały większą szansę rozwoju, gdyż konkurencja w tej dziedzinie jeszcze wtedy była niewielka. W większości jednostek istniały wakaty na stanowiskach oficerów gazowych, ponieważ było to zagadnienie nowe i szczególnie atrakcyjne. A prestiż społeczny mniejszy niż zachwyty towarzyszący takiemu rotmistrzowi z pierwszego pułku szwoleżerów. Kawa w warszawskich restauracjach smakowała jednak wszędzie tak samo, podobnie, jak wargi żydowskich prostytutek.

Odkąd Leon pamięta, historię ich znajomości cechowały niesymetryczne współzależności, niesympatycznie służbowe, sympatycznie towarzyskie. Od pierwszego spotkania w Szkole Gazowej w Warszawie na Marymoncie, poprzez wybryki w jednostce w Trauguttowie, służbę w garnizonie w Brześciu i zsyłkę do Trembowli Wons zawsze spełniał funkcje nadrzędne względem funkcji Leona. Częściowo z racji wrodzonej inteligencji a po części w zgodzie ze służbową hierarchią. Wiadomo, Leon był tylko podoficerem mającym w zanadrzu dodatkowe kursy i mozolną karierę, a Wons był zniechęconym przez garnizonową większość i uwielbianym przez zdecydowaną mniejszość, zakochanym w sobie wielmożnym panem oficerem. Był żołnierzem z charakterem, nie tam jakąś pierwszą lepszą prowincjonalną mdłą dupą, jakimś synem piekarza, ślusarza czy kolejarza, dla którego szlif oficerski był wyśnionym awansem społecznym, szansą na okraszenie kaszy skwarkami z kiełbasy. Dla niego to był styl bycia, pełnokrwiste życie,

do którego czuł się powołany, stworzony całym swym jestestwem.

Jego ojciec, Mateusz Wons był właścicielem majątku ziemskiego oraz huty żelaza w Rzurowie niedaleko Radomia w powiecie koneckim. Mateusz Wons z rodu Wonsowiczów ze Smogorzowa herbu łabędź był pasjonatem wiedzy praktycznej w służbie ludzkości oddanym oraz wielkim zwolennikiem wszelkiej wynalazczości. Wyłączając astronomię, to znaczy nie w pełni. Cenił i poznawał nowe odkrycia, ale odrzucał powstające na ich gruncie nowe idee. Był zagorzałym zwolennikiem teorii geocentrycznej, którą uważał za kompletny opis Ziemi w kosmosie, Ziemi jako kolebki życia nie tylko w wymiarze materialnym, ale przede wszystkim duchowym. Czemu niby mielibyśmy marginalizować nasze znaczenie? W imię prawdy? A czymże jest prawda w stosunku do spełnionych oczekiwań, w porównaniu z satysfakcją? Pytał i zaraz odpowiadał. Pustą abstrakcją, wydmuszką rzeczywistości, zimną matematyczną konstrukcją, której nikt nie nazwie domem, a jej ścian nigdy nie rozjaśni ciepłe światło życia. W zgodzie z naukową rewolucją odczuwać dyskomfort do końca swych dni? Nigdy. Zresztą w tym przypadku chodzi tylko o punkt odniesienia pozwalający na opis ruchu ciał w przestrzeni. Dla Mateusza centralnym punktem odniesienia była Ziemia, a w zasadzie on sam. Z drugiej strony zaczytywał się w La Mettrism i traktował ludzkie ciało jak doskonale skonstruowany mechanizm jednak by móc nazwać tę konstrukcję mięsno kostną człowiekiem niezbędne było tchnienie weń ducha. Swjej fascynacji systemem geocentrycznym i „L’homme-machine”[3]dał wyraz uszczęśliwiając zaszczytnym imieniem Ptolemeusz (a mógł być Julien Offray) swego pierworodnego syna, który boleściwie przyszedł na świat pewnej styczniowej nocy roku pańskiego tysiąc dziewięćset ósmego w rodzinnym dworze w Rzurowie. Syn stał się dla niego centrum wszechświata, a jego spłodzenie było poprzedzone filozoficzno-etycznym wewnętrznym dyskursem nad istotą i kondycją człowieczeństwa. Ptolemeusz na swoje nieszczęście był jedynakiem i majątek ziemski oraz wszystkie dobra miały w zgodzie z naturalną kolejną rzeczy przejść w ręce tej jedynej prawnie posiadanej przez Mateusza progenitury, czyli w jego ręce. Jednakże Ptolemeuszkowi już od najmłodszych lat nie podobał się ten pomysł na jego życie odlany z żeliwa w piecu ojcowskiej troski. Perspektywa przyszłości pośród stopów żelaza, rybnych stawów i płodów rolnych napawała go wręcz fizycznym wstrętem, w czym skutecznie utwierdzała go ukochana mama, dobitnie prezentując postawę skazanej na dożywocie, uwięzionej we własnym domu ofiary niespełnionych marzeń. Z botaniczną perfekcją zaszczerpiła synowi chęć ucieczki. Pielęgnowała w nim wstręt do wiejskiej sielanki. Nie małą rolę w podjęciu decyzji odegrał też spokrewniony z matką w tylko jej wiadomy sposób, warszawski kuzyn odwiedzający ich rodzinę w każde wakacje i większość świąt, niejaki pułkownik Leopold Kmicic-Skarżyński z 1 Pułku Szwoleżerów. Zatwardziały kawaler, dodatkowo kawaler jakiegoś tam orderu, można powiedzieć podwójny kawaler. Gdziekolwiek się pojawił powietrze wypełniała męską woń spirytusu i „Przemysławki”, co w połączeniu z zapachem munduru i sarmackim duchem tworzyło mocno uzależniająco obezwładniającą mieszankę. Rubasznie wesoły i żwawy, podkrecając sumiastego wąsa, prezentował swą postawą nieco mniej drobnomieszczańską, wręcz swawolny stosunek do życia niż pozostali domownicy, a im bardziej jego postawa kontrastowała ze światopoglądem ojca Mateusza, tym większy wzbudzała podziw u Ptolemeusza. To był wzorzec, do którego postanowił dążyć. Swoboda w dobrze skrojonym mundurze budzącym bojaźliwy respekt. Czuć się dobrze z samym sobą i mieć w dupie opinie oraz oczekiwania innych. Zawczasu więc wyczuwając pułapkę zastawioną przez ojca, po ukończeniu szkoły powszechnej, gdy tylko nadarzyła się sposobność z matczynej inspiracji i własnej ciekawości uciekł do ciotki siostry matki ustosunkowanej znanej warszawskiej utracjuszki i członkini zarządu okręgowego Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej generałowej Lody Wons-Biernackiej. Czarnej wdowy ze słabością do białych dziewcząt oraz młodych zdrowych, chłopców. Ciotka Loda czterdziestodwuletnia nieco melancholijnie usposobiona kobieta walcząca dzielnie, jak konserwator zabytków o minione piękno swej zmurszałej już nieco fasady, przyjęła go rzecz jasna z otwartymi ramionami i nie tylko ramionami. Traktowała go jak urządzenie losu, lecz nie dawała tego po sobie poznać. Powitała go oschłą protekcyjną tonacją, która była jak najbardziej na miejscu w stosunku do nieobytego kuzyna z prowincji. Młody Ptolemeuszek w stolicy bardzo szybko zakwitł i dojrzał. Zaczął i skończył gimnazjum męskie Batorego, chociaż wolałby zapewne żeńskie Cecylii. Przestał być

dzieckiem, stał się mężczyzną lubiącym towarzystwo kobiet, brylującym na parkietach „Adrii” i „Palais de Danse”. W Batorym nie miał łatwego życia. Rówieśnicy, hermafrodytyczne mutanty i romantyczni gruzlicy, przyszłe piękne ofiary martyrologii o imionach Stanisław, Władysław, Bronisław, potomkowie chorowitych, upudrowanych magnatów próbowali dosłownie wbić mu do głowy system kopernikański za pomocą mosiężnego astrolabium. Oczywiście zakończyło się to całkowitą porażką tej metody naukowej perswazji, gdyż Ptolemeusz głowę miał twardą niczym hetman hetmańską buławę. Ponadto był nieugiętym, nieustępliwym wilkiem stepowym, tropił, kąsał. Bać się nie bał, miotał kontrargumenty w swych oponentów z równą biegłością co szybkostrzelne zmyślnie i trafne epitety, co nierzadko kończyło się puentą opartą na prawie pięści. Miał dużą przewagę, górował nad rówieśnikami nie tylko wzrostem i wiejskim zdrowiem, ale także doświadczeniem i wiedzą. Był bogatszy o tajemną naukę pobieraną na nocnych korepetycjach u ciotki Lody. W takiej mniej więcej atmosferze upływały gimnazjalne lata, które zniknęły wraz z dziurawymi butami, krótkimi spodenkami, onanizmem, krostami, szlachetnymi adwersarzami i prowincjonalnymi kompleksami tak szybko, jak się pojawiły. Natomiast dzielny, niezłomny Ptolemeusz, przyswajając dokładnie tyle wiedzy ile potrzeba, aby z pełną odpowiedzialnością podjąć decyzję o dalszych swych losach ze świadomością oczekiwań ojca z wyrachowaną premedytacją oraz determinacją wstąpił do Szkoły Podchorążych Saperów w tejsze Warszawie. Wbił tym samym nóż w ojcowskie plecy po samą rękojeść, grzebiąc zupełnie jego nadzieje na powrót syna marnotrawnego na łono rodzinnych włości, których kondycja była już wtedy mocno podupadająca podobnie zresztą jak zdrowie ich właściciela. Ptolemeusz wręcz przeciwnie tryskał zdrowiem na prawo i lewo. Promieniał w zachwycie ukochanej mamy i sceptycznie opiekuńczej wyzwolonej spod jarzma drobnomieszczańskiego purytanizmu i kobiecej głupoty ciotki Lody. Strzelał obcasami na powitanie pięknych pań, racząc je tajemniczo szelmowskim uśmieszkiem oraz rzędem równych zębów błyszczących w cieniu daszka swej rogatywki, spacerując Marszałkowską w nowym paradnym mundurku sponsorowanym w całości przez owe dwie ukochane damy. Wyglądał w nim tak uroczo, że wybaczały mu, nawet gdy przyozdabiał go dorodnym kwiatem warszawskiej prostytutki. Paradował z dziwkami z „Ananasa” po Krakowskim dumnie, jak księżę August Poniatowski w nowej peruce. Prezentował się niczym dorodny paw z kurwimi piórami przy dupie. Na dorocznym balu Towarzystwa Ziemiańskiego w Radomiu roztaczał taki szarm, że wszystkie ciotki nawet te o wyglądzie i zapachu suszonych śliwek puszczały soki. Tylko stary Mateusz z niekłamanym wstrętem odwracał wzrok, ciężko wzdychając. Na widok syna dostawał mdłości. Robił się czerwony, następnie bladł i w końcu zieleniał, zbierało mu się na wymioty. Pulsował wszystkimi kolorami tęczy. Odrzucało go w naturalnym odruchu obrzydzenia podobnie jak przy pierwszym kieliszku anyżówki u księdza Ignacego Kryńskiego, rodzinnego kapłana, traktującego odmowę spożycia tego elizjum jak obrazę majestatu Pańskiego zagrożoną co najmniej karą ekskomuniki. A na to Mateusz nie mógł sobie pozwolić. On, człowiek ziemi, inżynier hutniczy, agronom, innowator i wynalazca, członek Związku Ziemiaków, właściciel tartaku, współwłaściciel odlewni żelaza i destylarni, założyciel miejscowej spółdzielni spożywców, fundator kapliczki najświętszej boleściwej męki pańskiej. Filar miejscowej społeczności. On, ojciec kilku nieślubnych dzieci i jednego dziecięcia z łoża prawego, jako wyznawca fizjokratyzmu[4] wszystkich oficerów uważał za najwyższą emanację klasy próżniaczej. A taka klasa była dla niego stopień niżej niż bezklasowy chłop pańszczyźniany, którego szanował za uczciwą pracę na rzecz dobra ogólnego w tym także dobra pana swego. Miał jednak podstawową wadę, czasami zaprzeczał faktom, traktował je umownie i wybiórczo wedle własnego uznania, dopasowując je niejako do własnych potrzeb. Nie przyjmował bez podejrzliwości żadnych oczywistości. To, co inni uważali za pewnik, on traktował z dużym dystansem, dopóki sam nie zrozumiał dowodów uzasadniających prawdziwość danego twierdzenia. Kopernika uważał za androgynicznego szarlatana, idealnego kandydata na stos, którego niesprawiedliwie jakimś cudem niestety uniknął. Z tego błędu wynikały wszystkie późniejsze problemy, została zachwiana równowaga między religią i nauką, niebem i ziemią, duchem i materią, a w dodatku fundament podkopał rozpieszczony bogactwem kleryk. Niewybaczalne.

Ojciec Mateusz umarł nagle w kwietniu 1939 roku podczas pobytu w Warszawie, gdzie załatwiał jakieś formalne sprawy w biurze sprzedażowym destylarni na ulicy Grzybowskiej oraz w Urzędzie Patentowym na Elektoralnej. Zszedł był wewnątrz posepnego gmachu Ministerstwa Przemysłu i Handlu w przesiąkniętym zapachem tanich cygar biurze Urzędu Patentowego. Niezbyt to odpowiednie miejsce na umieranie, ale trudno to było przewidzieć. Niemniej oprawa tego wydarzenia była elegancko nobliwa i z pewnością nie przynosiła ujmy powadze tego ostatecznego aktu. „Śmierć w Urzędzie Patentowym”, taki nagłówek ukazał się w drobnym artykule na czwartej stronie „Kuriera Warszawskiego”. Wielu sądziło, że to obywatelka Śmierć złożyła jakiś patent, nowy sposób na unicestwianie życia. Prawda była niestety bardziej prozaiczna. Mateusz dostał nagłego ataku serca dowiedziawszy się uprzednio podczas zgłaszania swych wynalazków, że „podkowa bez gwoździ” została już zarejestrowana przez skrupulatnego Niemca w Hanowerze, zaś rewolucyjne „urządzenie do samoczynnego zakładania pokryć ochronnych na sedesy klozetowe” opatentował dwa lata wcześniej pewien wymuskany Francuz. Ciężła mu też na sercu niepotwierdzona jeszcze informacja jakoby jego szwagierka i Ptolemeusz syn jedyny razem oddawali się pewnym nieobyčajnym praktykom. Miał zamiar wyjaśnić to jeszcze tego samego dnia. Nie zdążył. Może to i lepiej, ominęła go także największa atrakcja roku 39, czyli wybuch wojny, w której ilość wynalazków przeznaczonych tylko i wyłącznie do eksterminacji rodzaju ludzkiego oraz utylizacji wszelkich form podgatunkowych przyprawiłaby go o zawrót głowy bolesny i przykry jak szlify oficerskie syna. Zawał oszczędził mu tej traumy, w zamian oferując piękną, dębową, lakierowaną na czarno trumnę z mosiężnymi uchwyty, tak jakby ktoś miał go kiedykolwiek stamtąd wyciągnąć. Widok syna w niemieckim obozie jenieckim zapewne pogrzyłyby go w depresji nie mniejszej niż wrześniowa kłęska. Po długiej ceremonii pożegnalnej w kościele farnym im. Św. Zygmunta, na której zgromadziło się całe okoliczne ziemiaństwo i duchowieństwo Mateusz spoczął w rodzinnym grobowcu w smutnym niczym pogrzeb dziecka Szydłowcu. Majątek w Rzurowie oddano w dzierżawę długoletniemu przyjacielowi rodziny i uprzedniemu zarządcy tegoż majątku Gustawowi Kryńskiemu, bratu księdza Ignacego. Matka po krótkim pobycie w podwarszawskim Karolinie w „Sanatorium dla zmęczonych nerwowo” mentalnie odświeżona i fizycznie wypoczęta, bez żalu przeprowadziła się do ciotki Lody na Mokotów, bliżej cywilizacji, w samo centrum pulsującej życiem Warszawy. Zażywała wielkomięjskich przyjemności, do których tęskniła przez lata swej wiejskiej udręki, podczas gdy Mateusz krążąc po swej geocentrycznej orbicie, utwierdzał się w przekonaniu, że zawsze miał rację. Istotne, że każde z nich odzyskało spokój we właściwy sobie, zadowalający sposób.

2 czerwca 1941

Na dworcu w Hławie krzyżują się dwie ważne magistrale, wschód-zachód oraz północ-południe. Ludzi jest tyle, że Leon z Wonssem spokojnie gubią się w tłumie, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Spokojnie czekają na pociąg do Warszawy. Na peronie siadają na ławce obok mocno wczorajszego oficera Kriegsmarine przeglądającego bez wyraźnego zainteresowania egzemplarz „Der Adler”. Wons zerka na jego gazetę ukradkiem przez ramię. Rozpoznaje na fotografii tego sławnego boksera, którego znokautował murzyn w pierwszej rundzie w walce o mistrzostwo świata w czasach gdy było to jeszcze istotne. Bokser jest teraz w mundurze spadochroniarza, przyozdobiony tym śmiesznym nocnikiem na głowie. Wygląda na nieco zdezorientowanego. Wons nie może nic przeczytać, za duża odległość, za małe litery. Z Leonem nie rozmawiają, to zupełnie zbyteczne, wszystko jest jasno ustalone. Podczas podróży się nie znają. Czekają na ten sam pociąg. Tylko tyle ich łączy. Pociąg. Podjedzie, wstają, wsiadają, odjeżdżają. Proste. Oficer Kriegsmarine nerwowo rusza stopą ściśniętą czarnym, wypastowanym półbutem. Nogawki falują oceanicznym rytmem. Przyptywy i odpływy. Kapitan Wons jako zawodowy oficer i profesjonalny mężczyzna na pełnym etacie dobrze wie, co to znaczy. Ten bezwiedny ruch. Wznoszenie się na fali na szczyt i nagły upadek na sam dół, na dno, a wszystko po nic, męcząco powtarzalne. Alkohol, kobiety, nieukożone nerwy. Wysokogatunkowe przyjemności, stwarzające poważne ryzyko utraty

jednolitej formy potocznie zwanej zdrowiem. Nie tam jakieś substytuty, intelektualne wzdęcia, sentymentalne pierdy, rozterki niedojebanych morfinistów niespełnionych artystów rezerwistów płaczących nad rozlanym mlekiem maminsynków, w których ostatnio obrodziły warszawskie kawiarenki. Stolica jest chorobliwie opuchnięta tłuszczową tkanką restauracyjnych konspiratorów. Wons odczuwa z tym obcym człowiekiem, wrogiem przecież, reprezentantem zwycięskiej cywilizacji zagłady niosącej na sztandarach technologiczny postęp i ergonomię śmierci wspólną płaszczyznę indywidualnej degradacji i zrozumienia ponad ideologicznymi podziałami. Pod kolorem munduru i kształtem emblematów jest mu bratem. Utozsamiając „honor oficera” z bezsensowną śmiercią w imię abstrakcyjnych urojeń teoretyków państwowości Wons świadomie wyjmuje się spod władzy stereotypu. Staje się kosmopolitycznym degeneratem i wie, że ta definicja jest prawdziwa dla każdego, kto przekroczył pewne granice, zakazane przez prawo, moralność, regulamin. Dla każdego, kto pokonał strach i znalazł się choć na chwilę po drugiej stronie odwagi i samotności o smutnym obliczu zemsty, taka postawa jest obca. Wroga etosowi bohaterskiego żołnierza, tchórza, który tak bardzo bał się żyć, że nie zauważył, kiedy umarł. Stało się to tak błyskawicznie, że nie zdążył zauważyć różnicy, tej drobnej, jakościowej zmiany. Nie zauważył, że wspólnota braci zmieniła się we wspólnotę śmierci. Ten etos będzie kiedyś na pomnikach i nie będzie to podobizna którejkolwiek ze znanych osób. Będzie to ktoś, kogo nie ma. To, co ich dzieli to tylko zewnętrzna forma, zbroja broniąca dostępu do wewnętrznego zrozumienia, do wspólnoty w ramach bezcelowości. Tak naprawdę są tacy sami. Dzieli ich jedynie różnica. Po dwóch kwadransach oczekiwania pojawia się pociąg. Stara, stękająca lokomotywa z jeszcze starszymi wagonami wtacza się ciężko na peron. Wagony zaludniają się szybciej niż Australia. Jakimś cudem udało się zająć miejsca siedzące i w tej wygodnej pozycji dwaj przyjaciele ze „starych czasów” zmierzają w stronę zawstydzonej Warszawy, a potem dalej na południe. Leon z prawdziwymi, własnymi papierami folksdojczy, Wons oczywiście z fałszywymi, nazywa się teraz Gustaw Borowiecki, inżynier z Hugo Schneider Aktiengesellschaft Metallwarenfabrik w Skarżysku. Człowiek zupełnie nieznamy, choć podróżuje w tym samym kierunku, do tego samego miejsca w tym samym celu, ale o tym w tym pociągu nie wie nikt. Leon pomoże Wonsowi i za dwa dni będzie z powrotem, by dokończyć to, co zaczął, bez obaw. W dodatku będzie nieco bogatszy nie tylko o nowe doznania. Zastanawia go tylko, jak dał się do tego namówić. Wons odwołał się do jego marnego poczucia patriotycznego obowiązku, obiecując przepustkę w mgliście zarysowaną przyszłość państwa spowitego w mrokach podziemia. Mało atrakcyjne. Jak mu się to udało? Prawie płakał, rozczulając się nad kondycją lojalności, wytykając moralny relatywizm. Prawie użył szantażu, a teraz patrzy obojętnie, tak jakby Leona w ogóle nie tylko nie znał, ale nawet nigdy przedtem nie widział. Jakby zupełnie zapomniał, że kilka godzin wcześniej wysrał się w jego kibel i wypił poranną kawę, słodząc chyba na złość lub może na zapas więcej niż zwykle. Gdyby Leon go nie znał, pomyślałby, że naprawdę spotkali się w tym pociągu pierwszy raz w życiu. Chciałby go nie znać, to uprościłoby wiele sytuacji. On zawsze był katalizatorem kłopotów, ale też zawsze wzbudzał ciekawość, co będzie z tych kłopotów wynikało. To, jakie będą następstwa, konsekwencje tego postępowania dalej po przekroczeniu granicy było wielką niewiadomą. Jedno było pewne. Nie można było się z nim nudzić. On zawsze potrafił zjednywać sobie ludzi, hipnotyzować otoczenie, sprawić, aby wszystko kręciło się wokół niego w atmosferze gatunkowych alkoholi i zadymionych niedopowiedzeń. Potrafił stać się centrum wszechświata, był zasadą filtrującą postrzeganie rzeczywistości. Można było przejrzeć się w nim jak w krzywym zwierciadle. Odnajdował się w każdej sytuacji, oswajając ją do własnych potrzeb. Często używał wulgaryzmów i w ogóle cały był taki niecenzuralnie, ekstrawagancko atrakcyjny, uroczo nieokrzesany, interesująco nieobyczajny, a przy tym zupełnie naturalny, potargany, niegrzeczny urwis.

Pociąg właśnie minął Ciechanów zostawiając za sobą kłęby dymu. W wietrznej pustce dworca zawile piruety tańczyły pozostawione na peronie Nr 1 bezdomne gazety, zadrukowane propagandowymi bzdurami kartki z sobotniego wydania „Volkischer Beobachter”. Wagony w nieokreślonych odcieniach brązu skrzypią przeraźliwie, wprawiając w drżenie każdą ruchomą część, klekocząc każdą śrubką. Toczą się z metalicznym mozołem niemal pękając na rdzewiejących

łączeniach wypełnione po brzegi smętnymi mętami wszelkiego autoramentu oraz apatycznym, szlachetnym Wehrmachtem na zasłużonych przepustkach spowitym romantycznie senną mgłą. Za moment miną granicę Prus Wschodnich i Generalnego Gubernatorstwa więc lada chwila należy się spodziewać kontroli dokumentów. Można to wywnioskować również z zachowania nadmiernie starających się ukryć zdenerwowanie bladych młodzieńców z obgryzionymi do krwi paznokciami. Ich harde spojrzenie w żaden sposób nie kojarzy się z partyzantami w swych brudnych bryczesach i znoszonych skórzanych kurtkach z wytartymi kołnierzami i łokciami. Już sam fakt noszenia skórzanej kurtki w tak ciepły dzień powinien wzbudzać podejrzliwość. Każdy nawet średnio inteligentny człowiek powinien zdawać sobie z tego sprawę tworząc choćby nieudolną kreację ubożego kuzyna z prowincji, udającego się z kurtuazyjną wizytą do dalekiej rodziny w mieście. Nie znają podstawowych zasad konspiracji. Wyglądać i zachowywać się naturalnie. Nie zwracać na siebie uwagi, wtopić się w tłum, rozplynać się w mglistym zapachu kaszanki, tuszonki, wędzonki, rąbarki parującym z wiklinowych koszy rustykalnych staruszek. Któż patrząc na nich, mógłby wysnuć jakiegokolwiek podejrzenie o działalność wywrotową? Chyba tylko ktoś wyjątkowo złośliwie przenikliwy, a takich teraz nie brakuje.

— Właśnie dlatego nie mamy szansy. To nie ma prawa się udać. Ten cały ruch oporu wydaje się ruchem w złym kierunku, w stronę grobu. Państwo podziemne to śmiertelne zagrożenie dla wszystkich żywych, to cmentarz, podziemna organizacja zwłok, armia żywych trupów — pomyślał refleksyjnie Wons.

W dwa lata po cudzie klęski zwycięskiego wojska polskiego okupacja zupełnie okrzepła na systemie nerwowym obywatelskiego posłuszeństwa. Niewolnicy Wielkiej Rzeszy Niemieckiej zaakceptowali swój poddańczy los. Każdy poznał swoją rolę i stara się ją odgrywać najlepiej jak potrafi. Okupant swoją, podbity naród swoją, a ruch oporu swoją. Wszystkie względem siebie pełnią funkcje uzupełniające stanowiąc w miarę jednolity, choć ciągle docierający się system zależnych współistnień próbujących się wzajemnie wykluczyć.

Jadą trasą wyżłobioną w polskich łąkach, torfach i lessach przez krainę, której nie ma już na współczesnych mapach, jednak jest tak samo brudna i płaska, biedna i prymitywna, jak kiedyś, tak samo nieistotna i pożądana. Przygnębiająco żyzna z mokrym łonem porośniętym sosnowym lasem, z przebitym strzałą Maura sercem Matki Boskiej Częstochowskiej. Może jest nieco mniej pewna siebie niż zwykle, ale równie obojętna wobec przemocy, gwałtu, rozpacz, złości i samotności. Prostacko wyniosła i szlachetnie głupia. Ze swadami i przywarami, ze szmacianym tobołkiem bezwartościowych relikwii na zgarbionych plecach wędrująca między zażydzonymi miasteczkami brzydoty i nędzy. Podróż między miastami jest jak podróż między planetami. Jednowymiarowe, przygnębiające przestrzenie zmieniają się płynnie jak w starym fotoplastykonie. Wszystko jest jak dawniej tylko jeszcze gorzej, czuć dodatkowe obciążenie statusem pątnika, narodową tragedią. Zmieniła się tylko nomenklatura. Centralna Polska nie jest obca, to oni, jej mieszkańcy zawsze byli tu obcy. Czekali tylko aż ktoś to potwierdzi.

Wons budzi Leona lekkim kopniakiem w nogę. Bardzo ryzykowne. W pierwszym odruchu przychodzi ochota, aby pierdolnąć go pięścią młotkiem centralnie w siekacze w wąsy, zgruchotać szczękę, złamać nos. W drugim odruchu wystarczy sama możliwość wyrządzenia towarzyszeni podróży krzywdy. W Leonie zawsze budzą się mordercze instynkty, gdy ktoś niefortunnie zechce zastosować ten rodzaj pobudki, kopniakiem lub szarpnięciem. Naturalna reakcja obronna. W ogóle jest bardzo wrażliwy na dotyk. Szczególnej ochronie podlegają zwłaszcza uszy. Każdemu, kto zechce ich dotknąć lub nie daj panie boże szarpnąć, w trybie natychmiastowej wykonalności zostaną odrąbane łapy. Gdyby Wons zdecydował się na tę formę przebudzenia zginąłby tu i teraz, trup na miejscu. Póki co wyrok zostaje odroczone. Za oknem majaczy ruina skutecznie zbombardowanego dworca w Szydłowcu, gdzie zatrzymują się już tylko pociągi z bydłęcymi wagonami. Za chwilę w zgodzie z mapą podróży wymęczonym szorstkimi krajobrazami oczom ukaże się okazały budynek monumentu sztuki kolejarskiej w Skarżysku. Dworce, jak pałace, takie hasło ciśnie się na zaciśnięte, suche usta. Chwila bezpowrotnie mija i zgodnie z przewidywaniami w nieruchomiejącym kadrze pojawia się szara bryła dworca. Wjeżdża centralnie w kadr

majestatycznie posepna figura architektonicznej zemsty. Pociąg zatrzymuje się ze świstem i piskiem. W kłębach dymu Leon, krocząc za plecami Wonsa wysiada z wagonu, zmienia swój stan skupienia. Przystawia się z trybu „senne znudzenie” na „czujna ciekawość”. Rozgląda się, chyba był tu raz we wrześnie podczas odwrotu, zresztą nieważne, przecież wszystkie dworce kolejowe w Polsce wyglądają tak samo, chujowo znajomo. Odczuwa niepewność, jego ruchom brak jeszcze zdecydowania, zachowanie zdradza zagubienie w nowej przestrzeni. Brakuje mu tej eksploracyjnej ciekawości charakteryzującej turystę, brak także gorączkowego pośpiechu autochtona. Cóż tu może być interesującego, jakie atrakcje oferuje to przemysłowe miasto zbudowane wokół zbrojeniowej fabryki? Wszystko jest nazbyt nowe, do bólu ergonomiczne, przemyślane i zorganizowane w nowoczesnie funkcjonalny sposób tak bardzo obcy okolicznym żydowskim miasteczkom rządzącym się podobnie, jak alfabet hebrajski zupełnie niezrozumiałymi dla kogoś z zewnątrz pokrętnymi regułami. Tutaj jest inaczej, nie ma jeszcze smrodliwego nalotu historii, do którego tak łatwo przywyknąć. Brakuje pożółkłej tradycji zduszonej w opasłych, zakurzonych księgach, ale czuć coś specyficznie innego, jakby nowego ducha wytopionego w hutniczych piecach Centralnego Okręgu Przemysłowego. W powietrzu unosi się zapach towotu, chemicznej syntezy o metalicznym posmaku, skondensowany oddech przemysłu zieje z każdego zakątka. Zapach zupełnie obcy naturze. Zapach technicznej dominacji, prymatu ciała nad duchem. Miasto jest sterylne jak laboratorium. Nie widać tu etnicznego brudu. Nie ma śmierdzących czosnkami szmacciarzy pokrytych kurzem tłustych włosów, nie ma gangów bosonogich pucybutów napadających na przechodniów, brak zasmarkanych, bezdomnych dzieci o wielkich oczach ukraińskiego głodu. Polska społeczność jest w tym miejscu mocno jednorodna o blond włosach i białych zębach, o skórze i tęczęwkach nieskażonych ciemnym pigmentem semickiego rodowodu. To stosunkowo młode miasto jest ewenementem w tym rejonie kraju. Pod względem ilości ludności żydowskiej, to zaledwie 10 procent miejscowej populacji, podczas gdy w okolicznych miastach proporcja potrafi być odwrotna. Zażydzenie sięga 70 — 80 procent. Nazwanie takiego miasta jak na przykład Szydłowiec miastem polskim nabiera dość osobliwego charakteru o śniadym, smutnym zabarwieniu. W Skarżysku nawet neogotycki kościół nie osiągnął jeszcze pełnoletności, liczy sobie zaledwie 15 lat, choć wygląda na o wiele starszy. Jego dwie strzeliste wieże prężą się triumfalnie na nieboskłonie niczym jednojajowe bliźniaki okryte purpurową muskulaturą zachodzącego słońca ku chwale Chrystusa Pana. Wons kieruje swe kroki właśnie w tamtą stronę. Oto miejsce kresu dzisiejszej wędrówki.

— Oto miejsce naszego spoczynku. Będziesz się mógł wypowiadać u mojego ulubionego księdza — powiada wskazując palcem wskazującym dwie kościelne wieże.

Idealne miejsce dla strudzonego wędrowca wymiętego przez środki transportu publicznego. Co za ulga, że nie wskazał cmentarza, który także majączy gdzieś boleśnie w oddali w zasięgu wzroku na tle wzdętych gór świętokrzyskich porośniętych kędzierzawym lasem — pomyślał Leon patrząc na las krzywych krzyży.

Ksiądz wspomniany przez Wonsa to Ignacy Kryński. Postać złożona. Raz, a dobrze. Można by rozbierać jego osobowość na podstawowe elementy i próbować złożyć je w inny, dowolnie przemyślany lub przypadkowy sposób, a i tak mimo hipotetycznie wielu możliwości prawdopodobna jest tylko jedna. Efektem końcowym zawsze będzie ksiądz Ignacy Kryński. Typ sienkiewiczowski, skrzyżowanie Rocha Kowalskiego z Maćkiem z Bogdańca. Kanonik kapituły sandomierskiej, proboszcz parafii pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego w Skarżysku. Prywatnie brat Gustawa, dawnego zarządcy majątku w Rzurowie, obecnego dzierżawcy tego romantycznie podupadłego dworku. Tragiczny stan tego majątku wpisywał się doskonale w polską romantyczną tradycję zakorzenioną w niepodległościowej masie upadłościowej, którą od lat zarządzał kościół. Taka historia. Ksiądz Ignac znał dobrze rodzinę Wonsów, jak zresztą większość okolicznych rodzin ziemiańskich, na których nieco pasożytował. Były one idealną, naturalną pożywką dla jego bogatej egzystencji przebranej w skromne szaty duszpasterskiej posługi. Rozwinął się na ich tkance we wspaniale odżywnego grzyba, podziwianego przez miejscową tłuszcę wierzącą, że grzyb jest wyższą ewolucyjnie formą humanizmu, istotą wyższego rzędu

przynależąca do innego, wspaniałego królestwa, gdzie drożdże posiadały najwyższy stopień wtajemniczenia, miały udział w boskim planie, poprzez proces fermentacji stając się Lacrima Christi, srebrnymi łzami łagodzącymi ból egzystencji podobnie, jak pół szklanki krwi młodej Cyganki. Ptolemeuszowi udzielał pierwszej komunii, a Mateuszowi ojcu jego ostatniego namaszczenia. Oględnie jest wtajemniczony w rodzinne sprawy. Ma wgląd we wszystkie sprawy na styku ziemi i nieba, a ponadto także w sprawy najwyższej wagi państwowej. Mimo że państwa już nie ma to waga i sprawy jednak pozostały. Zacie i wyrozumiale wita spodziewanych gości na progu plebanii. Z daleka bije od niego ta polska gościnność. Z bliska już jakby mniej.

Wons wita się z księdzem serdecznie. Leona przedstawia jako zaufanego kolegę z wojska.

— Zaufany kolega z wojska. Nasz nowy nabytek — mówi z naciskiem na „zaufany” i „nabytek”. Zapomniał tylko wspomnieć, że obecny pracodawca kolegi z wojska to wojsko, które rozgromiło z kolei wojsko, w którym kiedyś byli kolegami z wojska.

— Ksiądz jest sam? — zapytuje asekuracyjnie dla pewności Wons, aby już na wstępie nie popełnić jakiegoś błędu w konspiracyjnej procedurze.

— Nie, oczywiście, że nie sam, choć w pewnym sensie sam. Zapraszam, bez obaw jest ze mną tylko Mimi... i Duch Święty — odpowiada wznosząc oczy pod niebiosa przymkniętych powiek i ścisząc głośnie.

— Mimi? Nowa gosposia? — dopytuje grzecznie kapitan.

— Gosposia? Eee nieee, zwykła małpa. Za chwilę zapewne przyjdzie się przywitać, ma nienaganne maniery, można wręcz pobierać od niej lekcje savoir vivru — informuje ksiądz.

— Małpa? Czyli jednak gosposia — upewnia się wnikliwy Wons.

— Tak. To znaczy nie, nie gosposia, istota człekokształtna, a konkretnie szympan. Mieszkamy razem już od dwóch lat. Usiądźcie proszę — wskazuje okrągły dębowy stół w kuchni — pewnie chłopcy jesteście głodni i spragnieni a mam tylko chleb i wino.

— Dziękujemy, w zupełności wystarczy — mówi Wons. — Ale co z tą Mimi? — dopytuje zaciekawiony.

Czyżby kleryk zupełnie postradał rozum? W tej chwili jakby wywołana na scenę zza kurtyny, w drzwiach pojawia się, wchodzi do pokoju we własnej osobie małpa. Oczom zebranych ukazuje się najprawdziwsza na świecie małpa, żywa na podłogowych deskach się giba! Wita się z gośćmi podając im długą prawicę, po czym sprytnie wspina się na krzesło zasiadając najnormalniej w świecie do stołu. Wons z Leonem patrzą zdumieni to na siebie, to na księdza, to na małpę, a właściwie na szympansa, znów na księdza. Nie do wiary dla takich jak oni ludzi małej wiary, taka sytuacja jest co najmniej dziwna, jak halucynacja, aczkolwiek zaskakująco ciekawa. Nie wiedzą jak się zachować, nawet Wons obeznany z zasadami etykiety oraz zaznajomiony z różnymi dekadencjami wybrykami wielkomięskiej bohemy jest nieco skonfundowany.

— Zachowujcie się normalnie — prosi ksiądz. Radzi widząc nieudolnie skrywane zmieszanie. — Proszę, proszę siadajcie. Zaraz wam wszystko opowiem — obiecuje krzątając się po kuchni w poszukiwaniu zaoferowanych produktów.

— 7 września 39, przymusowo wylądował się u nas pociąg z trupą cyrkowców i bogatym inwentarzem egzotycznych zwierząt z cyrku Staniewskich. Wracali do Warszawy z gościnnymi występów gdzieś w kraju. Dworzec w tym dniu został zbombardowany — opowiada, stawiając na stole zakurzoną butelkę z zielonego szkła bez etykiety. — Mimi musiała się zgubić w ewakuacyjnym chaosie podczas bombardowania dworca. Sami wiecie co się tu wtedy działo. Kilka dni musiała się błąkać po okolicy w tym swoim śmiesznym garniturku, aż w końcu trafiła do mnie. Znalazłem ją w kościele śpiącą w prezbiterium. Nie miałem serca jej wyrzucić, przypominała zagubione dziecko.

— Skąd ksiądz wiedział, jak ma na imię, chyba się nie przedstawiła? — pyta już nieco rozluźniony domową atmosferą plebanii Wons.

— Wylegitymowałem ją — odpowiada w podobnej tonacji ksiądz Ignacy.

— To ma nawet dokumenty? — niedowierza Ptolemeusz.

— Oczywiście, że nie, żartowałem. Jej wygląd wydał mi się znajomy. Rozpoznałem ją po aparycji i garderobie. Widziałem kiedyś jej fotografię, siedziała na dachu krakowskiego Pałacu Prasy czytając gazetę, to była taka swoista reklama czytelnictwa. No i zdradziła swą tożsamość swoją sławną skłonnością do palenia tytoniu. Radzę nie wyjmować przy niej papierosów. Potrafi być nachalnie uparta w dążeniu do celu. Po za tym jest bardzo inteligentna. Odkąd gestapo aresztowało mojego wikarego, mała służy mi przy liturgii. Z daleka w komży przypomina chłopca. Jest bardzo pomocna. Niestety ku mojej i swojej zgubie wino też bardzo lubi. Poza tym przypomina mi nieco Harisza o ile wolno mi o tym wspomnieć w naszym towarzystwie. — Patrzy porozumiewawczo na Wonsa, który skinieniem głowy utwierdza księdza w przekonaniu, że wszystko jest w porządku i można mówić swobodnie na różne tematy w tym zaufanym gronie.

— Proszę księdza, czy ona rozumie o czym się przy niej rozmawia? — Leon włącza się do rozmowy zaciekawiony, chcąc na wstępie rozwiać wszelkie wątpliwości.

— Przypuszczam, że nie. Pewności jednak nie mam, ale bez obaw, na przesłuchaniu na pewno nic nie powie, jeśli o to chodzi, na gestapo też raczej nie doniesie. — Ksiądz rozwiewa wszystkie wątpliwości, wyczuwając je niczym hiena padlinę. Uśmiechając się smutno swymi wargami mięsistymi.

— W Krakowie gościła w restauracji Hawelka — kontynuuje — w Warszawie bywała w Astorii, a teraz jest u mnie. A tu tak skromnie. — Widać, że trochę go martwi ta przykra sytuacja. Odczuwa pewien dyskomfort, zestawiając swą ascetyczną doczesność z minionym przepychem świata szympansa.

W końcu wszyscy siadają przy okrągłym stole. Rycerze króla Artura. Leon jest oczywiście Lancelotem z Jeziora, Prusakiem z Jezioraka. Ptolemeusz pasuje do Parsifala, nieokrzesanego młodzieńca, który jednak nie pogardziłby godziną zapomnienia w ramionach Róży Piekielnej. Ksiądz Ignacy jako gospodarz jest królem Arturem, sprawiedliwie dzieli, sądzi i rządzi. Dla mały zostaje idealna wręcz rola Saracena Palomidesa. Święty Graal stoi na stole w serwantce odnaleziony i to nie jeden, a pomnożony razy cztery. Wszyscy chcą posiąść siłę Graala. Chleb zjadają, cierpkim winem z mszalnych kielichów popijając. Nie wygląda to nijak na ostatnią wieczerzę, nie z szympansem przy stole, który tak samo, jak wszyscy, je, pije, ciało moje i krew moją kosztuje. Jak wszyscy to wszyscy. Na chwałę Pana. Na wieki wieków. Amen. A teraz człekokształtni przedstawiciele inteligencji o różnym stopniu zaawansowania zapewne by zapalili papierosa na werandzie. Czyż nie? Oczywiście. W ten ciepły bezwietrzny wieczór nie zaciągnąć się papierosem to grzech. Spełnia się marzenie o krótkiej chwili odmierzonej długością papierosa kojącego wszelkie bolączki czasem spopielone. Mimi już lekko rozluźniona patrzy łaskawie na Leona ze zwierzęcym błyskiem w oku Saracena. Jest w niej jakieś zaciekawienie zmieszane z odrobiną oczekiwania. Leon boi się odwzajemnić spojrzenia. Boi się wejść na nieznaną ścieżkę interakcji z tym stworzeniem. Nie wiedziałby jak się zachować, sytuacja jest dalece nietypowa, znacznie przerasta jego improwizatorskie zdolności. Nie wie za bardzo jaką miarkę do tego przyłożyć, jak wyznaczyć pole kompromisu, gdzie zakreślić nieprzekraczalne granice. Czy potraktować to, jak kontakt w relacjach międzyludzkich, czy może zachować gatunkowy dystans. Zwierzę, jak człowiek, człowiek, jak zwierzę. Taka logika. Takie czasy. Wszystko postawione na głowie w imię nowego porządku taki bałagan.

— Chyba wpadłeś jej w oko — podsumowuje spostrzegawczy Wons. — W nocy radziłbym ci spać przy zamkniętym oknie i solidnej barykadzie przy drzwiach. — Ironizuje odrobinę przy milczącej dezaprobach księdza Ignacego, który w międzyczasie szybko zaproponował i jeszcze szybciej rozlał nie czekając na odpowiedź po kieliszku piekielnej, tureckiej anyżówki. Leon zerka

na szympansię w końcu przecież samice i otrząsa się na samą myśl o jej organach płciowych i kopulacji. W najdalszych zapędach nie dopuszcza takiej możliwości. Jest niewyżyty to prawda, ale nie aż tak, aby zdobyć się na taki drastyczny akt sodomii w dodatku na plebanii. Wydaje się, że małpa podziela jego wątpliwości. W tym czasie Wons wpadając na trop tych rozterek wesoło podśpiewuje:

Ach te Rumunki

Ich pocałunki

z obcego kraju

Wprost do raju wiodą bram

Jak wypić to z Rumunką w Bukareszcie

Ja byłem tam więc przykład ze mnie bierzcie

Młode Rumunki

Kochają trunki

Jak mocne wino tak smakują nam[5]

Ksiądz Ignacy uśmiecha się demonicznie w skrytości swych krzaczastych brwi, unosząc do góry oceaniczny kieliszek wypełniony po brzegi wzburzonym Atlantykiem. Lubi zaangażowane piosenki prawie tak bardzo, jak patriotyczne pieśni i ludowe przyśpiewki. Z kieliszkiem w dłoni wygląda jak czarna statua wolności. Śpiewając intonuje toast w rytmie tanga nie gorzej niż Tadzio Faliszewski swe przeboje.

— Nie przyjmuję odmowy. Na zdrowie panowie. Mimi pauzuje kolejkę — płynnie oznajmia mięknącą polszczyzną, przechodząc szybko od słów do czynów. Nikt nie ma wątpliwości, kto tu rządzi, kto nadaje rytm, kto jest punktem centralnym wokół, którego kręci się świat. Król Artur w sutannie. Daje przykład, zachęca, atmosferę nakręca, nasącza ponczem i wyciska, jak cytrynę. Wywołując u swych gości poczucie zdyscyplinowanego obowiązku, a u gatunkowo osamotnionej Mimi wskrzeszając coś na kształt rodzącego się wolno pełzającego po podłodze rozżalenia przyjmującego formę małpiej, egzystencjalnej zadumy nad kulejącą kondycją homo erectusa. Kieliszki zostają opróżnione jednym haustem. Na rozkaz. Gotowość i strzał. Bez sprzeciwu, ale i bez entuzjazmu. Leon poznaje cierpienie w płynie. Odczuwa, jakby wlał do gardła ziołowy balsam na grzybicę stóp wymieszany z płynnym ołowiem. Wonssem obrzydzenia dreszcz wstrząsa, od stóp do głów, po końcówki włosów, dymi czerep. Smak anyżówki skręca włosy w nosie, spala tlen wokół ust. Przegryza szybko wiejskim chlebem, aby zneutralizować te wspaniałe doznania. Musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Każdy haust będzie zbawienny niczym hostia. Leon to znaczy Lancelot, Wons Parsifal z wąsem, oraz podążający ich tropem karłowaty cień Palomidesa vel szympansa znowu wychodzą na drewnianą werandę plebanii, aby przepalić nikotyną podrażniony anyżówkową zagładą przełyk, okadzić mirrą błękitnego dymu podrażnione do ognistej czerwoności tkanki. Nałóg jest silniejszy niż zdrowie i daje więcej przyjemności niż dobre wychowanie i jeszcze lepsze odżywianie, a w pewnych okolicznościach bywa wręcz kojącym azylem dla zbłąkanych myśli, ostatnim bastionem samotnej zadumy nad kondycją ludzkości uosobionej we własnej postaci urastającej do zasady bezsensownie filtrującej uniwersum. Nawet małpa o tym wie. Palenie jest, jak oddychanie, jak raz zaczniesz, nie możesz przestać. To znaczy, możesz przestać, jeśli tylko chcesz, ale wtedy życie straci smak. Palenie jest przyjemnie uzupełniającym urozmaiceniem tego nudnego procesu stopniowej, powolnej degradacji, elementem świadomego rozpadu materii w przestrzeni. Taki trochę bunt organizmu przeciwko prawu

naturalnemu. Świadoma rezygnacja z przyjemności, aby przedłużyć agonię nie jest najmądrzejszym rozwiązaniem jeśli chodzi o marnotrawienie wolnego czasu zwłaszcza w obecnych niespokojnych czasach.

Mimi kopci jak huta żelaza lub krematorium w poniedziałkowy pracowity poranek. Dymi, jak zawodowiec z wdziękiem angielskiego arystokraty zalegającego w skórzanym fotelu w ekskluzywnym klubie prywatnych właścicieli środków produkcji. Doskonale pasuje do elity ojców industrializacji. Powietrze wypełnia hałaśliwa wibracja. W zasięgu wzroku słychać pociąg towarowy przetaczający się przez pobliski żelazny most kolejowy. Monotonnie rytmicznie czas biegnie po równoległych szynach w lokomotywie Tuwima. Niespodziewanie małpa chwytając za dłoń Leona, chwilę przygląda się wewnętrznej stronie, jakby czytała z linii papilarnych mapę życia. Wnikliwie studiuje topografię wyrytych w niej wydarzeń, jakby chciała wywróżyć przygód bez liku w bajecznych krainach i przestrzec przed niebezpieczeństwami czyhającymi na śmiałków co to kulom się nie kłaniają i bojaźni nie znają przed z piekła rodem kreaturami. Wzroku małpiego od ludzkiej dłoni nie odrywając, liże z wolną tę dłoń językiem szarym swym szorstkim, dłoń Leona liże, kartę z książki życia ślini, kubkami smakowymi smakuje, linię serca przecina językiem hominida. Nikt nic nie rozumie.

Po krótkiej przerwie wszyscy wracają do okrągłego stołu, ponownie siadają na swoich miejscach. Niestety. Kieliszki już napełnione. Były puste, a są pełne. Cud. Wina już nie ma, a anyżówka nie chce się niestety skończyć, jest jak trening pokory, bolesny, aczkolwiek skuteczny, święta inkwizycja pośród alkoholi.

— Może rozcieńczyć? — Pyta z lekko ironiczną troską ksiądz proboszcz, widząc trudne do ukrycia rozterki.

— Dziękuję, nie trzeba. — Odpowiada Ptolemeusz myśląc, jak bardzo trzeba nie kochać własnej matki, aby upijać się czymś takim. Trzeba było jednak rozcieńczyć, ale trochę wstyd się przyznać do słabości. Leon w tej sytuacji także nie ma wyboru. Musi być twardy i po chrześcijańsku cierpieć w oczekiwaniu na zbawienie. Małpa pije rozcieńczone, ksiądz przyrządza jej „łwie mleko”. Za późno na zmianę zdania. Dla wszystkich stało się jasne, że pierwszy kieliszek był głębokim zwiadem, penetrującą organizm ekspedycją naukowo badawczą. Drugi to zmasowany atak złotej ordy, frontalne uderzenie, inwazja na strategiczne punkty. Trzeci zwiastuje bezwarunkową kapitulację, totalny paraliż centralnego ośrodka decyzyjnego. Czwarty to ostateczne rozwiązanie kwestii trzeźwości, likwidacja ostatnich punktów oporu, prawdziwa eksterminacja, biała flaga łopocząca na wietrze. O „naszych” sprawach nikt nie rozmawia, bo i po co. Zresztą Leon i tak o niczym nie ma pojęcia. Nic nie wie o żadnych „sprawach”. Posiada najwyższy stopień niewtajemniczenia. Wszystko zostało wcześniej ustalone przez Wonsa z księdzem Kryńskim i nie ma już o czym mówić, gdyby coś się zmieniło, sam podjąłby temat, a nie podejmuje. Leon pije więc bezpretensjonalnie wrzące łyżę w ciepłą wiosenno letnią noc w płynie pije na fali płynie wydarzeń na wzburzonym oceanie wielowątkowej historii, gdzie sternikiem, żeglarzem, okrętem jest kapitan Wons. Coraz większy wzbiera sztorm. Coraz większy przechył. Nie wiadomo dokąd to wszystko zmierza, zapewne ku jakiemuś brzegowi, najważniejsze, że nie na dno. Realizacja planu jest w toku. Jutro rano przyjedzie po nich Marian Kujbida oficjalnie pijak ze wsi Łazy i kościelny organista w jednym. W rzeczywistości kapral Rogal, były strażnik z PFA[6]i zdemobilizowany żołnierz 12 pułku Ułanów Podolskich. Człowiek podobno zaufany i od roku zaprzysiężony w organizacji. Ponura postać o krępej budowie ciała wyprostowanego na krzywych nogach orangutana. Pokieruje wycieczką przez wiochy i lasy Kielecczyzny prosto do Rzućkowa, po drodze zahaczając o szydlowiecką metropolię. Wszystko biegnie swoim rytmem, niezależnym od woli, chęci, czy niechęci, obcym powierzchownej wiedzy i wnikliwej analizie. Ważne, że „nasze” sprawy są aktualnie także w jakimś sensie sprawami Leona. Choć ciągle nie wie, jakie to sprawy nie mówiąc już o doszukiwaniu się w tym wszystkim sensu. O północy, gdy wszyscy mają już dobrze w „czubie” Wons wraz z księdzem stają się ceremonialnie oficjalni. Przypominają filmowy duet szalonego Reinfielda i stoicko niebezpiecznego Draculi podczas spirytystycznego seansu. Leon czeka tylko na grom z ciemnego nieba, który rozświetli

na chwilę noc, wydobywając z niej zgarbiony cień lęku przebiegający po kościelnym murze z czerwonej, palonej cegły. W tej samej chwili w grobowej ciszy pustej krypty złowieszczo zawyją organy, zadrży pajęczyna na strychu strachu, zgaśnie zdmuchnięty wiatrem płomień w gromnicy stojącej przy ołtarzu, mysz w piwnicy znieruchomieje, wytrzeszczając oczy serce jej pęknie, mleko w krowich wymionach skwaśnieje, a trędowaty felczer ozdrowieje. Pionizują postać zamroczonego Leona przed swym pijanym majestatem, informując całkowicie poważnie, choć półprzytomnie, że musi być zaprzysiężony, aby mógł uczestniczyć w pełnym zakresie w dalszych wydarzeniach. Chyba nie ma większego wyboru w tej sytuacji. Nie można teraz po prostu wyjść i złapać pociąg do domu. Trzeba zostać. Taka konieczność. Zresztą, co to szkodzi, możliwe, że rano nikt nie będzie tego pamiętał. Każą położyć lewicę na biblii trzymanej przez księdza, prawicę unosząc w górę. Teraz trzeba powtarzać tekst recytowanej przez księdza przysięgi. „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej... na znak męki i zbawienia. Przysięgam... o wyzwolenie Jej z niewoli... aż do ofiary... a tajemnicy dochowam niezłomie...” W obecności świadków i pisma świętego ksiądz Ignacy ps. „Mnich” przyjmuje przysięgę pieczętując ją słowami „... Zwycięstwo będzie twoją nagrodą. Zdrada karana będzie śmiercią.” Krzepiąca perspektywa. Leon właśnie zasilił szeregi podziemnej organizacji o konspiracyjnej nazwie Stowarzyszenie Samopomocy Społecznej SSS.

— Zauważ, że mamy o jedno eS więcej od naszych wrogów — informuje dumny Wons ps. „Wiktor”. Bratersko ściskając znajomą dłoń Leona, gratulując dostąpienia zaszczytu, klepiąc pokrzepiająco po plecach.

— Mam nadzieję, że to nie jedyny wasz atut — rzuca w odpowiedzi odrobinę cynicznie nowy organizacyjny nabytek.

To już druga taka przysięga w ciągu dwóch lat, czyli chyba całkiem niezły wynik. Podczas upojnej nocy Leonowi udało się zostać przyjacielem szympansicy wypijając z nią bruderszaft oraz etatowym konspiratorem o pseudonimie „Makak”. Ośmielony przynależnością do kręgu wtajemniczonych Leon dopytuje Księdza Ignacego, czy aby pseudonim „Mnich” nie jest zbyt oczywisty w kontekście wykonywanej przez niego profesji? W odpowiedzi dowiaduje się, że właśnie dlatego taki pseudonim jest najmniej prawdopodobny. Z tego samego powodu Leon otrzymał przydomek „Makak”, ze względu na skojarzenia. Jakoś nie bardzo to przekonujące, poza tym jakoś to za dobrze nie brzmi, ale konspiracja rządzi się własną logiką, której podważanie nie leży w niczyim interesie ani w zakresie dostępnych kompetencji. Akceptacja tajemnicy nawet absurdalnej jest warunkiem względnego bezpieczeństwa. Trzeba to przyjąć bez dociekliwości, jeśli ambicją jest przeżycie w tym specyficznym środowisku. Tak postanowili nowi zwierzchnicy w tym przypadku Wons i Kryński, czyli odpowiednio dowódca samodzielnego oddziału dywersyjno-wywiadowczego, który przed chwilą zyskał nowego członka i zastępcę komendanta obwodu Skarżysko w tajnej organizacji, znanej Leonowi pod jedną z mniej tajnych nazw. Nie można traktować pseudonimu jako złośliwości, raczej jako sytuacyjny żart, humorystyczny akcencik tak przecież potrzebny w tych bądź co bądź posepnych czasach. Ale dlaczego po raz kolejny Wons bawi się jego kosztem? To chyba już taka tradycja. Nieważne. Ważne, że w końcu wiadomo coś o misji, w której Leon będzie miał swój udział. Znany jest również zakres przedsięwzięcia, którego od teraz jest nieodłączną częścią. Leon zastanawia się tylko czy ta nowa sytuacja zwiększa czy zmniejsza jego szansę na przeżycie tej wojny. Obaj konspiratorzy w postaciach „Mnicha” oraz „Wiktora” byli przedstawicielami enigmatycznej „firmy” usługowo-handlowej o zasięgu międzynarodowym. Ryzykownym interesem zarządzał tajemniczy „Kardynał”. Każdy członek firmy dostąpi kiedyś zaszczytu osobistego poznania jego ekscelencji. Na tajnej audyencji udzieli namaszczenia. Podczas tej ceremonii trzeba cmoknąć go w rubinowy pierścień, a on w nagrodę wręcza grubą kopertę. Takie jest ogólne wyobrażenie. Organizacja miała strukturę i nomenklaturę kościelno-militarną. Klasyczna piramida złożona z mniejszych w dużym stopniu usamodzielnionych piramidek. Towarem była głównie informacja. Kto, co, gdzie i kiedy? Podstawowe pytania na które „firma” poszukiwała odpowiedzi, udzielanych następnie swym mocodawcom za hojne honoraria przeznaczane częściowo na finansowanie

działalności struktur państwa podziemnego, a w jego ramach także głównego postulatu walki zbrojnej z..., no właśnie z mocodawcami. — Nasza handlowa strategia to odpowiadanie na informacyjne zapotrzebowanie. Nie obchodzi nas przyszłość, tylko kształtowanie teraźniejszości. Cała reszta to mało istotny niuans. Odciskamy piętno na tym, co jest tu i teraz. Tu i teraz nakreślamy perspektywę przyszłych dni, miesięcy, lat. Sprzedajemy nowe technologie, czasami tylko pomysły, które dają nowe możliwości, otwierają drzwi nieograniczonych korzyści. Realnie zmieniamy świat. — Tak mówią. Same ogólniki, Bóg, wróg, honor, ojczyzna. Niewiele konkretów. Im mniej wiadomo, tym lepiej. Wiadomo. Tak twierdzą. Oczywiście lepiej dla nich, a najlepiej dla tych, którzy gdzieś tam w wygodnych fotelach pija koniak, palą cygara i pociągają za sznurki, robiąc dobrą minę do złej gry. Wytrawni hazardziści. Dla Leona jednakże to „mniej” oznacza gorzej. Ogólniki nie interesują rzeźników z gestapo. Mniej więcej to więcej strachu, tortur, pytań, na które nie ma odpowiedzi, a swą niewiedzę będzie musiał udowodnić krzykiem, przypieczętować bólem, podpisać własną krwią.

Stała się nam w Polce trwoga
Ni od ludzi, ni od Boga.
Od nieszczęsnych heretyków
Zginęło dość katolików.
Matkom piersi odrzynali,
I na ziemię psom ciskali.
W bokach dziury wyrzynali,
I jęczmienia ości tkali.
I te dziatki małe brali,
I w kotłach je gotowali.
A jak ci je zgotowali,
Ojcu, matce jeść kazali.
Nie miałać ja tak bolenia,
Jak mi przyszło do rodzenia.
A ja teraz boleć muszę,
Swoje dziatki jeść ja muszę.
Nie masz też tu nad jednego
Jegomości Czarnieckiego.
Szablą rąbie, kole, siecze,
Aż mu krew rękawem ciecze...[7]

Na zakończenie jakże owocnego posiedzenia chwilowo lirycznie usposobiony ksiądz żałośnie intonuje jakże pocieszającą patriotyczną piosenkę w rytmie pijanego oberka z przytupem.

— “Czarniecki”, “Hetman”, albo chociaż “Stefan” to byłby dopiero przyzwoity w pełni akceptowalny pseudonim — rozmyśla zawiedziony nieco „Makak” wyzbywając się resztek trzeźwości, tuląc się do lekko otumanionej, miękko sierściowej małpy.

W nocy było wesoło. Wszyscy zupełnie zapomnieli o ciszy nocnej, godzinie policyjnej i zapachu

karbidu z pobliskiej fabryki amunicji. Mimi, Makak, Wiktor i Mnich pokonali dzielnie jeszcze jedną butelkę wrogiej anyżówki, umacniając jeszcze bardziej międzygatunkowe więzi zacieśnione w koalicji zjednoczonej w konsumpcyjnej walce ze sztandarowym trunkiem agresji osmańskiego imperium. Niestety ostatecznie trunek Turek zatriumfował, usuwając grunt spod stóp wyzwolonych od jarzma błędniaka, a w zasadzie usuwając skutecznie nogi z gruntu, ukazując całej bezwolnej masie potęgę grawitacji.

Wczesnym porankiem dnia następnego kaprała Rogala Mariana nie zastanawia wcale małpa pijana, ani ksiądz z Wonsem pijani na plebanii. Dziwi go jedynie ten typ wyglądający na trzeźwego. Już sam fakt trzeźwości po nocy spędzonej w towarzystwie księdza Kryńskiego i jego anyżówki wydaje się być równie podejrzany co nieprawdopodobny. Ale to mylne wrażenie. Poza tym nie lubi nowych twarzy, obcych twarzy. Z małą mieli już dość okazji, aby się poznać i niekoniecznie polubić. Nie rozumiał słabości księdza to tej istoty niższego rzędu, ale przecież są na niebie i ziemi rzeczy, które się nawet filozofom nie śniły. On z pewnością nie był filozofem, więc nie zastanawiał się długo nad sensem tej znajomości. Marian traktował ją jak żywą maskotkę, na równi z pieskiem, papugą lub kotkiem. Czasami chciał tego stworza potraktować butem, innym razem pogłaskać. Gdy ksiądz nie widział drażnił się z Mimi tarmosząc ją za wielkie, kosmate ucho, po czym oblaskawiał skórą od chleba, którą podawał ustami udając sympatycznego orangutana, ale na Mimi to nie robiło wrażenia. Co innego kieliszek sherry, portwajnu, kubańskie cygareto lub dobry francuski papieros. W przypadku Mariana to byłyby ostatnie rzeczy, którymi mógłby się podzielić z kimkolwiek, zwłaszcza z małą. Patrzyła na te jego próby, jak na żenującą błazenadę, wygłupy kretyna gorszego nawet do clowna Fido, z którym współpracowała w cyrku, z tą różnicą, że Marian niczego nie udawał i nie był w ogóle zabawny.

Po godzinie siódmej, wedle rozkazu, podjechał czarnym fiatem 508 pod plebanie i zgrabnie z gracją trzymającego nerwy na wodzy wozaka opuścił pojazd i podszedł pewnie do drzwi. Samochód był brudny, kierowca zaniedbany albo odwrotnie. Widać, że się uzupełniali. Pasowali do siebie. Przybysz wyglądał, jak zaufany szofer jednego z tych wołyńskich magnatów, co to raz w tygodniu wieczorem zwykł bywać z całonocną wizytą u pańien lekkich obyczajów w wojewódzkim mieście. Taki obojętny na wszystko i zorientowany we wszystkich tematach, profesjonalnie wykastrowany z emocji typ zaufanego służącego. Nawet w życiu pozagrobowym byłby oddanym sługą w liberii, takie geny, taka karma. Na twarzy zdradzającej przebrzmiałą dawno sielankę drobnomieszczańskiego dobrobytu bruzdy niezgody na obecny stan rzeczy i zmarszczki kryzysowego strapienia walczyły ze sobą o wyrazistość, tocząc wyrównaną batalię bez szans na wygraną którejkolwiek ze stron tego konfliktu. Ze zmiętym kaszkietem w niezgrabnych dłoniach stanął w drzwiach, wypełniając całkowicie ich prześwit. Leon raczył się akurat kwaśnym mlekiem znalezionym w kamionkowym garnku na parapecie w kuchni. Przeciągając dłonią po szorstkich powierzchniowo policzkach, dumał, co dalej? Był sam, stygł po gorącej, wysoko procentowej nocy, parując etanolem, próbując osiągnąć elektrolityczną równowagę. Wons był w trakcie porannych ablucji, a ksiądz z Mimi jeszcze spali. Spojrzał na złowieszczą postać w drzwiach. Bez wątplenia była to ludzka postać, której towarzyszył cień ponurego żniwiarza. Owa postać zawahała się przez chwilę, jakby chciała zrobić krok wstecz, uciec, lecz nie uczyniła tego, oceniwszy, że jest już na ten ruch za późno. Została zauważona i zapewne zapamiętana i z łatwością może być pojmana.

— Pochwalony. Ja do księdza Ignacego, przywiezłem jojka, chleb i mleko — rzekł improwizujący Marian przesadnie rustykalnie męskim głosem, przyjmując pozę zagubionego w porannej mgłę sympatycznego goryla.

Leon uprzedzony poprzedniej nocy o jego przybyciu domyślał się kim jest ten osobnik. Oczekiwano na jego przybycie. Jego najwidoczniej nikt nie uprzedził o obecności osoby, którą będzie widział pierwszy raz w życiu, a która wzbudziła w nim lekką konsternację. Szybko skrywane zdziwienie ustąpiło miejsca obustronnie nieufnej ciekawości. To był pierwszy kontakt Leona z kapralem Rogalem vel Marianem. Zdecydowanie ta postać nie przypadła mu do gustu.

Ksiądz Kryński żegna się ze swymi gośćmi z odrobiną rozrzewnienia i troski w głosie.

— Pozdrów szubrawca Gustawa, brata mego sędziwego i odwiedzaj mnie częściej — nakazuje Wonsowi trzaskającemu drzwiami samochodu, co potęguje u wszystkich uczestników nocnej libacji jeszcze większy ból głowy.

Plan jest następujący: W pierwszej kolejności trzeba udać się do Piotrowego Pola i gdzieś między Borcuchami, a Leśniczówką Kruki ukrytej na mapie wyrytej w głowie w korze mózgowej pośród licznych zagajników odnaleźć należy miejsce pochówku „świń”, butli gazowych do falowej emisji fosgenu. Po ich pieczołowitej, aczkolwiek pospiesznej ekshumacji trzeba je zabrać ze sobą i dostarczyć do Szydłowca. Przed wjazdem do Piotrowego Pola cała trójka nie licząc ubranej w garnitur małpy, przywdzieje odpowiednie odzienie, kamuflaż. Szare mundury Wehrmachtu, trzymające na dystans ciekawskich wieśniaków, wyróżniające tych, którym wolno wszystko, których nie pyta się o nic. Następnie w Szydłowcu już w cywilu zadaniem będzie odszukanie kogoś, kto wie, gdzie znajduje się ktoś, kogo znalezienie jest priorytetem. Ten ktoś jest adresatem przesyłki, ale też jej nadawcą. Ma wskazać paczkę, którą trzeba przetransportować dalej. Droga wiedzie przez leśne ostępy i zabite dechami wiochy, których próżno by szukać nawet na sztabowych, carskich mapach. Piękno natury tak wyraźnie kontrastuje tu z ubóstwem ludzkiego życia, że obrazy, które pojawiają się przed oczyma, sprawiają wrażenie jakiegoś baśniowego nadrealizmu lub może raczej podrealizmu. Budzi skojarzenia z czymś na kształt koszarnej bajki bez możliwości jakiegokolwiek szczęśliwego zakończenia i nie do końca zrozumiałym morałem. Tubylczy lud jest ciemny jak diabelski anus o północy na starym żydowskim cmentarzu. Wylegarnie zziębniętej nędzy wyhodowanej na obsranej przez inwentarz słomie, śmierdzące kurzym łajnem pożywki dla wszy. Rozsadniki zabobonu. Wiejskopolskie bogactwo form debilizmu prezentuje się w całej swej zróżnicowanej krasie. Bujnie kwitnie emanując odpychającym urokiem agresywnego nadmiaru głupoty ukształtowanej przez narodowo religijne kompleksy i upośledzenia. Ziejące nienawiścią zbiorowiska ucywilizowanego na siłę prostactwa, ludzkiej mierzwy dalekiej od najniższych nawet poruszeń wzniosłej duchowości, gdzie teologia jest zaawansowana, jak higiena jamy ustnej, a znajomość dekalogu tak autentyczna, jak seksualność nimfomanki u Najświętszej Panienci jaśniejącej łaskami na Jasnej Górze. Wszystko wkoło może się zmieniać, ewoluować, tworząc nowe jakości w ramach użyteczności, a zabobon pozostaje nienaruszony w niezmiennie doskonałej kondycji. Twarde jądro wiecznej głupoty, fundament miejscowej tożsamości jest niezniszczalny. Zza szyb auta obserwują szczerbatego zidiocenia enklawy poczciwego pokoleniowego, wiejskiego prymitywizmu odcisniętego zabliźnionym piętmem na przydrożnych rozdziawionych gębach świńskich blondynów i czarnostopych dziewczek reagujących z zaciekawieniem przepelnionym grozą na widok tak zaawansowanej technologii, jak samochód. Mimi nie zna takiej Polski z autopsji. Patrzy na te „boskie” stworzenia nieco oszołomiona wyobcowaniem, jakie ten widok w niej wywołuje, zdezorientowana nieco nieświadomym nigdy wcześniej poczuciem wyższości. Patrzy z piedestału swego zwierzęcego ucłowieczenia na te przerażające ludzkie formy zezwierzęcenia. Szympanica Mimi dzielnie towarzyszy w tej krajoznawczej przejażdżce. Tak postanowiła. Rano, tak mocno eksponowała chęć wyruszenia w tę krótką podróż równocześnie manifestując kategoryczną niechęć pozostania tego dnia z księdzem Kryńskim, że nie można jej było odmówić w trosce o stan techniczny plebanii i zdrowie proboszcza. Możliwe, że podczas nocnej libacji Mimi najwyraźniej poruszająca się z dużą swobodą w zawilościach chiromancji wyczytała w dłoni Leona swoją przyszłość, niepowtarzalną szansę na odmianę swego losu. Szansę tą Mimi złapała zwinnie i pewnie bananowym pochwycem.

Zaplanowana trasa wiedzie przez Szydłowiec, potocznie zwany Żydłowcem. Typowe miasteczko „cybulorzy”, jakimi upstrzona jest cała Galicja. Pełno tu żydowskich krawców, szewców, guzikarzy, czapników i rozmaitych geszefciarzy. W mieście jest kilka garbarni, szwalni, szewskich manufaktur i kamieniołomów, ale jego wizytówką jest mimo wszystko łachmaniarska bieda. Odpychająca i napastliwa, cuchnąca i opryskliwa. Bieda, nad którą nie można się ze wzruszeniem pochylić, tak aby zajrzeć w głąb jej pięknie smutnych oczu zagubionego na ulicach miasta dziecka, oczu przepastnych, bezdennych studni szczerzego żalu, oczu poruszających najczulsze struny duszy, oczu nakłutych wyszczerbionymi widelcami głodu będącego pożywką altruizmu. Próżno szukać tam

chrześcijańskiej wrażliwości dobrego samarytanina. W Szydłowcu zadomowiła się odpychająca bieda śmierdzącego dziada, ubóstwo umysłu i ciała pokrytego pokoleniowym strupem niezabliźnionych krzywd, brudem wydzielającym woń o ostrym zapachu przetrawionej cebuli, czosnku i mętnego bimbru. Bieda, w obliczu której nie można wskrzesić w sobie współczucia, nie sposób bez wstrętu, z pokorą obmyć jej stóp. W bezpośredniej konfrontacji w naturalnym odruchu traci się resztki empatii przeobrażonej w pogardę, współczucie zamieniając we wstręt, w wymiotny odruch bezwarunkowy i nieodpartą chęć prewencyjnej dezynfekcji lub natychmiastowej ewakuacji. Człowiek boi się, że zostanie zarażony nieuleczalną chorobą upadku cywilizacji, upadku narodu wybranego kumulującego na sobie nienawiść całego świata. Z ich ust ulatują ćmy, w spuchniętych żołądkach pękają ich kokony, z odbytów wypełzają obłe, ludzkie glisty. Miasteczko miało swój specyficzny rytm, coraz wolniejszy, zanikający puls. Urok uwiadu. Wszystko było tu schyłkowe, jednostkowe, niepowtarzalne, wzorcowo karykaturalne, skończone, to znaczy kończące się. Jeden kościół, synagoga, poczta, szkoła, mykwa, jeden lekarz, weterynarz, rabin, ksiądz, organista, finansista, grabarz, aptekarz, zły folksdojcz i dobry polski piekarz. Po krótkim, aczkolwiek intensywnym pobycie w technicznie precyzyjnym, urbanistycznie uporządkowanym i sterylnie schludnym Skarżysku, wytrawionym wysokoprocentowym alkoholem zmieszany ze święconą wodą, Szydłowiec wydawał się być wyspą trędowatych. Miejscem ze wszech miar „organicznym”, azylem dla zakażonych śmiertelnymi chorobami, przeobrażającym się powoli w cementarz rozkładem. Każdy dom, drzewo, człowiek, wszystko zainfekowane przez podskórne procesy gnilne. Nad rozanielonymi głowami unosi się mgliste widmo upadku, przedagonalna apatia zakorzeniona we wszystkich formach życia i śmierci w postaci smutku. Wszędzie tkwił załazek przyszłej tragedii. W powietrzu wisiał trujący opar kumulujących się obaw nad spiętrzonymi w hałdy odpadkami współczucia, życzliwości, nienawiści, chciwości. Pod stopami czuć, pod warstwą ziemi wybrukowanej kocimi łbami pulsujące gęste, koszerne szambo czekające na dogodny moment do wchłonięcia tego miejsca w całości, bez reszty, bez wyjątków i skrupułów.

Szydłowiec posiadał okupacyjny status „otwartego Getta”. Brzmi trochę jak oksymoron, ale to prawda, taki był stan rzeczy. Całe miasto było gettem. Ewenement na skalę Generalnego Gubernatorstwa. Taki trochę socjologiczny eksperyment ukazujący, że ludzi można uwięzić tylko przy pomocy samego strachu. Getto bez murów i kolczastych drutów, czyli po prostu obszar ograniczony czerwonym kolorem na mapie. Przekroczenie tej linii zagrożone było surową sankcją karną. Ten ograniczony czerwoną kredką obszar na mapie nie tylko skupiał ludność żydowską w jednym miejscu izolując ich od reszty świata, ale także paradoksalnie ta izolacja zapewniała im bezpieczeństwo. Chroniła przed zakusami szmalcowników. Każdy mógł się tu dostać, ale nie każdy mógł stąd wyjść. Wewnątrz wyznaczonej granicy jest bezpiecznie, na zewnątrz już nie. Oczywiście tylko dla Żydów. Pojęcie bezpieczeństwa jest dość specyficzne. W strefie izolacji śmierć jest mniej przypadkowa, bardziej oswojona, przewidywalna z odroczonym czasowo terminem wykonalności, lecz jest pewnikiem, do którego można się odnieść ze swoimi żałami, nadziejami, modlitwami. Leona i Wonsa to nie dotyczy. Oni mogą wszystko. Są bezkarni. Wons z polskiego kolaboracyjnego inżyniera z branży zbrojeniowej, którego udaje zwykle z powodzeniem w Prusach Wschodnich, w Guberni zmienia się w oficera abwehry. Dokumenty okazywane do kontroli zawsze usztywniają legitymującego osobnika, który energicznie salutuje i oddaje sprawdzane papiery, jakby go parzyły, sycząc życzy miłego dnia. Tak też było i tym razem. Zwalisty folksdojcz o budowie „Sławojki”, miejscowy były członek Selbstschutzu obecnie w granatowej policji od razu wystartował do kontroli, zobaczywszy obce twarze w swoim rewirze. Miło było patrzeć, jak zapalczywość na jego świńskim ryju gasła równie szybko, jak się rozpałała, kiedy Wons spokojnie triumfował nad jego prowincjonalnym zakłopotaniem, rozbudzając w nim czasowo uspiiony kompleks niższości i wywlekając go na światło dzienne w pełnej krasie. Wons bezwzględnie sprowadził go do parteru spojrzeniem, intonacją głosu i gestem okazując dokumenty na nazwisko Paul von Ranke, kapitan abwehry, dla ścisłości brandenburski arystokrata.

— Wskażcie Judenrat!?! — Nakazuje protekcjonalnie Wons vel von Ranke, a spocony wieprz

w za ciasnym mundurze zaciska lepkie palce na pasie nośnym od mauzera przewieszzonego przez prawe ramię, zaciska tak mocno, że aż czerwone wybroczyny w kształcie odwróconych trójkątów występują na jego świńskim ryju i stroszy się blond szczecina na karku. Po plecach fałdą biskupa spływa wzdłuż kręgosłupa ciężka, słona potu struga, gdy spadnie na ziemię świnia przemówi ludzkim głosem z trudem powstrzymywanej złości odpowie z wymuszoną dyscypliną grzecznością.

— To tamten budynek herr Hauptmann — wskazuje tłustym paluchem z czarnym paznokciem duży piętrowy budynek byłej szkoły powszechnej znajdujący się tuż za ratuszem, potem odwraca się na pięcie i znika pod szyldem „Tawerna u Podkowińskiego”, gdzie ciepłą wódką obficie skropi swe rany chwilowo kojąc nerwy zagryzione kiszonym ogórkiem.

Po wjeździe do miasta cała wycieczka zatrzymała się na zapyziałym, tłumnym rynku wpisanym w czworobok z okazałym ratuszem w części centralnej oraz gotyckim kościołem zamykającym ten spory plac od południa. Na rynku było parno i gwarnie jak na targu niewolników w Kairze. Zawsze tętniło tu życie we wszystkich swych przejawach od zacnych form poprzez przeciętne aż do zupełnie nędznych, zbędnych, dla których istnienia usprawiedliwienia trzeba szukać w braku uzasadnienia. Nawet gdy śmierć zataczała coraz ciaśniejsze kręgi krążąc w hałaśliwie złowieszczych półciężarówkach Steyra po okolicy niewiele się tu zmieniło. Dalej funkcjonowała Tawerna Podkowińskiego, apteka Kowalskiego, sklep obuwniczy „Bata”, tanie jatki i mini sklepiki, w których można było kupić wszystko, od solonego śledzia, po gwoździe i muszkatołową gałkę. Był także kiosk Pinchasa Rozenberga, w którym wciąż były gazety, ale nie było już Pinchasa. W nadgryzionym zębem czasu ratuszu wciąż działał magistrat, centrum wszelkich dyspozycji dotyczących lokalnych spraw bez historycznej wartości, nieistotnych dla potomności. Zmienił się tylko nadzór. Centrala zarządzająca tym bałaganem mieściła się teraz w oddalonym o 30 km. Radomiu. Zmieniła się nadbudowa, baza została ta sama, tak samo zaniedbana, lecz jeszcze bardziej wykorzystywana, wyciskana do ostatniej kropli potu i krwi. Kapral Rogal zaparkował przy kościelnym skwerku w cieniu rozłożystych dębów pamiętających jeszcze chłodną rękę rozczochranej hrabiny Sapieżyny herbu Jelita. Marian wraz z Mimi z rozkazem pozostania w samochodzie rozsiedli się wygodnie na swoich miejscach, obserwując okolicę zza lekko uchylonych brudnych szyb, licząc brodatych lichwiarzy i bosonogą dziatwę krążących po brukowanym placu w jakiejś dziwnej mieszance tlenu, stanu zagrożenia, schizofrenii, ciekawości i apatii.

— Czy ta mała nie mogła zostać na plebanii? Dlaczego ksiądz ulega jej kaprysom, zamiast zwyczajnie kopnąć w dupę? — Przeleciały pytania przez głowę Mariana, któremu nie za bardzo podobał się status opiekuna z zoo.

We wschodniej pierzei znajdował się kiosk z gazetami. Tam Wons skierował swoje kroki, a Leon idąc za jego przykładem podążył w tym samym kierunku. Po drodze przytrafił się nieistotny incydent z żandarmem. Wons kupił paczkę „Juno” oraz „Dziennik Radomski”. Nie omieszkał też wymienić kilku nadprogramowych uprzejmości z piękną brunetką agentką. W tej sfatygowanej szaro złuszczonej budce pośród gazet, zapachu naftaliny i kiepskiej jakości tytoniu przypominała pięciokaratowy diament oprawiony w brunszwicki salceson. Niewątpliwie błyszczała na tle tego toczzonego zakaźną chorobą prowincjonalnego centrum wszelkiego zła i brzydoty. Z wyglądu przypominała nieco Wierę Gran poznaną przez Wonsa w złotych czasach w warszawskiej Cafe Vogue na Złotej. Ten sam typ magnetycznej urody hipnotycznego medium przykuwającej wzrok. Imitacja pereł na jej łabędziej szyi była tak naturalna i pasująca do otoczenia, jak medalion z Matką Boską i Jezusem zdobiący jej dekolt oraz rząd nierównych, żółtych zębów obnażonych w pełnym zalotnego uroku uśmiechu inkrustowanego w widmo tyfusu, kiły i syfilisu. Łatwo teraz doprowadzić do ruiny ludzką godność, ale jeszcze łatwiej sponiewierać ludzkie ciało. Ze swojego miejsca Leon widzi tylko jej głowę, szyję, dekolt, ramiona i smukłą dłoń podającą gazetę i kładącą na niej starannie paczkę papierosów. A co jeśli ona nie ma nóg? Tylko sam korpus, nieparzystość głowy i parzystość rąk. Siedzi przyśrubowana na stałe do krzesła z wyciętym otworem, pod którym stoi wiadro, gdzie ścieka przez zawyły system owrzodzonych przetok brunatna, cuchnąca breja specyficznych, kobiecych nieczystości? Albo ma trzy nogi jak ten dziwak Frank Lentini

i dodatkowo podwójne organy płciowe. Prawdziwa rozpusta. Niemożliwe. Prawdopodobne. Na pewno jej część niewidoczna jest równie ponętna co cała reszta. Uroczo, ponadprzeciętnie znormalizowana. Istnieje co prawda ryzyko, że jej wargi sromowe mniejsze są większe od warg sromowych większych i zwisają wzdłuż ud niczym obgotowane liście kapusty włoskiej, a lechtaczka jest rozmiarów przerośniętej brukselki lub cebuli dymki, ale to są już gastronomiczne niuanse, które Leon musiałby osobiście poddać szczegółowej, organoleptycznej analizie. Chyba że po prostu zapyta Wonsa, który sprawia wrażenie jakby posiadał dogłębną wiedzę na ten temat. Na każdy temat. Wygląda jakby się od lat przyjaźnili i nie mieli przed sobą żadnych sekretów. Nic dziwnego, Wons ze swoją otwartością oraz łatwością komunikacji otwiera wszystko i wszystkich. Ze swym arystokratycznym szarmem i pewnością siebie w każdej sytuacji zjednuje sobie ludzi, traktując każdego, jak dobrego znajomego sprzed lat, zawsze z tych „lepszych czasów”. Wszyscy, którzy mieli z nim kontakt, nie mogli się wyzbyć wrażenia, że gdzieś kiedyś skrzyżowały się już ich losy z tą sympatyczną postacią. Tej iluzji ulegały zwłaszcza kobiety. Wysoki brunet, prawie metr dziewięćdziesiąt wyprężonego bezkrytycyzmu. Dobrze zbudowany o wysportowanej lekkoatletycznej sylwetce z proporcjonalnie porozkładanymi osiemdziesięcioma kilogramami męskiej siły skrytej pod jędrną skórą elokwencji obiecującej niepowtarzalne uniesienia, wspaniałą przygodę ozdobioną wąsikami a la Rhett Butler z „Gone with the wind”. Męskim samozadowoleniem sięgał prawie pod niebiosa, czyli równo na wysokość łączącą bezwzględny egocentryzm z boskim uwielbieniem. Robił dobre pierwsze wrażenie. Nigdy też na pierwszym wrażeniu nie poprzestawał. Zawsze szedł krok dalej. Intuicja nigdy go nie myliła. No, może prawie nigdy.

Z impetem przeszedł przez dwuskrzydłowe, odarte z dawnej świetności dębowe drzwi. Prawie je staranował, zaatakował, jak rozjuszony byk torreadora nowicjusza. Leon podążył za nim niczym cień pozostający w cieniu jego szerokich pleców. Przez wąski przedsionek przechodzą do większego pomieszczenia, w którym za trzema stołami siedzi dwóch chudych, zahukanych osobników w tym jeden ozdobiony starą kolejarzką czapką z wyrwanym orzełkiem zastąpionym stalowym sześciokątem z wpisaną w środek sześcioramienną gwiazdą Dawida.

— Szukamy tego człowieka — komunikuje bez zbędnej kurtuazji Hauptmann Wons von Ranke kładąc na biurku kartkę z zapisanym nazwiskiem.

Żydowski policjant z małą głową w dużej czapce mogącej zmieścić co najmniej trzy podobne głowy, ten sam który natychmiast po zdecydowanym wtargnięciu niespodziewanych gości zerwał się zaniepokojony na równe nogi, starając się stać pokornie prosto, co nie było łatwe na nierównej podłodze, spojrzał z nieukrywaniem zaciekawieniem na kartkę.

— Mosze Szloma — odczytał głośno i powoli literując słowa, podając kartkę swemu koledze o bardziej buchalteryjnym wyglądzie, który już od pewnego czasu stał na baczność przy swoim biurku w asekuracyjnie nierzucającej się w oczy pozie kameleona. Nie wiedząc z kim ma do czynienia, starał się przezornie nie zwracać na siebie uwagi. Był jakby przezroczysty, wtapiał się w szaro brunatne tło meblościanki wypełnionej po brzegi równo poukładanymi jednobarwnymi segregatorami w kolorze egzystencjalnych, jednorodnych mdłości. Nie pytał nawet przybyszy o tożsamość, przez okno widział, jak kilka minut temu rozmawiali ze zniechęconym folksdojczem budzącym powszechną trwogę Rudim Plaskotą, niekwestionowanym guru wszystkich miejscowych, mięsożernych sadystów. Przyglądał się chwilę zapisanemu na kartce nazwisku, oceniając równocześnie jednoznacznie przynależność rasową Wonsa sięgnął po jeden z opisanych tajnym kodem segregatorów i szybko kartkując poślinionym palcem strony znalazł tę, której szukał. W jednej z kolumn ewidencyjnej tabeli odnalazł nazwisko.

— Oni zawsze mają porządek w papierach, inaczej niż w naszym burdelu — skwitował kapitan zwracając się ostentacyjnie do Leona, gdy opuszczali wystraszonego Judenrata, a słońce mrużyło oczy, a żydowski buchalter z ulgą na zmęczoną twarz patrzył na ich oddalające się nadludzkie kształty przybierające z wolna formę błogosławionej nieobecności, podczas gdy rudy folksdojcz Rudi Plaskota skryty w cieniu kościelnej dzwonnicy ze szczerą nienawiścią żarzącą się w świńskich

przekrwionych oczach wpatrywał się w tych dwóch zbyt pewnych siebie intruzów wyróżniających się na tle morza znieawidzonych pejzacyjnych szczerów.

Powoli wokół zdezelowanego fiata zbierało się coraz większe stadko zakurzonych brudasów o czarnych czuprynach i atramentowych żrenicach. W czerstwych twarzach spleśniałego chleba, małych i dużych, bosych i obutych lachów i mośków, tlił się spryt zwinnych złodziei. Wścibskie oczka wypatrzyły już wewnątrz samochodu coś być może wartego ich zainteresowania i teraz wskazują sobie samochód oraz nietypowego pasażera brązowymi, lepкими od sanacyjnego brudu paluchami. Marian zza kółka łypie na wszystkich nieprzychylnym, czujnym okiem złym wyostrzonym zmysłem brzytwą. Zasadę ograniczonego zaufania rozszerzył podczas okupacji na większość otaczających go zagadnień. Mimi w odróżnieniu od Mariana nie przeszkadza tłum, przywykła do uwagi licznie zebranej publiczności. Jeszcze nie tak dawno była popularna niemniej niż Wieniawa, Mościcki, czy Dodek Wędzonka. Rozpoznawalność na tym samym poziomie tylko wynagrodzenie mniejsze. Do braci Staniewskich na Ordynacką przychodziło przecież więcej osób niż było na pogrzebie Piłsudskiego. Wraz z rosnącym tłumem i ciekawością wzbudzaną przez człekokształtnego świata obywatela, Mimi coraz bardziej wczuwa się w rolę kosmopolitycznej gwiazdy. Unosząc leniwie włochatą łapę w papieskim geście boskiego namiestnika, kieruje przez szybę pozdrowienia w stronę zachwyconej tłuszczy, nadymając wargi niczym odziany w czarną koszulę daleki włoski kuzyn Benito. Na szczęście w porę zjawiają się przystojni dwaj panowie w postaciach spiętego Leona i wyluzowanego kapitana Wonsa. Przepychają się w tłumie pomiędzy czarnymi szkieletami by w końcu zająć niewygodne miejsca w przepoconej ciasnocie Fiata.

— Co się tu kurwa wyprawia? Mielicie nie zwracać na siebie uwagi. Jedź do cholery! — rzuca kapitan złym słowem w kaprala Rogala vel Kujbidę Mariana.

Kapral Rogal w tej właśnie chwili próbuje ruszyć tak jak widział na gangsterskim filmie, jakby tego wymagała sytuacja, czyli z agresywnym impetem, szaleńczo z piskiem opon, dymem i zapachem palonej gumy, lecz zamiast tego ledwo się toczy. Jakby rozpędzał 180 tonowy parowóz po zardzewiałych szynach. Prezentuje dynamikę końskiego pączka popychanego na szczyt kopca Kościuszki przez gnojowego chrząszcza. Fiat komicznie podskakuje na kocich łbach, mozolnie sunie w stronę ulicy Długiej prowadzącej od Rynku do ulicy Bóźniczej. Jedzie w kierunku wskazanym przez Wonsa. W chwili, gdy zdążył się nawet co nieco rozpędzić, już musiał się zatrzymać, hamując gwałtownie niemalże w gestapowskim stylu przed odnalezionym budynkiem.

— To chyba tutaj. Bóźnicza numer sześć — zauważył Wons, gdy przejeżdżali przed rzędem identycznych, szarych fasad ściśniętych ze sobą w jakimś śmiertelnym stężeniu, przechylonych w stronę nieuniknionego upadku, jednopiętrowych kamieniczek drobnomieszczańskiego przygnębienia. Zatrzymali się przed budynkiem nędzy szurającej o świcie filcowymi kapciami o wytarte linoleum w kolorze zeszlórocznego głodu. Topografia tego miasteczka była tak zawila i rozległa, że zwykle wystarczyłoby pięć minut, aby przejechać cały zurbanizowany obszar wzdłuż i wszerz zbyt szybko przy tym nie spiesząc i niczego nie pomijając. Teraz jednak ciężko było się poruszać pośród zalegających w ciasnych, parnych uliczkach stert śmieci i tłumów łaknących odrobiny tlenu, kryjących się przed fotonowym bombardowaniem w cieniu budynków oczekujących na... No właśnie nie wiadomo na co. Trwających w zawieszeniu, wspierających się na szczudłach między stopniowanymi skalami nieszczęść w oczekiwaniu na nadejście Nabuchodonozora. Miasto było przeludnione, pękało w szwach, trzeszczało, sapało, stękało, rzęziło, żyło na przekór, na podobieństwo i kształt ciężarnej matrony. W jej wnętrzu wzrastał ponury, w zarodku niechciany bękart z krótkogłowiem, którego narodziny zwiastują same kłopoty, budząc także strach przed przyszłością. Zanim Marian odnalazł właściwy budynek, kluczył krótko w nieskomplikowanym labiryncie o wyraźnych osiach podziału, krążąc pośród nieruchomych staruch zrosniętych z ławkami o nieheblowanych deskach, złowrogich dziobów kraczących gawronów, drzew brodatych, szmaciarzy w dziurawych czapkach i zakurzonych kapeluszkach gruzlików talmudycznych wytwórców guzików z fabryki Redlicha, kabalistycznych mędrców, zgarbionych garbarzy sinych tatuaży nadaktywnych dzieci czarnych ptaków srających na przechodniów biegających w kółko z fajerką krążących po elipsie uwięzionego w getcie

marnotrawionego czasu końca.

Koszerna śmierć. Judex.

Josek Pomerantz był profesjonalnym rzeźnikiem z uprawnieniami nadanymi przez rabina Rabinowicza. Rocznie z tego tytułu zarabiał nawet 4 tysiące złotych polskich, czym w znacznym stopniu ratował rodzinny budżet i wzbudzał poważanie wśród sąsiadów. Dzięki niemu nad domem przy Bóźnicznej 6 w każdy szabat roznosił się zapach chałki i czulentu. Jednym, pewnym ruchem wprawnej dłoni potrafił Josek podciąć każdą krtań od ucha do ucha zgodnie z zasadami shechity w sposób gwarantujący najbardziej humanitarne szlachtowanie na całym bożym świecie. Jego szybkie, precyzyjne cięcia powodowało natychmiastowy spadek ciśnienia śródczaszkowego i równie szybki odpływ krwi wraz z płynem mózgowym. To pozbawiało ofiarę dosłownie w kilka sekund świadomości i pozwalało na spokojne wykrwawienie się w tym koszernie koszmarnym błogostanie. Łagodne przejście, wypłynięcie z bytu w niebyt, ześlizgnięcie się po ostrzu noża na drugą stronę bólu znieczulonego na wieki wieków. Josek nie ma teraz zbyt wiele do roboty, jeśli chodzi o swoją główną profesję, ponieważ wrażliwi na krzywdę bydła rogatego Niemcy wprowadzili zakaz rytualnego uboju. Ten wysoce cywilizowany naród uważał go za skrajnie barbarzyństwo. Jednak Josek nie wyszedł tak do końca z wprawy. Ciągle doskonalili swe rzemiosło, można nawet uznać, że jest bardziej humanitarny niż kiedyś. Szlachtuje już tylko ludzi. Sporadycznie. Na zamówienie. Teraz jego główne zajęcie to trupy. Ze względu na swoje wcześniejsze doświadczenie w zakładzie pogrzebowym dostąpił zaszczytu i przydzielono go do pracy w elitarnym Szydłowieckim Szajse Kommando. W tak zwanym eSz eSz. Daje to pewne przywileje. W pewnym sensie jest nietykalny na podobieństwo indyjskiego czandali. Podlega bezpośrednio pod jurysdykcję śmierci, bez żadnych pośredników. W Guberni tylko trupy żydów są całkowicie wolne i posiadają pełną swobodę podróżowania, a Josek jako konwojent w ostatniej drodze korzysta często z tego przywileju. Necrocywilizacja rządzi się odrębnymi prawami niż cała reszta. Josek ma trzydzieści trzy lata i nie wygląda jak stereotyp żyda, mógłby spokojnie udawać Aryjczyka i oczywiście robi to, gdy zachodzi taka potrzeba. Czasami ubezpiecza przesyłki głównie do Łodzi i Warszawy. Obecnie udaje chorego, na co ma rzecz jasna odpowiednie zaświadczenie. Dlatego może wylegiwać się za dnia na sienniku, czytając po kilka razy ulubione książki i przeglądając stare gazety. Josek był tak zwanym molem książkowym i korzystając z wojennej zawieruchy, przywłaszczył sobie, to znaczy wziął na przechowanie, większą część zbiorów z biblioteki miejscowego prominenta Jankiela Diamenta oraz z czytelnicy prowadzonej przez członków miejscowego Bundu. Dwa dni zwoził na wózku do węgla stosy książek i paczki gazet. Jego pokój wyglądał, jakby był w całości z papieru, wszędzie zalegały książki, wszystkie ściany schowane za wypukłymi grzbietami piętrzącej się po sufit literatury. Młody Pomerantz czuł się tam bezpiecznie, jak w schronie przeciwlotniczym lub we wnętrzu okrętu podwodnego zbudowanego w całości ze słów, płynącego w głębokim zanurzeniu w kierunku nieznanego świata. Kryjąc się równocześnie odkrywał to, co było ukryte wśród zapisanych stron. Książka jest uniwersalna, można na niej siedzieć, leżeć, jeść, można się w niej zatracić, zanurzyć, można się nią ogrzać lub zabić. Josek korzysta ze wszystkich możliwości, jakie daje słowo drukowane i wciąż odkrywa nowe. Zwykle czyta w nocy przy zasłoniętych oknach i świeczce. Boi się zasnąć. Ostatnio częściej niż kiedyś, dlatego ciągle jest niewyspany przez co rzeczywiście wygląda, jak chory i wszystko się zgadza, jest prawie autentyczne. Robi wrażenie człowieka niezdrowego, prawie, jak chory ojciec, który jest naprawdę chory i z dnia na dzień upodabnia się do ziemi posypanej popiołem, a w jego oczach coraz wyraźniej widoczne jest dno Morza Martwego. W ich starym domu na Bóźnicznej 6, domu umiarkowanego dostatku i umiarkowanego szczęścia mieszka teraz sporo nowych osób. Oprócz ojca, matki, babki matki ojca, brata, żony brata, syna brata i dwóch sióstr mieszka także brat ojca z Krakowa z żoną z Bochni, daleki kuzyn, kieszonkowy złodziej z Łodzi, małżeństwo aptekarzy z Warszawy i znajomy znajomego z Samboru. Jest naprawdę ciasno i duszno mimo otwartych wszystkich okien powietrze można kroić ulubionym narzędziem rzeźnika, nożem.

Atmosfera jest kwaśno-zasadowa jak na kolejowych dworcach Białorusi w czasach październikowej rewolucji. W domu było sporo miejsca, więc nie było problemu z rozlokowaniem tych wszystkich osób, parter, piętro, strych, piwnica. Jednak ten rodzinny tłum woli większość dnia spędzać razem, siedzą w kupie, bo raźniej i przytulniej. U tego ludzkiego podgatunku instynkt stadny jest wysoce rozwinięty odwrotnie do instynktu przetrwania. Jednoczą się nie po to, aby walczyć, ale by zginąć. Taka specyfika. Kultura cierpienia. Josek jednak w tym ciasnym, chaotycznym czasie odnajduje swoisty spokój. Leży i czyta. Zwyczajnie. Zawsze bardziej cenił słowo pisane aniżeli mówione. Artykulacja słów w tak zwanym aparacie mowy, ściskanie zgłosek w przewężeniach ustno-nosowych, syzyfowe toczenie dźwięków po języku i wypluwanie ich na zewnątrz poprzez zaporę krzywych, brudnych zębów wydawało mu się czymś obrzydliwym, uwłaczającym wręcz takim pojęciom, jak Bóg, Honor, Ojczyzna, bo czyż odpowiednim miejscem dla jakiegokolwiek kultu jest jama ustna? Czy honor można tak sobie po prostu przeżuwać wraz z ojczyzną, cebulą, kapustą, Bogiem i kielbasą? Gdy mówił, czuł się, jakby defekował i zbierało go na wymioty. Podczas tego fonetycznego wypróżniania towarzyszył mu dyskomfort i zażenowanie, nawet jeśli omawiane zagadnienie było zabawne. Podobnie rzecz się miała ze słuchaniem innych. Zdecydowanie wolał drukowaną ciszę kartek papieru, równe rzędy mrówczych liter na białym tle czarne hieroglify. Konkretnie komunikaty. Ze sterty gazet do spalenia sięgnął po przykurzony Kurier Radomski, dziewiąty numer z siódmego listopada 1939. Ostatnio z ciężkim sercem puścił z dymem roczniki „Światowida”. Lubił to pismo bardzo ze względu na ładną szatę graficzną. Godzinami mógł się wpatrywać w kolorowe zdjęcia gwiazd Hollywood w sekcji „Sztuka i film”. Z podobną ciekawością patrzył jak jezory ognia lizały twarze Betty Grable, Margaret Lindsey, czy Cesara Romero wrzuconych do kaflowego pieca. Lubi to odklejenie od rzeczywistości, zdania przenoszące w czasie myśl ponad granicami, kontynentami, ponad prawdą tego, co tu i teraz. Z lektury „Kuriera” dowiaduje się, jak to Anglia w trzydziestym dziewiątym rozpętała wojnę, poznaje kłamstwa londyńskie na temat niemieckiej inwazji na Belgię i Szwajcarię. Czyta o uzbrojonych angielskich statkach pasażerskich, pułapkach na dzielne załogi U-bootów. Oczywiście odpowiednie kroki zapobiegawcze zostaną podjęte przez bohaterską Kriegsmarine. Zgłębia przedrukowaną analizę włoskiego pisma „Milizia Fascista” o tym, dlaczego Niemcy są praktycznie nie do pokonania. Następnie zupełnie płynnie przechodzi od państwa totalnego, w którym demokracja nie przeszkadza w prowadzeniu słusznej wojny do kolejnej części powieści w odcinkach „Kobieta o aksamitnym naszyjniku” Aleksandra Dumas. „...Przez skrzypce szatan więcej dusz zgubił, niż przez wszystkie siedem grzechów głównych.” Tłumaczy mistrz Bogumił głównemu bohaterowi, młodemu Hoffmanowi. O Boże uwolnij nas od lorda Lothjen’a! Wrzeszczy nagłówek na kolejnej stronie. Wiadomości z Waszyngtonu, prosto z senatu, przez który przetoczyło się ciężko niezgrabne pytanie deputowanego z Ohio „Czy to po chrześcijańsku ze strony amerykańców sprzedawać trujące gazy do zabijania chrześcijańskich braci w Europie?” i znowu mistrz Bogumił: „...na skrzypcach mógłby być grać tylko na imieniny diabła”. Następnie krótkie newsy z Holandii, Japonii, Krakowa i Pragi. Jasek dowiaduje się, że Włochy wydały już na uzbrojenie 133 miliardy lirów. Potężny tajfun spustoszył Puerto Valarte. Za posiadanie broni rozstrzelano Jana Siokałę byłego starostę z Wągrowca. W tym czasie w Szanghaju wybuchły krwawe zamieszki, a policja do rozpedzenia rozwścieczonych chińczyków użyła ręcznych granatów. Pomogło. W styryjskich górach znaleziono zamarznąłą na autostradzie kobietę. Niewątpliwie sprawę wyjaśniłaby wróżka, która przyjmuje w Radomiu na Traugutta 55/18, sienią od ulicy pierwsze piętro. I wtedy, między zagubionym na ulicy Słowackiego w Radomiu drogocennym kołnierzem popielicowym, a Mussolinim błogosławiącym miasto powstałe na osuszonych błotach pontyjskich „rozsadnikach malarji”, w ten konkretny opisowy świat wkracza dwóch tajemniczych osobników spójnych niczym jeden mąż, uzupełniających wzajemnie swe braki. Opanowują „Pokój — przez neutralność”. Wyglądają jak Montgomery i Prendick z „Wyspy doktora Moreau”. Przypominają trochę podróżników w czasie, którzy znaleźli szczelinę w przestrzeni między paragrafem 4 zarządzenia dewizowego Reichskreditkasse, a straceniem autonomistów alzackich w Nancy i wtargnęli przez tą dziurę niespodziewanie w hermetyczny świat młodego czytelnika zerkającego na nich przezornie z poziomu podłogi spod uchylonej gazety,

spod falochronu zakurzonej grzywy spadającej na czoło, spod rozpiętej, poźółkłej koszuli z plamami potu pod pachami, całunu okrywającego miarowo oddychające płuca. Josek wnikliwie ocenia potencjalne zagrożenia, dławiąc tężącą wewnątrz nabrzmiałych żył obawę o swe życie, hamując z trudem przyspieszający z każdą sekundą niepewności przepływ adrenaliny, ważąc swoje szanse na przeżycie w ewentualnej konfrontacji, podczas której rzuci na szalę wszystko, ale może się okazać, że wszystko, to za mało. Co wtedy? Każdy szuka swojej szansy, a szansa jest tylko jedna. Najpierw jego uwagę przykuwa szyja, oderwana od całej reszty. Odrębny element łączący i dzielący zarazem, ważny, jak kanał Sueski, którego zniszczenie grozi poważnym paraliżem komunikacji. Szyja jest granicą między tym co wzniosłe, a tym, co przyziemne, między dwoma strefami w stanie wiecznej wojny. Szyja to ziemia niczyja. Josek o tym wie, od dawna studiuje i gloryfikuje szyje. Takie zboczenie zawodowe. U wyższego osobnika z wąsami długa, szczupła z wyraźnie zaznaczoną grdyką, wystająca wysoko ponad wywinętym na kołnierz marynarki białym kołnierzykiem koszuli, zadbana, starannie wygolona i zabezpieczona kremem oraz wodą kolońską. U drugiego, niższego, krótka, masywna, szeroka i szorstka, ciasno opięta kołnierzykiem prążkowanej koszulki polo. Pierwszą poderżnąłby z łatwością, gorzej byłoby z drugą, więcej wysiłku i mniej pewności co do efektywności. Zawsze najpierw dokonywał oceny szyi, potem całej reszty.

Przez wąską, wilgotną krtań sieni Leon z Wonssem przeciskają się do dusznego pomieszczenia w domu pod adresem uzyskanym od urzędnika miejscowego Judenratu. Wtargnęli z marszu bez pukania i uprzedzenia. Podobnie jak uprzednio do Judenratu, ale tym razy nikt z obecnych nie był zaskoczony, lokatorzy tego przybytku chyba już przywykli do tej bezceremonialnej formy odwiedzin. Pokój, w którym się znaleźli, niegdyś służył za salon. Teraz jest tam sypialnia, jadalnia, kuchnia, sralnia, pralnia, bawialnia i synagoga. Jednym słowem wszystko. Popularny uniwersalizm. Wygląda jakby chaos uporządkował tu wszystkie rzeczy, wybuchając niespodziewanie, któregoś pięknego dnia zupełnie bezcelowo eksponując w całej okazałości swe zaskakująco iluzoryczne formy. Czuć tymczasowość, spróchniałą, zagrzybioną, skorodowaną przestrzeń zamkniętą w smutnej geometrii brudnych ścian. Dom Pomerantzów przy Bóźnicznej nr 6 lata świetności miał już zdecydowanie za sobą. Uporządkowany wobec ściśle określonych zasad świat, w którym niegdyś zajmował swoje miejsce spełniając przeznaczoną rolę rozpadł się na kawałki. To, co jest teraz, jest tylko chwiejną konstrukcją złożoną z pozbieranych, przypadkowych części. Zlepionych byle jak, na siłę. Jest zacierającym się wspomnieniem, o czym? W środku było ciemno i duszno mimo otwartych wszystkich okiennic. Atmosfera wnętrza grobowej krypty. Kiedyś rodziło się tu życie, które trwało w ciągłości tradycji genów w zygotach, plemnikach, jajnikach, w szczęściu i bólu, w torze i menorze, w leguminie i gryczano-żytnim blinie, w kometach i gametach wewnątrz oskórowanych penisów i ociekających śluzem różowych wagin obecnie całkowicie wyjąłowionych, suchych jak Sahara, pustych jak oczy wędzonego węgorza, oczekujących pokornie na przedwczesną śmierć ogłoszoną w obwieszczeniach przybitych gwoździami do drzwi. Teraz jest tu tylko marazm spętany oczekiwaniem na najgorsze, na spełnienie się przepowiedni. Wons doskonale wyczuwa nastroje. Powszechna apatia wymaga zdecydowanego działania, więc pewność siebie programowo go nie opuszcza. Od razu przejmuje inicjatywę. Ubezpieczający go Leon asekuracyjnie blokuje drzwi. Po co? Dla pewności, że nikt z tego pomieszczenia nie wyjdzie, dopóki nie dostanie zezwolenia. Taki układ sił. Intuicyjnie wyczuwa już, o co w tym wszystkim chodzi. Panuje nad sobą, co z kolei pozwala panować nad sytuacją. Chodzi o wrażenie dające przewagę, niwelujące potencjalne zagrożenia i trudności. Gdyby już na wstępie wyszły na jaw wszystkie słabości mogłyby z tego wynikać same problemy, a o osiągnięciu zamierzonych celów nie byłoby mowy. Pięć par oczu wpatruje się w nowo przybyłych panów niczym w starożytnych bożków o nieznanym mocach. Wzbudzają ciekawość i strach wymieszany z nadzieją i wiarą w szansę zmiany, w możliwość końca lub początku. Lecz za gośćmi nie stoi żadna mistyka ani mitologia, czy wiekowa mądrość tylko czysty pragmatyzm, kalkulacja, zadania do wykonania i może odrobina atrakcyjnej tajemniczości.

— Nikt nie rusza się z miejsca! Zadam pytanie, nikomu nic się nie stanie. Tylko odpowiedź na nie.

Mosze Szloma, gdzie jest? Szukamy Mosze Szlomy — donośnym aczkolwiek łagodnym głosem zapytał mężczyzna z zadbanymi wąsami.

— Pan się nie denerwuje, Mosze jest, Josek pokaże, gdzie jest, zaprowadzi wielmożnego Pana — zapewniał zgarbiony nad stołem Żyd z najdłuższą brodą i najdłuższym stażem na tym kwaśnych łąz padole. Przypominał wizerunek z tych jarmarcznych obrazków pt. „Żyd z mieszkiem lub z pieniążkiem”, które zapewniają dostatek zdobiąc ściany w chrześcijańskich sklepach i domach, brakowało mu tylko pieniążka i mieszka zresztą też mu brakowało. Brakowało mu wszystkiego. Cały był obrazem braku. Joskiem okazał się być młody wałkoń zalegający z gazetą na sienniku pod oknem. Wstał niechętnie i nie łapiąc kontaktu wzrokowego ruszył przez wąskie gardło sieni wychodzące na zacienione podwórze zabudowane rozchwianymi we wszystkie strony świata, chyłącymi się ku upadkowi drewnianymi szopami. Prowizoryczne budynki pokryte były zardzewiałymi dachami obciążonymi przemysłnymi konstrukcjami z drutu zwanymi gołębnikami. W szkieletach klatek rozpoczęła się wielka wrzawa wywołana poruszeniem na podwórzu. Ocalałe jeszcze ptactwo drżało przed możliwością wylądowania w rosole. Miejsce nie robi dobrego wrażenia. Prowizoryczna budowlana samowolka. Ogólny syf w małomiasteczkowym standardzie mazowieckiej prowincji.

— Pan Szloma kwateruje w dawnym warsztacie o tam na podwórzu — mówi chudy młodzieniec wskazując niską, drewnianą komórkę.

Wons dziękuje za pomoc. Wychodzą na podwórze kierując się w stronę wskazanego budynku. Podchodzi do drzwi i tym razem nie wiadomo dlaczego postanawia kulturalnie zapukać, choć drzwi ledwo wiszą na przerdzewiałych zawiasach. W tej chwili przez bramę przeciska się na podwórko także Marian wraz z małpą.

— Nie chciała siedzieć we wozie. Uciekła mi przez okno — informuje poirytowany. Gdyby naprawdę uciekła, niechybnie ksiądz Ignacy nałożyłby na nich ekskomunikę albo coś gorszego. Marian wykazał się refleksem i ocalił ich od gniewu kłeryka. Wons się niczym nie przejmuje, wzrusza tylko ramionami patrzy z nieukrywaną dezaprobatą, to na małpę to na jej kiepskiego opiekuna. Wyglądają jakby byli parą marnych kuglarzy, kiwa głową pobłażliwie myśląc obraźliwie o tym debil, głupim kapralu.

— Wróć do auta Marian, przeparkuj gdzieś i czekaj. Mimi zostanie z nami — mówi ponawiając pukanie.

— Kto? — pada w końcu pytanie z drugiej strony zamkniętych drzwi.

— Co jest stolicą Niemiec? — Wons odpowiada także pytaniem.

— Moskwa — słyszy w odpowiedzi.

— Oto nasz człowiek Leonie.

W szczelinie uchylonych drzwi ukazuje się wychudzona twarz zatroskanego losem świata Jezusa, który jeszcze niedawno przypominał faryzeusza. Jego postać sprawia wrażenie jakby jeszcze nie do końca zakończył się proces odmarzania komórek po hibernacji i ciężkiej zimie.

W zgodzie z podstawowymi zasadami konspiracji Mosze Szloma budzący natrętne skojarzenia ze słomianą moszną to oczywiście nie może być po prostu Mosze Szloma, ubogi, żydowski czapnik lub cholewkarz. To musi być ktoś zupełnie inny skoro szuka go Wons. W tym przypadku jest to porucznik Stefan Moskwa, były dowódca straży bezpieczeństwa w skarżyskim WWA[8] oraz etatowy pracownik Samodzielnego Referatu Informacji II Oddziału Sztabu Głównego. Człowiek obyty i ustosunkowany. Do niedawna członek dwóch stowarzyszeń kulturalnych, jednego klubu wioślarskiego, elitarnego klubu brydżowego, Związku Strzeleckiego, Ligii Morskiej i Kolonialnej, a wszystko to w stosunkowo niewielkim Skarżysku. Obecnie od dwóch lat w podziemiu, najpierw w Organizacji Orła Białego teraz w Związku Walki Zbrojnej i ŻAK. W lutym 40 podczas pamiętnej „wielkiej wyspy” cudem udało mu się uniknąć aresztowania przez specjalny oddział Sipo dowodzony przez fachowego kata Fuchsa, który bardzo chciał go pozyskać, ale definitywnie musiał

opuścić Skarżysko z umiarkowaną satysfakcją rozstrzelując 360 osób. Zagadką pozostaje fakt, jego terazniejszego dopasowania do panujących w Szydłowcu warunków. Funkcjonuje niczym kameleon. Do tej pory skutecznie udaje mu się ukrywać pod zmienioną tożsamością i wcale nie zdradza go dawna popularność wszędobylskiego aktywisty oraz birbanta. Czyżby broda zmieniła go tak bardzo? A może przeżył głęboką, wewnętrzną przemianę? Wciąż pozostaje nierozpoznawalny, niewidzialny w przywdzianej niewdzięcznej, tułaczkiej masce żyda. Zakonspirowano go sprytnie w szydłowieckim getcie, nadając nową, semicką tożsamość, która dawała względną pewność anonimowości i podobne poczucie bezpieczeństwa. Żydzi byli przecież wszyscy tacy sami. Wszyscy w równym stopniu zagrożeni. Niemców nie interesował ich indywidualizm, traktowali ich, jak obcą pod każdym względem wrogą masę przeznaczoną do utylizacji. Ta właśnie masa stała się azylem dla Moskwy. W ostatnim czasie do Szydłowca przybyło wielu żydów z wielu miast Polski, co prawda Judenrat prowadził skrupulatną ewidencję, ale nikt tak naprawdę jej nie weryfikował, dlatego też Moskwę mógł znaleźć tylko ten, kto znał jego nowe personalia, a takich było niewielu. Niewielu też w takim miejscu by go szukało. Generalnie przepadł, skrył się w swej nowej szczerze znieulubionej tożsamości. Przy okazji infiltrował getto, przenikał do różnych działających tam organizacji. Po starym sondował nastroje społeczne, pobudzał najpierw wewnętrzny opór, by potem budować na tej podstawie mentalność sprzeciwu wobec systemu opresji, świadomość niesprawiedliwości niezbędną w każdym ruchu oporu i zbrojnym działaniu. Któż przy zdrowych zmysłach pomyślałby, żeby szukać jego tropów w tym żydowskim szambie? Jaki śmiałek zanurkowałby w tym gęstym tyglu śmieci i ludzkiego gówna dla zaspokojenia ciekawości? Kto spodziewałby się znaleźć w takim miejscu skrytego, zdeklarowanego antysemitę i chadeka, do tego członka Rycerskiego Zakonu Krzyża i Miecza, dla którego przebywanie w tym obcym i wrogim ideowo środowisku było doświadczeniem najwyższej próby, trudnym ćwiczeniem pokory, karą za niepopelnione grzechy i jednocześnie najlepszą kryjówką pod czarnym słońcem faszyzmu. To właśnie on jest poszukiwany. Przedstawia szlachetny obraz nędzy przesycony romantyczną wizją rozpaczy. Wygląda jak średniowieczny chrześcijański mistyk z Sachalinu albo ostatni żywy weteran wojny secesyjnej.

Moskwa, gdy jeszcze nie był zakonspirowanym Mośkiem Szłomą i nie wyglądał jak skrzyżowanie Wyspiańskiego z chochołem lub Ben Hura z paryskim kloszardem, w czasach gdy jeszcze zarabiał 557 zł miesięcznie, obficie się mydlił, dokładnie golił, elegancko ubierał i dobrze odżywił, lubił mówić o sobie w trzeciej osobie. Bawiły go komunikaty w stylu „Moskwa mówi...” zrób to i tamto, a podlegli mu strażnicy z fabryki amunicji wykonywali bez zająknięcia jego polecenia, rozkazy Moskwy. A on zawsze wtedy pytał, czy nie boją się posądzenia o szpiegostwo. Płatne pacholki Moskwy. Podkomendni nigdy nie wiedzieli, czy przełożony żartuje, czy też mówi poważnie i wzbudzało to w nich załazek psychozy. Kiełkował w nich strach, czynnik nieodzowny dla prawidłowego zarządzania pracownikami i sprawnego funkcjonowania systemu kontroli i nadzoru, podstawa dyscypliny. W ogóle był z niego strasznie dowcipny chujek. Zawsze bawiły go własne żarty. To były piękne czasy, wesołe i dostatnie. Nie to, co obecna nędza w całej krasie odwzorowana w nazwisku Szłoma, które nie brzmi już tak dobrze w trzeciej osobie, w żadnej osobie i dodatkowo jest obciążone pejoratywnym stereotypem. Niemniej doskonale się komponuje z szydłowieckimi sąsiadami o równie urokliwych nazwiskach zaświadczających jednoznacznie o semickim pochodzeniu z dziada pradziada, a w zasadzie z babki prababki. O to przecież chodzi, o autentyczność o silne umocowanie w realiach. Trzeba jak najbardziej uwiarygodnić fikcję, tak aby mogła być zamiennikiem czasowo niewygodnej, zagrażającej życiu prawdy. Moskwa był poszukiwany przez abwehrę, gestapo i zapewne przez kogoś jeszcze. Niebezpieczeństwo pojmania go przez jeden z tych organów było realne, więc trzeba było ukryć go tam, gdzie nie szuka się skarbów. Zakotwiczone go pośród ludzkich wraków. Był zbyt cenny, aby go stracić, oddać w niepowołane ręce. To byłaby niepowetowana strata. Mógł być jeszcze przydatny w kilku istotnych sprawach, a gdyby zniknął w kazamatach gestapo, siłą rzeczy stałby się nieprzydatny, zwłaszcza dla organizacji, której dodatkowo mógłby także dotkliwie zaszkodzić.

Powoli można się przyzwyczaić, że w ostatnim czasie w najbliższym otoczeniu Leona nikt nie jest

tym, za kogo się podaje, tylko tym, za kogo uważają go inni. Byt określa świadomość albo odwrotnie. Póki co oprócz niego samego i Mimi, którzy są absolutnymi nuworyszami w tych sprawach i dopiero poznają podstawowe zasady specyficznych realiów, w których zaczynają funkcjonować. Na razie raczkują, przyjmują informacje takimi jakie one są, nie wnikając, jaka jest prawda, jakie jest drugie dno. Podwójna tożsamość potęguje paranoje, która zmienia człowieka na tyle, że trudno w nim potem odnaleźć ślad dawnej stabilizacji. Niemniej lepsza żywa schizofrenia niż martwe zdrowie. Człowiek udający kogoś kim nie jest, przechodzi powolną, bezwonną transformację przeciwną istocie przetwarzanej, wręcz jej wrogą. Na początku jest nieco zdezorientowany w fałszywym świecie pozorów i kreacji, ale z czasem przyzwyczajają się do nowych warunków, w których musi być kimś innym niż naprawdę jest, albo raczej kim kiedyś był. Z czasem zapomina kim był. Różnica przestaje być istotna, widoczna, powoli się zaciera. Pewnego dnia przestaje już udawać, zamiast tworzyć kreację, to ona stwarza jego zapisując w pamięci wydarzenia, których prawdopodobieństwo występowania w odniesieniu do profilu postaci jest największe. Koncepcja jest zawsze przemyślana w najdrobniejszych szczegółach, lecz nie każdy potrafi ją przyswoić od razu w stu procentach, a tym bardziej idealnie się do niej dopasować. To jednak wymaga sporego umysłowego wysiłku oraz wewnętrznej samodyscypliny graniczącej z mistycznym masochizmem stale kontrolującym przepływ doznań i analogii.

Jako jedyny „normalny” (nie licząc małpy), Leon odczuwa pewien dyskomfort, uświadamiając sobie jak bardzo odbiega od normy i jak ta norma jest odległa od domu oraz od tego do czego w ostatnim czasie zdążył się przyzwyczaić. Wszystko musi znowu oswoić, a to wymaga czasu, którego nie ma.

W tajnej organizacji im wyższą spełniasz funkcję, tym mniej robisz, a w zasadzie cały wysiłek skupiasz jedynie na tym, aby nie robić niczego, co mogłoby cię zdradzić. Jedyne, co musisz, to być dobrze zakonspirowanym i dobrze poinformowanym. To pochłania większość konspiracyjnego życia, unikanie wpadki. Bo gdyby cię pojмали będziesz miał przejebane na całej linii, a wraz z tobą także inni. Reakcja łańcuchowa zwana efektem śnieżnej kuli lub efektem domina w zależności, czy jesteś biały, czy czarny. Niektórzy wcielają się w podwójnie, potrójnie, a nawet poczwórnie zakamuflowaną postać, a każda z tych postaci jest skrajnie różna od poprzedniej. Dezorientacja oparta na warunkujących się i jednocześnie wykluczających przeciwieństwach. Żeby nie było za łatwo, każde następne wcielenie nie jest konsekwencją poprzedniego, lecz jego skrytobójczym zaprzeczeniem z najodleglejszej boczniczy bytu. W zasadzie teoretycznie można by w końcu, wyczerpując wszystkie możliwości uzależnione w dużym stopniu od zdolności do tworzenia kreacji nowych postaci, wrócić w którymś momencie do punktu wyjścia nawet o tym nie wiedząc. Stać się nieświadomie udawanym, ulepszonym, wzbogaconym innymi nowym sobą. Świat konspiracji mieści się w podwójnym nawiasie schizofrenii. Nie łatwo się w nim poruszać, mało kogo stać na nie wymuszoną, nie wzbudzającą podejrzeń swobodę w świecie takich ograniczeń zasilanych dodatkowo ciągłym poczuciem zagrożenia będącym w stałej kontrze do swobody w doborze tożsamości.. Zapewne zawodowym aktorom byłoby łatwiej, ale takich było niewielu, a jeszcze mniej takich, którzy chcieliby się zaangażować, większość to w tym temacie amatorzy i często właśnie to ich gubiło. Amatorszczyzna. Brak doświadczenia w konfrontacji z profesjonalnym systemem opresji, systemem zwalczania improwizujących amatorów.

Stefan Moskwa był adresatem „świni”. Jego radość z tego powodu jest umiarkowana. Świnia jest wyjątkowo ciężka, zwłaszcza dla kogoś na przymusowej diecie jarosza. Ledwo dźwiga ten 20 kilogramowy cylindryczny, nieporęczny kształt. Ale musi go zabrać ze sobą, na wymianę. Nikt z nowo przybyłych jakoś nie garnie się do pomocy. Garbi się pod ciężarem stereotypowo, jakby na plecach dźwigał górę Synaj. Moskwa jest kolejnym ogniwem w łańcuszku zaplanowanych zdarzeń. Wskazuje drogę wiodącą do tajemniczego, podziemnego świata. Dosłownie. Szydłowiec stoi na piaskowcu, w którym przez lata wydrążono przemyślaną, sekretną sieć tuneli tworzących zawły i rozległy, podziemny kompleks. Pierwszy tunel przekopano jeszcze za czasów Albrechta Radziwiłła podczas gruntownej przebudowy miejscowego zamku Szydłowieckich. Cel pozostał nieodgadniony. Miejscowa legenda głosi, że w sieci tuneli zagubiła się onegdaj młoda żona starego

satrapy, który nie mógł ugasić jej żądy. Szukając zaspokojenia w ramionach młodego wikarego spalane podobną żądzą wymknęła się pewnej nocy ze swej alkowy z zamiarem przedostania się jednym z tuneli łączącym zamek z kościołem. Na spotkanie z kochankiem nigdy nie dotarła. Słuch po niej zaginął. Szatan Skalisty ogonem czas w podziemnym świecie zamieształ i znaki orientacyjne pozamieniał, stopił najwyższe szczyty z najgłębszymi otchłaniami. I nic już nie było takie jak przedtem. To, co wielkie wydawało się małe i odwrotnie. Wyznawcy kultu Skalistego, których w Szydłowcu nigdy nie brakowało, mogą z nim obcować poprzez kontakt z jego charakterystycznym przyrodzeniem, które w kształcie mosiężnej klamki znajduje się w najstarszym zamkowym pomieszczeniu. Kto ujmie całą dłoń tego osobliwego fallusa, ten nie tylko otworzy tajemne drzwi, ale także piekielna chuć go spali. Największe podziemne prace wykonano jednak 300 lat później na zamówienie niejakiego Moryca Engermana, enigmatycznego kupca z Brabancji, który znacznie powiększył główne pomieszczenie pod zamkowym dziedzińcem oraz w sobie tylko znanym celu zlecił budowę sieci tuneli łączących kilkanaście budynków w mieście, a także poza nim. Jeden tunel prowadził na miejscowy kirkut inny najstarszy do prezbiterium kościoła, kolejny do lodowni w browarze Stumpfów, do młyna Kurlanderów, prywatnej synagogi Ajzenbergów, kilka prowadziło poza obręb miasta do okolicznych lasów i kamieniołomów, gdzie były dobrze zakamuflowane wejścia. Jedno z nich znajduje się także za podwójną ścianką działową w piwnicy domu pod numerem 6 na ul. Bóżniczej. Wszystkie tunele łączą się w jednym miejscu, gdzie następnie rozchodzą się promieniście dalej pod różnymi kątami nachylenia we wszystkich kierunkach. Miejsce to, centralny punkt, znajduje się pod zamkowym dziedzińcem i liczy sobie tyle lat, ile mierzy, ponad 400. Przypomina nieco tunel kolejowy na stacji Tunel lub podziemny hangar lotniczy. Pomieszczenie zostało podzielone na sektory, zagracone stosem pozornie przypadkowych rzeczy spiętrzonych na przestrzeni wielu lat. W ogromnym pomieszczeniu znajdowało się lokalne centrum podziemnej struktury państwa żydowskiego, którego korzenie sięgały daleko w głąb ciemnego jądra polskośći oplatając je delikatnie, lecz mocno niczym trujący bluszcz. Na przestrzeni lat zrastając się z jego tkanką w sposób nie pozwalający na ich bezbolesny rozdział. Tutaj planowano przyszłość i modyfikowano przeszłość dostosowując misterne plany tak, aby mogły być realizowane w terażniejszości w cieniu wyciągając analityczne wnioski z przeszłych zdarzeń. Właśnie w tym miejscu zmieniano niewygodne tożsamości, tak aby nie były już tożsame z historyczną prawdą. Stąd prowadziły drogi do Budapesztu, Bukaresztu, Belgradu, Białegostoku, Briańska, a nawet Berlina. W każdym tunelu znajdowały się punkty kontrolne i wymyślne zabezpieczenia umożliwiające w razie potrzeby jego natychmiastowe odcięcie. System mechanicznie zamykanych zsynchronizowanych ze sobą szczelnych drzwi-grodzi tworzył ciasne, odizolowane od reszty komory. Do tych odciętych pomieszczeń w razie potrzeby poprzez doprowadzone w ostatnim czasie dysze można było wtłoczyć w kilka sekund śmiertelnie trującą substancję lub otworzyć dopiero po miesiącu, gdy ucichnie uwięzione w nich życie. Czuć w tym było rękę fachowca. Niekiedy korytarze były tak wąskie i niskie, że trzeba było przeciskać się nimi na kolanach, tocząc równocześnie nierówną wałkę z rodzącą się w głowie klaustrofobią i paranoją. Inne były zalane wodą. Cały układ miał kształt rozety wpisanej w heksagon z osiami symetrii przecinającymi się po środku i liczył w tym miejscu kilkanaście kilometrów, choć tak naprawdę nikt tego nigdy dokładnie nie mierzył. Specyfika tego systemu tuneli była taka, że aby dostać się z jednego do drugiego, tego prowadzącego do planowanej destynacji, zawsze trzeba było przejść przez punkt centralny. Zwiększało to, odległości do pokonania, ale ułatwiało monitorowanie ruchu, koordynację i kontrolę wszystkich działań. Legalnych i nielegalnych. Nazywali to scentralizowanym systemem nadzoru. Połączenie buchalterii, mechaniki klasycznej i hierarchii priorytetów. Taki właśnie system pozwalał na pełną kontrolę wszystkich nawet odmiennych ideologicznie organizacji pragnących przemieszczać się incognito i uzależnienie ich od „Głównego Zarządu” dla którego każdy korzystający z systemu musiał świadczyć obok załatwiania własnych spraw dodatkowo drobne usługi. Zero agitacji, tylko interesy bez empatii i sentymentów czysty przepływ kapitału. Największym osiągnięciem nie był jednak budowlany ani architektoniczny kunszt tej konstrukcji tylko przekonanie opinii publicznej o istnieniu podziemnego kompleksu wyłącznie w formie legendy, bajki dla naiwnych, głupich dzieci, historyjki opowiedzianej przez

jeszcze głupszych zdzieciniałych starców. Podziemny kompleks podobno był tylko niewielką częścią składową jakiejś większej mitycznej całości połączonej ze sobą w ramach zintegrowanej globalnej sieci. Podobno.

W wędrówce tym mrocznym labiryntem nieodzownym towarzyszem jest małomówny, niepozorny Josek. Przewodnik, z którego usług zawsze korzysta Stefan/Mosze nieznający jeszcze aż tak dobrze topografii tego miejsca, aby samemu się w nim swobodnie poruszać, bez zagrożenia zagubieniem. Zna go na tyle, aby mu zaufać przynajmniej w temacie poruszania się po labiryncie. Josek był specyficzny. Sądził na przykład, że skoro żyjący odżywiają się trupami, to znaczy mięsem i rosółem z kości zabitych, to pokarmem trupów muszą być żywi i w ten oto sposób cykl żywieniowy się zamyka, a łańcuch pokarmowy zostaje uzupełniony przez brakujące ogniwo. Przypomina to trochę cykl metaboliczny. Logiczna prawidłowość. Ta możliwość trochę go przerażało, jako istotę, póki co pozostającą wśród żywych. Obawa przed prawdziwością tej tezy wywoływała strach przed śmiercią głodową i zemstą pozagrobową, a jednocześnie wyzwalała pragnienie bycia martwym za życia lub żywym po śmierci, co poniekąd było w zgodzie z religijną doktryną zmartwychwstania. Josek wierzył, że Jezus był pierwszym zombie na świecie. Jako zagorzały czytelnik Magicznej Wyspy Seabrooka oraz Bajek murzyńskich z Haiti spisanych przez Wiktorię Gentil-Tippenhauer poznał zagadnienia czarnej magii, kanibalizmu i chrystianizmu w wersji rodem z Karaibów. Do dziś pamięta dziwne „Krik-krak, tak się zaczynają bajki czarnych murzynów na Zielonej Wyspie. A więc Krik-krak”. Jego ulubionym miejscem w miasteczku był kirkut, który stanowił dla niego właśnie zieloną wyspę, gdzie każda bajka mogła mieć swój początek, ale także koniec, takie Santo Domingo na mapie miasta. Okryta dusznymi oparami strachu tajemnicza groza, którą stary cmentarz spokojnie emanował skutecznie odstraszała wścibskie dzieci i patrole żandarmerii, sprawiając, że zwłaszcza nocą to miejsce było w miarę bezpieczne. Kirkut był swoistym punktem stycznym łączącym dwa światy, w których funkcjonował Josek, podziemny z powierzchniowym. Ciemny i duszny z jasnym i rześkim, lecz wbrew pozorom ten pierwszy chronił życie, a w drugim kwitła śmierć. W najstarszej części cmentarza obok wiekowych grabów między macewą potomka rodu lewitów, a macewą przyozdobioną lwem znajdowało się jedno z ukrytych wejść wyjść, portal między dwoma wymiarami tej samej tragedii, Żyda wiecznego tułacza, który nigdy i nigdzie spokoju nie zazna, zwłaszcza po śmierci.

— Jestem tu od dwóch lat, a byłem dopiero na pierwszym poziomie. Podobno są jeszcze dwa, chyba że to legenda? Co Josek? — informuje Moskwa, Joska pyta, a on milczy, jak zaklęty, jedynie przez jego zmęczone oczy przewija się mętna mątwą tajemnicy na granicy zdolności racjonalnego pojmowania świata. Nikt tego nie dostrzega, nawet Leon, taki kurwa zawsze spostrzegawczy i dociekliwy detektyw na tropie, prowincjonalny Herkules Poirot do usług. Wszyscy pozostają z tyłu, drecząc za nim gęsiego drecząc, jak jakaś pieprzona, szkolna wycieczka na przymusowym zwiedzaniu z profesorem geografii jaskini Wierzchowskiej w Jurze Krakowsko Częstochowskiej. Klasa przyszczatych, somnambulicznych gimnazjalistów, którym daleko do miana eksploratorów, myśląca tylko o tym, aby jak najszybciej się stąd wydostać i poczuć nad głowami błękitną przestrzeń bez ograniczeń zasysaną równomiernie do płuc. Leon wlecze się na końcu, za nim zamyka się światło i rozlewa się mrok, depcząc po piętach. W mroku tym dym czarny kroczy, niepokojąca obecność nieznanej materii podpełza na odległość oddechu, sama będąc jedynie oddechem. Leon słyszy jak dyszy w uszach pulsuje krew tętni, czuje na karku widmowy ruch, dotyk wywołujący dreszcz skojarzeń. Strach się odwrócić, wyobraźnia podsuwa najgorsze obrazy, jak dziecku zaciskającemu oczy w nocy bezsennie czarnej budzącej strach w szerokich źrenicach szczerzącej się w nieszczerym uśmiechu widma czyhającego na najmniejszy błąd.

— Zejście do podziemia potraktowali tu dosłownie — stwierdza Wons.

— Wszystko traktują tu dosłownie, także radzę uważać na to, co mówicie — doradza zorientowany w temacie Moskwa.

— Niektórzy wierzą, że znajduje się tu jedno z wejść do mitycznej Agharty — dopowiada dla jasności.

— Bez żartów, to już zalatuje tanim kitem albo paranoikiem bajkopisarzem Ossendowskim — Wons wprowadza nieco racjonalizmu w te osobliwe, przeciekające gdzieniegdzie tunele wydrążone w „wewnętrznym świecie”.

Leonowi towarzyszy nieodparte poczucie przeciskania się przez kilometrowe jelita gigantycznego Tyranozaura, jakby zewsząd otaczała go żywa, pulsująca, miękka tkanka. Człowiek jest robakiem, wewnątrz ogromnego, uśpionego wilgotnego organizmu, pasożytem wędrującym przez zaułki systemu trawienia, do którego dostał się podstępem w tylko sobie znanym celu. To wszystko jest takie odrealnione inne od wszystkiego, co znajome, z czym spotyka się na co dzień. Nie może uwierzyć, że to możliwe, że tu jest i robi te wszystkie głupoty pod dyktando Wonsa. To, co się tutaj dzieje, niestety nie jest kwestią wiary, to naukowo weryfikowalne fakty niezależne od akceptacji, kwantyfikatora, wątpliwości i negacji istnienia alternatywnej rzeczywistości. Twarde jak chuj Pinokia zakłamane fakty, kreatywne Wonsa akty. Te z pozoru proste korytarze zdają się zakrzywiać czasoprzestrzenne tunele, zaburzając dotychczasowe położenie Leona względem równika, podbiegunowych kół, zwrotników i równoleżników, względem Kaiserstrasse w Deutsch Eylau. Perspektywa zawęża się do dwóch kamiennych, przeciwległych ścian. Mimo tak ograniczonej przestrzeni dominujący jest stan permanentnego zagubienia, wrażenie zawieszenia w samotności wypróżnienia w obcy system kanalizacji. Wszystko, co znane i przewidywalne zostało gdzieś z tyłu. Z przodu nieznaną łódź i wydrążona do niego droga, wyrąbany chodnik. Na nic Kompas ani zasady skautingu, czy surwiwału, igła magnetyczna wiruje tu jak jebnięta, totalna dezorientacja budząca skojarzenia z nurkowaniem z akwalungiem w Bałtyku.

Przypomina trochę bohatera powieści Kiplinga, którym oczywiście nie jest, ale zawsze chciał być i teraz w tych literackich okolicznościach wydaje się, że może jednak w jakimś nikłym procencie go przypomina. Zagubiony na krańcu nieznanego świata podróżnik, który zawsze znajdzie korzystne dla siebie wyjście z każdej sytuacji. Pokrzepia się tą myślą, podpowiadającą, że może jednak to wszystko nie skończy się tak źle. Na końcu powinien być przecież happy end. Leonowi wciąż trudno zaakceptować fakt, że z niego to gównem tam takie raczej nieistotne, bez znaczenia dla czasu i miejsca, bez najmniejszej choćby wartości dla jakiegokolwiek historii. Okolicznościowy, epizodyczny bohater drugoplanowy, jednorazowy i ekskluzywny, jak papier toaletowy. Jednak najważniejszy i jedyny, ale tylko z własnej perspektywy we własnym mniemaniu. Wons to co innego, zapisuje swoje imię złotymi zgłoskami na kartach monografii o walce o niepodległość, zrywa kajdany zniewolenia, które z czasem staną się kamiennymi tablicami zostając narodowymi relikwiami. Leon przesiąka przeświadczeniem, że za jego plecami zamyka się znany świat. Zapada się tuż za nim i nie ma powrotu do tego, co tam z tyłu kiedyś było, jakby istniała tylko możliwość poruszania się do przodu, a każdy krok był krokiem kreatora pustki pozostającej tuż za plecami. Boi się odwrócić i spojrzeć temu w twarz cokolwiek to jest, niemoc, strach, demony przeszłości. Nie ma odwrotu, a powrót nawet tą samą drogą będzie już wędrówką do innego świata. Musi zaufać młodemu Żydowi i podążać za nim w wierze, że czyni słusznie.

Przed wojną Jasek oprócz tego, że spełniał lokalnie swą rytualnie użyteczną i wzniosłą funkcję dodatkowo w innym mniej zaszczytnym nurcie swej aktywności wraz ze swym przyjacielem z Talmud-Tory niejakim Berlem Starkiem nie tylko pracował w zakładzie pogrzebowym stryjecznego brata matki, ale należał także do grupy bezwzględnych „Asasynów”. Działali na zlecenie żydowskiej mafii, co oczywiście w pewien sposób uzasadniało jego pracę w zakładzie pogrzebowym i było jej naturalną konsekwencją. Takie ekonomiczne perpetuum mobile nekrobiznesu. W latach burzliwej młodości razem z kolegą Berlem występowali przeciwko opresyjnemu względem ich interesów systemowi państwowości polskiej i uosabiającymi ją gojami. Stawiali opór nakazom i zakazom, normom religijnym, uprzedzeniom oraz ograniczeniom kulturowo obyczajowym, tak im się przynajmniej wydawało. Generalnie wszystko i wszystkich mieli za nic. Wykonywali zlecenia jako zbrojne ramię organizacji, przywołując do „porządku” niedyscyplinowanych i dyscyplinując opornych. Pełnili funkcję karną i prewencyjną, zbliżoną do roli ojca w rodzinie. Prościej rzecz ujmując Jasek w drugim obiegu, zupełnie prywatnie był społecznym wyrzutkiem, członkiem tak zwanego „Gangu Starka” do którego oprócz oczywiście

Starka należeli Mojżesz Kirszblum „Parch” i Abraham Frenzel „Kutas”. Pierwszy był opryskliwym piromanem z koronkowym wykwitem grzybicy wokół ust. Drugi, kalekim zwyrodnialcem o jednej dłoni i jednym kikucie, którym wymierzał niepokornym dotkliwie razy. Drożdżakowy degenerat i jednoręki bandyta. Parch z Kutasem byli praktycznie nierozłączni i zawsze mówiło się o nich właśnie w tej kolejności, nigdy odwrotnie. Parch podpalał to, czego Kutas nie zdołał ukraść i odwrotnie kradł rzeczy, których Parch nie mógł puścić z dymem. Czwórka tych sympatycznych kompanów była zgrana niczym załoga czołgu, jak dłoń o czterech palcach zaciśnięta w pancerną pięść. Z czasem wyspecjalizowali się w napadach na pociągi towarowe. Współpracowali z komunistą Stefańskim, starym kolejarzem ze Skarżyska, który przekazywał informacje o ciekawych transportach. Kradli głównie tytoń i alkohol. Każdą ilość tego towaru upłynniał miejscowy paser Szmul Brandmesser współpracujący z Tatą Tasiemką, królem gangsterów z warszawskiego Karcelaka. Interes się kręcił, jak młyńskie koło nad rwącym potokiem. Josek sam o swoich poczynaniach wolał myśleć w kategoriach bardziej romantycznych. Sam przed sobą pozował na ideowego rewolucjonistę walczącego w konspiracji z istniejącym zgniłym porządkiem świata opartym na niesprawiedliwości społecznej, czyli wyzysku biednych mas przez garstkę bogatych oszustów. Balansował na granicy, gdzieś pośrodku dobra i zła. Pomiedzy obrzydliwym ubóstwem i obrzydliwym dostatkiem, między krzywdą, a radością, żadnego z tych pojęć jednak nie relatywizował. Równoległe do głównego nurtu, w którym cieszył się nieposzlakowaną opinią skromnego, milczącego, dobrego człowieka, prowadził życie na marginesie, o którym mało kto wiedział. Jeśli nawet ktoś się czegoś domyślał, to wolał pozostawić te domysły wyłącznie dla siebie nie dzieląc się tym z rabinem ani z innymi członkami gminy, których tak naprawdę gównem to obchodziło. Należał do żydowskiego półświatka, środowiska przestępców mających powiązania z radomskimi, łódzkimi i warszawskimi gangami parającymi się przemytem, rabunkiem, paserstwem, porwaniami, wymuszeniami, zabójstwami, handlem narkotykami i prostytutką, czyli wszystkim, co było efektem ubocznym każdej państwowości, wstydliwym obyczajowo odpadem każdego systemu broniącego ładu społecznego. Zagospodarowywali to, nad czym „państwo” w swej indolencji lub niechęci nie sprawowało kontroli. Grupa do której należał działała pod egidą bezwzględного, międzynarodowego syndykatu o nazwie „Masada” powiązanego zarówno ze skrajną syjonistyczną prawicą spod znaku Betar, jak i mocno lewicowym Bundem. Ich macki oplatały cały glob, a korzenie sięgały głęboko do jądra ziemi i ludzkiej natury. Jasek tak naprawdę nie był sobą w obu swych wcieleniach, być może w ogóle go nie było. I choć w obu przypadkach angażował się całkowicie w wykonywane zadania, to oprócz zaangażowania nie odnajdował w nich do końca prawdziwego siebie. Zawsze wydawał się sobie wtedy jeszcze bardziej obcy niż zwykle, gdy nie robił nic. Jakby patrzył z góry na poczynania innej osoby, nie oceniając oraz nie wartościując, tylko obserwując nawet bez nadmiernej ciekawości, po prostu patrząc, czytając wydarzenia, jak gazety. Niektóre wywoływały emocje, inne znudzenie. Czuł, że każdy rodzaj zaangażowania jest niedostatecznie zadowalający, aby mógł być nazwany ostatecznym, określającym osobę, którą jest lub chciałby być. W głębi duszy czekał na Samaela. Pragnął zostać jego sługą. Wierzył, że śmierć go uskrzydli, jednoznacznie oceni i wyzwoli od ciężaru mokrej gliny, ale póki co, to on uwalniał innych.

Polscy kryminaliści szanowali tylko tych, którzy ich nie szanowali, a ów brak szacunku był wprost proporcjonalny do brutalnej przemocy okazywanej, aby go w pełni, dosadnie wyrazić, dobitnie uzasadnić i skutecznie wyegzekwować. Szydłowiec nie był pod tym względem wyjątkiem. „Masada” była tu bezwzględna w taki sam sposób jak wszędzie tam, gdzie zaznaczała swoją charakterystyczną obecność. Nie było taryfy ulgowej. Hierarchiczna, oparta na lojalności i dyscyplinie organizacja wkrótce w odmiennych od dotychczasowych warunkach posłużyła za podwalinę nowej struktury. Doznała magicznego przeobrażenia, przystosowując się do nowej rzeczywistości. Po wybuchu tak pięknie przegranej wojny i po równie pięknym zakończeniu tego wybuchu powołano do życia organizację o charakterze wojskowym i niepodległościowym, nie inaczej. Wiadomo, że prędzej, czy później tak musiało się stać. Rodzący się w tej specyficznej sytuacji bunt wymagał usystematyzowania pozwalającego w sensowny sposób ukierunkować gniew na osiągnięcie pożądanego celu. Opór nie mógł być tylko bierny wobec narastających opresji.

Skumulowanie w jeden nurt negatywnych emocji związanych z ostateczną klęską mitu o wielkim wojsku polskim nie było łatwe. Wskreszenie woli walki w sytuacji beznadziejnej, zwłaszcza u kogoś będącego uczestnikiem gwałtu dokonanego na matce przez barbarzyńskie plemię kryjące demona śmierci pod interesującym błękitem swych oczu, graniczyło z magią cudu eucharystycznego. Na zgłiszczach mitów, na szczątkach tytanów, huzarów i sarmatów, zlepiona z czerwonego pyłu, orlich piór i brązowego błota powstała hybryda zajmująca się nową, dynamiczną gałęzią czarnego rynku. Była to odpowiedź na zapotrzebowanie zagospodarowania sprzętu i ludzi porzuconych przez armię, bezdomnych sierot, miernot pozostawionych na pastwę losu. Ośmiokrotnie wzrosło też zapotrzebowanie na fałszywe dokumenty i ktoś na to zapotrzebowanie musiał odpowiedzieć. „Masada” idealnie się do tego nadawała, ze swoją rozbudowaną podziemną strukturą z lepкими mackami, kanałami przerzutowymi, fałszerzami, kurierami oraz głęboko utajnioną wielowątkową działalnością i rozległymi powiązaniem na styku biznesu i polityki. Posiadali gęstą sieć kontaktów z różnymi grupami reprezentującymi rozmaite syndykaty powiązane zarówno z kapitałem polskim, jak i zagranicznym. W zasadzie w nowej sytuacji po 39 roku nic się nie zmieniło oprócz uprawomocnienia i dopracowania wcześniej nielegalnych metod. Teraz wzniosły się na poziom narodowej martyrologii wyrastającej z okrucieństwa, które usprawiedliwiała.

Gang Starka był profesjonalny pod każdym względem. Perfekcyjny do bólu. W technikach zadawania cierpienia osadzony równie mocno co w tradycji. Walkę z gojami każdy z nich wyssał z krwią matki. Wraz z kilkoma radykalnymi syjonistycznymi grupami przeszedł w 1938 roku przeszkolenie militarne prowadzone przez wąsatych atletów, instruktorów „Dwójki” w lasach pod Andrychowem. Uczestników tego specyficznego kursu zapoznano z terroryzmem jak z praktycznym zagadnieniem z dziedziny nauk ścisłych z elementami psychologii społecznej. Jednym z instruktorów był oczywiście nie kto inny tylko porucznik Moskwa. Kilka grup od razu wyjechało do Palestyny mordować brytyjskiego okupanta. Zasiwiali na pustyni ziarno syjonistycznego separatyzmu, dla którego pustynia nie tylko intelektualna była naturalnym środowiskiem wzrostu. Uzupełniali przestrzeń zapachem strachu i płonącej benzyny. Reszta pozostająca w kraju zaszczepliwała wśród swoich ziomków idee wielkiego narodowego państwa żydowskiego, kształtując obok wewnętrznej asymilacji poczucie zewnętrznej odrębności. Tak Polska miała się uwolnić przynajmniej od części najbardziej radykalnych światopoglądowo Żydów oraz zyskać przyczółek na Bliskim Wschodzie.

Główne pomieszczenie, do którego w końcu dotarli po 30 minutach wieczności spędzonych w ciasnych korytarzach, przypominało nieco Grotę Łokietka, tylko nie było tyle monotematycznych stalaktytów, tych zwisających ze sklepienia skalnych glutów no i wszystko wyglądało o wiele przytulniej. Wnętrze kojarzyło się raczej z jaskinią hazardu i rozpusty zainstalowaną dla wygody, dyskrekcji lub z konieczności dodatkowo w jakimś nielegalnym browarze.

W ogóle nie przypominało wydrążonej w mokrych snach jaskini. Wystrojem wyciętym z najgorszych wzorców belle epoque sprawiało wrażenie najlepszego kasyna w Monte Carlo. Zakazanego, niedostępnego dla zwykłych śmiertelników miejsca, gdzie można spektakularnie przegrać to, co inni wygrywali płacąc za to sowicie. Niekiedy nawet własnym życiem przekonując się równocześnie, jak mało jest ono warte, jak bardzo jest marne, wymiennie wymienne na srebrny bilon lub skarbowe obligacje. Ogromne rzeźbione dębowe stoły na lwich nogach, perskie dywany na ścianach, sufitach i podłogach, na których zalegały wielkie otomany, skórzane szezlongi, srebrne samowary, góry porcelany, portrety nobliwych przodków, rzeźby cherubinków, a pośrodku dwie mosiężne kadzie. Niestety obie puste.

Przy starych, drewnianych stołach siedziało kilka rozwarstwionych społecznie grup lirycznie licznych. Moskwa tłumaczy dla jasności, kto jest kim w tym bałaganie:

— Tutaj po prawej siedzi ŻAK (Żydowska Armia Krajowa), SyN (Syjonistyczni Nacjonałiści) i ŻONa (Żydowska Organizacja Narodowa) od niedawna w ścisłym Sojuszu Rewizjonistycznych Syjonistów. Na lewo od nich zakwita czerwony ŻAL (Żydowska Armia Ludowa), następnie poważny ŻART (Żydowska Akcja Rewolucjonistów Trockistów) oraz podobny ideowo SOS

(Syjonistyczna Organizacja Socjalistyczna) wywodzące swój rodowód pośrednio z miejscowego Bundu. Na końcu obszernego, knajpianego pomieszczenia w stylu przytulnej monachijskiej piwiarni zdolnej pomieścić 1300 nietrzeźwych osób pochylony nad jakimiś papierami, zapewne równie tajnymi, co skrupulatnymi planami przyszłych akcji siedział gotowy do ataku oddział ŻAB (Żydowskiej Akcji Bezpośredniej), desperaci, ideowi fanatycy od najgorszej roboty. Suicide commando. Wszyscy zebrani zarówno w grupach, jak i osobno byli ze sobą tożsami w równym stopniu, co i odmienni. Różnica w każdym przypadku była podobna. Dzielili ich ideologiczna baza, ale łączyła praktyczna nadbudowa, wspólny cel — walka z wrogami narodu. Inaczej mówiąc, ponadpartyjny instynkt przetrwania lub bóg zemsty w trójcy jedyny, bezlitośnie skutecznie wrogów uśmiercający nie tylko samą swą silną wolą, lecz również zbrojnym czynem.

— Aaa zapomniałbym o Indianach — dodaje Moskwa. — Mamy kilku, jednego z plemienia Szaunisów niejakiego Satoka „Białe Pióro”, jedyne na świecie Indianina w wersji blond. Wygląda, jak dziecko czystej krwi aryjskiej wychowane przez borsuki ze Szwarzwaldu. Towarzyszy mu zawsze dwóch Paunisów, braci bliźniaków. Ako — Czerwona Twarz i Dako — Czarna Stopa. Osobliwe egzemplarze, rozmawiają z drzewami, sypiają z kozami, obgryzają korę, jedzą liście, znają język zwierzęcych ogonów, a ludzi, zwłaszcza mówiących po niemiecku wprost nienawidzą. Za komunistami też nie przepadają, choć czerwień jest im przecież bliska i powinna być wspólną przestrzenią tolerancji. Trzeba na nich uważać, lecz oni nie często tu bywają. Mają chroniczny lęk przed zamkniętymi pomieszczeniami i murowanymi budowlami, a widok rozpędzonego samochodu uruchamia w nich gotowość do walki wręcz. Grasują w okolicznych lasach konkurując o palmę pierwszeństwa w zawodach na zabijanie Niemców z oddziałem „Szalonego Majora”. Skalpują wszystkie owłosione i umundurowane istoty, jakie napotkają, nie znam lepszych nożowników, łuczników i zwiadowców. Wyobraźcie sobie, że gubią tropy, poruszając się przez wiele kilometrów tyłem, a zasięg łuku jest identyczny z zasięgiem ruskiej pepeszy. Nasz zaufany szewc opracował nawet dla nich specjalne buty z obcasem z przodu, żeby nie musieli się tak męczyć, ale oni uznali to za głupi pomysł, zostając przy chodzie tyłem jako bliższym ludzkiej naturze. Potrafią też płynąć pod prąd rwącej rzeki, cały czas pozostając pod wodą, oddychając godzinami przez trzciniową słomkę. Dodatkowo jako bliźniaki sprawiają wrażenie, że potrafią być w dwóch różnych miejscach równocześnie, oczywiście będąc osobno i pod warunkiem, że ktoś nie posiada wiedzy o ich jednojajowym rodowodzie. Informacje, że ktoś został zaatakowany przez Indianina w puszczy kozienickiej, a w tym samym czasie identyczny Indianin dokonał ataku w rejonie Solca nad Wisłą są na porządku dziennym. Prawdziwa dezinformacja utrudniająca ich pojmanie, tworząca legendę o nadnaturalnych mocach Czerwonej Twarzy z Czarną Stopą, często nazywanych Czerwoną Stopą i Czarną Twarzą. Działają w ramach brygady świętokrzyskiej, ale mają dużą swobodę pod warunkiem, że przynoszą skalpy wraz z nieśmiertelnikami. To najlepsi nożownicy, tropiciele i garbarze. Potrafią wyfiletować człowieka w godzinę, a ludzkie gówno w lesie wyczują na kilometr z dokładnością do kilku centymetrów.

W świetle nowych faktów bohater Kiplinga to jednak za mało. W kategorii literackiego absurdu ta wyprawa ociera się już perwersyjnie o nogawki Karola Maya. Członkowie tej ekspedycji muskani są już delikatnie jego niemieckimi mustaszami francuskiego muszkietera i orlim piórem Winnetou. Czują się w tej sytuacji nieco zdezorientowani. Skrycie obserwowani, wzięci na muszkę sztucera pensylwańskiego przez „Grzmocącą Rękę” Old Shaterhanda, który rozpoznał w nich zwiadowców plemienia Ogallala i za chwilę jedna kula przeszły dwa serca, a następnie przystąpi do rzeźniczej pracy 36 centymetrowy traperski nóż z rękojeścią z poroża jelenia, który przepowiadał przyszłość. Poruszają się po cienkiej granicy między snem a jawą, gdzieś pomiędzy światem rzeczywistym, a tym wyobrażonym, znanym i obcym. Wystarczy jeden krok w złą stronę i już następuje magnetyczne zwarcie dwóch różnych biegunów, w ludzkim katalizatorze mieszają się dwa odrębne porządki, udając monokulturowe. Odróżnić je od siebie potrafi jedynie doświadczony szaman lub trup.

— Jak widzicie Żydzi jak nikt inny potrafią się dogadać w zasadzie z każdym kto będzie w stanie dogadać się z nimi. Potrafią połączyć wielbłądzie gówno ze złotem Azteków i zrobić z tego

materiału opokę, bombę, przedmiot kultu lub idee. U nas to nawet nie do pomyślenia. Za dużo uprzedzeń, pretensji, waśni. Kompromis to cenna umiejętność w walce o przetrwanie. Zdolność improwizacji oraz dostosowanie się do panujących warunków tworzy zwartą całość złożoną z pozornie niepasujących do siebie elementów. Wedle uznania w dowolnej kolejności można wrzucać je do jednego gara, skład mieszanki zawsze będzie identyczny. Po wymieszaniu powstaje różnobarwna, wyrazista, spójna masa. Polacy są jak cukier z buraka, Żydzi to słodka melasa — konstatuje gorzko Stefan Mosze Szłoma Moskwa.

W powietrzu tego osobliwego lochu, w gęstej zawieszynie siarkowodoru, mazutu, tlenu, karbidu, potu, naftaliny i gęsiego pipka unosił się kompilacyjny duch religijnej przedsiębiorczości, giełdowej numerologii, talmudycznych kredytów nisko oprocentowanej kabały i uduchowionych inwestycji obciążonych dużym ryzykiem wymiernych judeochrześcijańskich weksli. Zalaływało tanim, aczkolwiek efektownym, matematycznym mistycyzmem liczb, magicznymi kwadratami, regularnymi przychodami i rzadkimi odchodami, bankructwem nauki, tragiczną śmiesznością wiary, zabalsamowanymi trupami tradycji. Tani blichtr bogactwa był tylko cieniutką, pozłacaną warstwą, pod którą skrywała się tkanka właściwa, prawdziwa historia, długofalowy plan, bank inwestycyjny podłączony do skomplikowanego systemu nerwowego odżywianego kroplówką z ludzkiego mięsa i snów. Dokładna matryca podaży i popytu odciskająca swój wzór w każdej sferze ludzkiej aktywności. Dawidowa pieczęć wpisana w kwiat życia. Podziemie było też ogromnym arsenałem, swoistą polisą ubezpieczeniową, ostatecznym rozwiązaniem wszelkich zagrożeń. Po kampanii wrześniowej wojsko polskie zakopało w okolicznych lasach tyle broni i amunicji, że można by uzbroić duże afrykańskie państwo. Mosze Moskwa z nieocenioną pomocą Masady selektywnie wszystko wykopywał i zwoził w jedno miejsce. Mieli wszystko, Visy, Browningi, Mausery, jednego Hotchkissa, nawet karabin przeciwpancerny Ur, a Moskwa znając także miejsca ukrycia zapasów z Państwowej Fabryki Amunicji w Skarżysku zadbał o to, aby i towaru będącego niegdyś pod jego nadzorem nie zabrakło. W ciągu dwóch lat w szydlowieckich podziemiach zgromadzono takie ilości materiałów wybuchowych, że gdyby tylko jakaś wielka rada szalonych cadyków pod przewodnictwem równie charyzmatycznego, co obłąkanego Rebe zapragnęła nagle zadośćuczynienia za cierpienia narodu wybranego i podpałiła lont, to z Szydlowca zostałyby dymiący krater kilometrowej średnicy i podobnej głębokości. Wystarczyłaby jedna decyzja.

Moskwa podchodzi z Joskiem do żylastego mężczyzny w chrystusowym wieku oraz podobnej aparycji zdjętej wprost z krzyża na Golgocie. Jego twarz wyrażała charyzmatyczny fatalizm z odrobiną ascetycznego mistycyzmu godnego templariuszy, gniewu Chazarów i desperacji pierwszych poszukiwaczy złota nad Klondike. Wzrokiem przykuwa wzrok. W jego oczach stepowego wilka tli się oliwna lampka agresywnej czujności i niezaspokojony głód cierpienia. Za pasem widoczny Luger, marzenie każdego partyzanta i samobójcy. Jak widać, marzenia się spełniają. Ten charakterystyczny mężczyzna to Berl Stark mrocznie intrygujący dowódca komanda ŻAB. Omawiał właśnie nowe zadanie z fantomem człowieka, kolejnym kandydatem na żywy granat, gdy mu dyskretnie przeszkodzono. Na szczęście przerwał mu Josek, a jemu akurat wolno wiele. Kandydat na ofiarę może chwilę poczekać. Teraz jest czas, gdy nie brakuje chętnych samobójczych misji. Teraz jest czas ludzi, których życie jest nic niewarte i jedynie w ten sposób, świadomym aktem śmierci uzyskują pożądaną wartość dodaną wyróżniającą spośród tysięcy anonimów. Berl jest dysponentem właśnie tej wartości. Rozdziela ją gotowym na wszystko żywym trupom, których jest cała masa, a on jako koordynator działań zbrojnych w getcie przemienia ich bezsensowne życie w romantycznie usposobioną śmierć ideowego samobójcy. Zmienia ją w szlachetny akt bezpośredniego sprzeciwu kształtującego rzeczywistość, manifestującego potrzebę zmiany i niezgodę na obecną sytuację. Zarządza śmiercią i dba, aby żadna się nie zmarnowała, żeby każda kolejna była odpowiednio ukierunkowana i miała jak największy zasięg oddziaływania. Desperację, rezygnację, wszystkie racje i nacje wykorzystywał do osiągnięcia celu. I choć w ostatnim czasie nastąpiła znaczna dewaluacja śmierci jako karty przetargowej to potraktowana bardziej instrumentalnie, jako nośnik reklamujący trwogę jest wciąż warta uwagi, warta tego, żeby

w nią inwestować i poświęcić jej całą uwagę czyniąc z niej antytezę powszechnej tendencji. Śmierć w rozumieniu Starka zasługuje na to, aby poświęcić jej marne życie. Traktując ją jak oręż, można w pożyteczny i efektywny sposób wykorzystać jej zabójczy urok do osiągnięcia wyższego celu. Zasiewając dodatkowo paniczny lęk pociągnąć za sobą unicestwienie wielu zapiekłych wrogów ludu wybranego, podkopać ich fundament nienawiści wykonany ze zbrojonego betonu. Komando ŻAB to elita. Nie każdy może zostać tu męczennikiem i zginąć w samobójczym ataku. Trzeba się wykazać, mieć predyspozycje. Przejść odpowiednie szkolenia i testy. Trzeba być odpowiednio zmotywowanym. Berl musi zobaczyć, że kandydatowi naprawdę zależy. Nie tyle na śmierci, bo ta jako wydarzenie całkowicie naturalne zupełnie spowszedniała i nie robi już na nikim wrażenia, tak jak kiedyś, ile na efekcie, na zasięgu aktu desperacji. Ważna jest kreatywność oraz zaangażowanie w wykonywane zadanie. Pełne oddanie. Zresztą taka śmierć to w swoisty sposób pewien luksus, wyróżnienie, przywilej dostępny nielicznym. Komfort wyboru. Mało kto ma teraz wybór.

Witają się chłodno, przez moment rozmawiają, zerkając co chwila na oczekujących gości oświetlonych skąpym światłem białych, przygasających co kilka sekund żarówek w próżni zawieszonych, hałaśliwie rozżarzonych wolframowych drutów. Przybysze kojarzą się Berlowi z egzotycznym trio na przykład delegacją z ambasady Abisynii. Latynoski dyplomata Wons, uzależniona od używek małpa w tweedowym garniturze i zdezorientowany attache kulturalny, czyli fałszywy Leon z daleka kształt troglodyty na niewidzialnej uzależnień smyczy, z bliska smutek bezdomnego psiego pyska. Pasują tu idealnie do tego błazeńskiego blichtru cudów i osobliwości, do multikulturowego dziadostwa mieniącego się milionami barw cekinów, kokardek, cukierków, breloczków, obcych akcentów splotów opłotów loków kilimów banknotów w paszczach złotych zębów rekinów i łusek śledzi finansjery światowych kongresów giełd towarowych przemysłu ciężkiego sosu w lekkich porcelanowych sosjerkach gastronomicznej bohemy w majonezie gęstym musztardowym gazie w mosiężnych klamkach przy mahoniowych drzwiach pustych klasztorów gdańskich szaf i tęczyowych refleksjach smutnego konsjerżera mrugającego porozumiewawczo do przydymionego fordansera tresera fryzjera frajera goja chuja na wakacyjnym urlopie w kolonialnym ukropie w forda pickupie na safari wyglądającego przez szybę na styku dwóch światów. Petenci na audyencji u Króla Cebuli. Oto oni, na kolana psy! — Tak Berl myśli.

Berl Stark, bohater z konstelacji dawidowych gwiazd w końcu poświęca przybyszom swą uwagę. Oddaje im ułamek swego cennego czasu. Schodzi na ziemię. Nie trudno być bohaterem w czasach gdy posiadanie mąki lub wypiekania chleba zagrożone jest utratą życia, a schowanie dziecka w szafie jest heroicznym czynem, ale to wcale nie umniejsza jego zasług, nie deprecjonuje jego znamienitej roli. Wręcz przeciwnie. Jego rola jest zasadnicza, symboliczna. Tak przynajmniej wygląda. Jakby przetrwał wszystkie problemy oraz narodowe fobie i znalazł sposób na oczyszczenie. Z pewnością był częścią tej siły, która dobra pragnąc, zło czyni. Zbliży się na odległość, w której pola elektromagnetyczne serc dostrajają się do jednakowego rytmu. Jego rytmu. On tu rządzi. Mierzy zakresy, waży problemy, nastawia metronomy, odpala lonty, otwiera butelki, ma klucze do zamkniętych drzwi. Ocenia, analizując dostępne dane określając co jest ważne, a co nie. Jest trochę jakby nieobecny niczym znużony syn boży na ziemi. Jakby jedną nogą oderwany od doczesności, jednocześnie funkcjonujący w dwóch wymiarach. W końcu wyciąga dłoń na powitanie, ścisną mocno prawicę, twardo z charakterem z siłą niepozostawiającą miejsca na wątpliwości z kim ma się do czynienia. Ma bardzo rosyjskie dłonie. Nie tam jakieś francuskie, romantycznie pizdowate, poetycznie wiotkie, urzędniczo burżuazyjne lepkie łapki. Te same dłonie były własnością Tołstoja, Dostojewskiego, Bakunina. Wyrosłe z ziemi, mocno potrząsające światem, walące w pysk przeciwności losu. Zdolne do niszczenia gnuśnego ładu, do unicestwienia jednym gestem całej podłości drobnomieszczańskiej moralności i wielkopańskiej wyniosłości, a jednocześnie tkliwie delikatne i szlachetnie solidne. Dłonie, dla których skonstruowano rewolwer i wieczne pióro. Dłonie listopadowej nocy, męskiej wrażliwości i nieludzkiej przemocy. Mentorsko wyrozumiałe, mądre, twarde, gdy trzeba karzące, kochające, waleczne, wskrzeszające kaznodziei palce, znachora, kurwiarza, żołnierza, ojca i męża. Odbierające poród, zamykające oczy

nieboszczykowi, głaszczące po głowie chore na tyfus dziecko lub zdychającego, zapchlonego kundla. Owijające życie w całun rozpaczki powolnej pielęgnacji paliatywnej śmierci. Łamiące konwenanse i szczęki, zrywające kajdany i gorsety. Nigdy niepogodzone z losem, ponad historycznym chaosem i rewolucyjnym patosem. Prawica pracowita i sumienna, wyrobniczo monolityczna i patriotycznie polska. Lewica sennie żydowska, zabarwiona podskórnie sepią historycznej tragedii, filozoficznym zwątpieniem wyrażająca trudne pytania, poszukująca odpowiedzi na intelektualnej pustyni bez początku i końca, bezideowo balansująca na granicy nauki i mistyki, nerwowy niepokój budząca, szorstka i nieprzejednana jak średniowiecze. Te dłonie to zwierciadła duszy jego. To pieczęć, którą stygmatyzuje przyjaciół i wrogów. Pierwszy kontakt poznawczy Leon zaczyna właśnie od jego dłoni porażających i od razu wie z kim ma do czynienia, od razu poczuł przypływ witalnej energii wraz z nieodpartą chęcią odrąbania tych pięknie drogocennych, zasnanych, złotych dłoni. Może to trofeum zaspokoiliby choć na chwilę stłamszone na przestrzeni lat barbarzyństwo.

Stark wyzwala energię u innych. Sam jest czystą energią skumulowaną przez wieki ciężkiej pogardy. Energią pozyskaną w procesie spalania pokory. Widząc zdumione zainteresowanie własną osobą i lekki dyskomfort wywołany przez niecodzienne mimo wszystko okolicznościach czuje się w obowiązku przerwać cierpienia dociekliwości. Wyprzedzając ewentualne, elokwentne pytania postanawia udzielić kilku podstawowych informacji, które być może zniwelują odrobinę poczucie dezorientacji. Oswoją zagubienie tak nieporadnie skrywane pod pozorem pewności siebie, że samo patrzenie na tych klaunów jest bolesnym doświadczeniem, które trzeba czym prędzej przerwać. Przerzywa zatem milczenie.

— Wyjaśnijmy coś sobie panowie. My tu nie uważamy, że cierpienie wymazuje grzechy. Wroga nie czynimy przyjacielem. Tak myślą ci na górze. Im są niezbędne miraż, pośrednicy w zbawieniu. My to odrzucamy w całości. Oni mają tam swoje kino „Iluzja”. My mamy tutaj ładunki wybuchowe i desperacje. Odsądzają nas od czci i wiary, lecz to właśnie jest nasza ofiara, bronimy ich prawa do wygodnej naiwności, bronimy ich prawa do osądzania naszych czynów. Jesteśmy bandażem na rany zadane im przez Boga. Prowadzimy tu racjonalne przedsięwzięcie zarządzające strachem, ryzykiem, niebezpieczeństwem oraz grzesznikami. Dokonujemy ich selekcji oraz modyfikacji w zakresie użyteczności. Jednym ujmujemy zbędnych znaczeń, innym dodajemy, wedle zapotrzebowania. Wady zmieniamy w zalety, których nam ostatnio chronicznie brakuje. Dlatego, tak niezbędna jest wydajna gospodarka odpadami. Nie obowiązują nas zakazy ani normy. Nie ogranicza nas nic, co mogłoby nas uspić, spętać i otepić. Taki wymóg czasów. Oni tam — wskazuje palcem wskazującym na sklepienie wykute nad głowami — są, jak krzaki, zapuszczają korzenie, produkują tlen, reprodukują swoje kopie. My tutaj na dole żyjemy się ich korzeniami, ale tam, na ich niebie jesteśmy jak ptaki. Ptaki srają na krzaki. Na powierzchni większość żyje w nieświadomości, a ja mogę w każdej chwili przerwać ich sen. Mogę wyrwać ich z letargu, sprawić, że przebudzenie będzie ostatnią rzeczą, jaką uczynią przed śmiercią zaraz po olśnieniu ujawniającym prawdę, zaraz po przekroczeniu progu zrozumienia. Prawda dziś nikogo nie obchodzi, jest zbyt przerażająca, aby można było ją tak po prostu zaakceptować, handlować nią, jak cebulą. Trzeba całych pokoleń do transformacji ludzkiej wrażliwości. Dla nas wojna to renesans, szansa na przebudzenie. No dobra, dość tego pieprzenia, pokażcie co tam dla nas macie — powiada na zakończenie Berl Stark, człowiek z błyskiem sześcioramiennych gwiazd w oczach z kamiennego węgla.

Moskwa z Wonssem prezentują w całej okazałości „świnie”. Leon prowadzi instruktaz, omawia co i jak. Wszystko dobrze pamięta. Pokazuje, instruuje, omawia zasady bezpieczeństwa, procedury odbezpieczania i zabezpieczania zaworów. W 30 minut wszyscy zainteresowani są przeszkoleni w zakresie ataku gazem bojowym w bezpośredniej emisji.

— No dobrze, a teraz pokażcie nam chemika — proponuje kapitan po skończonej prezentacji.

Harish Goswami „chemik” zwany przez podziemne dzieci „małą, mądrą małpą” dzieli w swej celi piętrowe łóżko z kupcem bławatnym z Królewca, którego traktuje jak swego spowiednika, może

dlatego, że kupiec bławatny z Królewca głównie milczy w oczekiwaniu na swoją kolej do ewakuacji za „wielką wodę” do „ziemi obiecanej” albo jeszcze dalej do jakiegoś raję dla kupców bławatnych z Królewca. Póki co przychodzi czas na Harisha. Musi się pożegnać. Wychodzi pierwszy, jest ważniejszy. Przychodzi po niego jeden z widmowych ludzi Starka i rozkazuje się spakować. Nie trwa to długo, rzeczy jak czasu jest niewiele.

Tylko Moskwę zna, tylko Moskwie ufa. Starka zna od niedawna, ale jeszcze mu nie ufa, podobnie jak Mahometowi. Wierzy w zapewnienia, słów słucha, rozumie, ale nie ufa. Dystansuje się od objawionych prawd i uniwersalizmu na poziomie jambów i ameb. Powoli z wilgotnego mroku się wyłania. Jakiś taki niepozorny, niepewny, w ogóle za mały na wielkiego człowieka. Brzydki owszem, jak na geniusza przystało, ale to trochę za mało, aby od pierwszych chwil traktować go poważnie z szacunkiem, na jaki zasługuje jego wiedza. Wygląda zupełnie, jak karzeł skrzyżowany z małpą, jak efekt jakiegoś nieudanego biologicznego eksperymentu na wyspie doktora Moreau. Do kompletu brakuje tylko kobiety-pantery. Zmienił się trochę przez te dwa lata pod powierzchnią ziemi, zmarniał, wyliniał, skreciał, zestarzał się, z wolna zaczął się już staczać w stronę karykatury krasnoluda. Wydawać by się mogło, że pod ziemią czas biegnie szybciej. Jednak chyba wolniej. Im bliżej punktu ciężkości ziemi tym pełny obrót jest mniejszy. W jądrze ziemi w centralnym punkcie teoretycznie czas powinien się zatrzymać. Cóż miałyby tam niby odmierzać? Swój bezruch. Wieczność to brak ruchu, permanentny spoczynek wewnątrz zatopionego w bursztynie kwiatu lotosu. Sama świadomość życia na wirującej kuli napawa śmiertelnym przerażeniem, nie wspominając o mdłościach towarzyszących nawet braminicznej medytacji zen.

— Zabieramy pana w bezpieczne miejsce (jakby to, w którym jest teraz, było niebezpieczne i jakby w ogóle istniało gdziekolwiek jakieś bezpieczne).

W rzeczywistości wcale nie chodzi o jego bezpieczeństwo. Zostanie przekazany temu, kto zaoferował najwięcej. Czeka go teraz długa podróż na wschód, a potem może na zachód, w zależności. Kto wie. Być może będzie kartą przetargową jakiegoś aktu kapitulacji lub pokojowych negocjacji. Leon zastanawia się, ile jest wart ten kudłaty pokrak, ten mini diabełek dla którego marnuje właśnie swój urlop, bezpowrotnie traci wolny czas.

Harish chorował na hipertrichozę, rzadką chorobę polegającą na nadmiernym owłosieniu całego ciała. Obnosił na swym wątłym ciele syndrom wilkołaka podobnie jak król Jerzy VI Windsor swą koronę, bez dumy i zadowolenia, ale też bez wstrętu i wstydu, taka konieczność wymuszona przez niezależne od woli wyjątkowe okoliczności, do których uciążliwości na przestrzeni lat zdołał przywyknąć i zdołał w pełni je zaakceptować. Poza tym było mu cieplej niż innym, co okazało się zbawienne w tym kraju, gdzie zima jest naprawdę tym, czym powinna być z encyklopedycznej definicji zima. Mrozy, śniegi, zawieje i zamiecie. Można zniknąć w zaspie jak na bezludnej wyspie. Czasami wydawało mu się, że ma owłosione nawet myśli, że włosy wyrastają mu nie tylko na zewnątrz, ale także do wewnątrz. O włosy dbał, mył, podcinał i czesał. Zajmowało mu to więcej czasu niż innym, ale przyzwyczyił się. Pewnym pocieszeniem była dla niego go myśl, że nigdy nie będzie łysy. Gęste włosy pokrywały wszystko z wyjątkiem stóp i wewnętrznych części dłoni. Cały był porośnięty zdrowym, gęstym włosiem, żeby nie powiedzieć sierścią, ale to byłoby nieludzkie.

— Gdzie reszta rzeczy? To wszystko? — Docieka zmartwiony możliwością otrzymania niepełnowartościowego „towaru” Wons, gdy okazuje się, że Harish nie ma ze sobą zbyt wielu rzeczy. Nie, żeby pragnął dźwigać jego walizy, oczywiście, że przecież Leon to wszystko by nosił. „Chemik”, „mała mądra małpa” ma tylko jedną starą walizkę z rzeczami osobistymi i jedną tekturową teczkę z czerwoną tasiemką zawiązaną w kokardkę, podczas gdy Wons spodziewał się co najmniej jednej solidnej wojskowej skrzyni.

— Tylko jedna tekturowa teczka? Gdzie reszta? — Wyraża w pytaniu swoje zdziwienie kapitan.

— Nie ma, spalona. Była, nie ma — uświadamia Berl.

— Jak to nie ma, spalona?! — niedowierza Wons

— Ta teczka to wszystko. Reszta jest zakopana. On wie gdzie. Poza tym on wszystko ma w głowie. Tak jest bezpieczniej. Głowa to jego polisa ubezpieczeniowa — dodaje Stark.

Umiarkowanie aktywna do tej pory Mimi przeciska się do przodu, przepychając między biodrem Leona a kolanem Wonsa. Podchodzi do Harisha na odległość zaspokojenia ciekawości, odległość, z której dokładnie mogłaby policzyć wszystkie włoski jego brwi, a w przypadku Harisza to nie byłoby łatwe zadanie. Przygląda się chwilę wnikliwie. Podaje mu łapę swą włochatą. Elektryczny dotyk na peryferiach znanego świata. On rewanżuje się tym samym, wyciągając dłoń swą prawą ku jej łapie prawie dłoni. Ulega wrażeniu, że dotyka żywego lustra. Najodpowiedniejszą oprawą dla tego wydarzenia, dla tego gestu byłoby oko Michała Anioła wydłubane dłutem mistrza w Kaplicy Sykstyńskiej. Tylko malarz tego formatu co on mógłby oddać w całej pełni głębokie małpiego serca poruszenia.

Harish i Mimi są na pierwszy rzut oka tacy sami, nierozpoznawalni. Pan Troglodytes i pan Harish. Różnią się drobnymi szczegółami, garderobą i nawykami żywieniowymi. Małpa wiadomo oprócz zwykłych uzależnień lubi banany, „Chemik” bananów nie cierpi, woli cierpkie haritaki, owoce boga Shivy. Wons oczyma wyobraźni widzi już kilka ciekawych możliwości, jakie stwarza ten fakt. To duże ułatwienie, choć może też wynikać z tej sytuacji wiele komplikacji. Tego się zupełnie nie spodziewał.

Koniec potwierdził jego początek — Talmud.

Oddech śpiącego koszmaru. Tchnienie o zapachu mokrego torfu, przykre i ciężkie jak zatrucie sromotnikiem. Mdły moloch spoczywający w kamiennym labiryncie przygnieciony tysiącem atmosfer powoli budzi się z letargu. Wygłodniały zażąda ofiary, połamie nogi i ręce, wyrwie serce, jelita wywlecze. Pożre wszystko, całą nędzę i strach, bogactwo i radość, skórę, kości, włosy i podroby w paszczy przemieli. Nic nie zostanie na jutro. Nie ma jutra w domu Pomerantzów. Złe przeczucie miesza się z pszenną mąką i nocą wypieka nielegalną macę. Nie zaspokoi ona niestety głodu demona, nawet z dodatkiem krwi chrześcijańskiego dziecka, nic z tego, to zdecydowanie za mało. Stary Pomerantz ledwo zasnął, a już się obudził, czuwając z niepokojem rozbieganym w głowie z zamętem w fermentie duszy płochliwej, skrytej w brodzie siwej. Było jeszcze ciemno, gdy na horyzoncie pojawił się on, człowiek w białych rękawiczkach, gładkolicy pan życia zwiastujący renesansową śmierć. Okrągła twarz zlicowana z najgorszymi z możliwych obawami. Demon z ludobójstwem wytatuowanym na przegubach dłoni. Duże liczby. Sine tatuaże. Nie oszczędzi nikogo. Karmi się kobietami, starcami i dziećmi. Jego władza, wasza śmierć. Jego oddech wasz strach. Góry butów, okularów, stosy włosów i zębów. Nadchodzi. Wszystko widzi. Zostało zaledwie kilka godzin. Wokół śmierzdzi zwierzęcym strachem i ludzką ciekawością zza firanek złą. Już wie. Nie doczeka spełnienia snu, tuż po przebudzeniu zginie. Żałuje, że doktor Diamont nie pozwolił mu umrzeć na zapalenie płuc w zeszłym roku. Dokładnie za rok powiesi się w celi radomskiego więzienia będącego połączeniem kościoła i aresztu śledczego. Przekleństwem Pomerantzów jest to, że pamiętają tylko te sny tonące w oceanie ludzkich krzywd. Innych sobie nie przypominają. Ta sytuacja zmierza ku końcowi.

Plaskota wpada do domu przy Bóźniczej 6, jak huragan, piorun kulisty lub stado zdziczałych świń niemalże wrywając z zawiasami drzwi. Ignoruje zupełnie ostrzeżenie o tyfusie naklejone na frontowej ścianie. Plakat krzyczy — Uwaga! Żydzi Wszy Tyfus Plamisty! Plaskota wie, że w większości przypadków to oszustwo mające na celu odstraszenie intruza. Marginalnie to jednak czasami fakt więc trochę ryzykuje. Zaryzykuje. Kipi, ma zagrożenie w dupie. Sam jest zagrożeniem. W tym przypadku taką decyzję podejmuje jego urażona duma. Jest w towarzystwie dwóch polskich debili obciążonych dziedzicznie grubą fałdą na czole i jeszcze grubszą na karku. Wynaturzonych przez tysiącletnią dietę opartą na pęczaku, grochu i brukwi. Uzbrojonych w sierp

i młotek, krążących wokół planety Plaskota niczym dwa usiane kraterami księżycy nazwane przez astronomów Świętko i Szmytke.

Starzec przy stole odruchowo spojrział w stronę korytarza i drzwi w głębi, za którymi kryły się schody prowadzące do piwnicy, niby odruchowo próbując to ukryć pod ledwo zauważalnym zakłopotaniem. Czujny na takie gesty Plaskota natychmiast wychwycił jego mimowolnie wędrujący wzrok i odczytał go poprawnie. Detektywistyczna intuicja zaraz skieruje jego kroki zgodnie ze wskazaniem tego drogowskazu. Nie wyczuwa podstępu, nie przypuszcza nawet, że to może być śmiertelna pułapka. Nie może się jednak pozbyć wrażenia, że pozostałe osoby patrzą na niego, jak na mięso wiszące na haku u rzeźnika. Nie z respektem, jak na kogoś, kto dużo może a jeszcze więcej robi, bez szacunku, na który zasługuje jego funkcja, w dusznej atmosferze wyczuwa jedynie bojaźliwą pogardę o zapachu potu i pleśni. Szuka jednak jednoznacznego potwierdzenia, swej intuicji więc pyta.

— Gdzie oni są?! — Wie, że tu są. Dowiedział się w Judenracie — Mów parszywy Żydzie! — Uderza starca kolbą w usta, gdy ten próbuje wstać i wypowiedzieć jakieś słowa. Plaskota nie chciał go wcale słuchać. Nie miał zamiaru wdychać odoru jego słów. Szukał tylko pretekstu do zadania ciosu. Ojciec Joska upada, bezradny leży bez ruchu zalany krwią baranka. Dom jest teraz naznaczony krwią. Śmierć przejdzie obok. Pesach.

Zwalisty żandarm łapie za upięte w kok przeplatane siwizną włosy matkę Joska i prowadzi ją przed sobą w stronę piwnicy. Rozkazuje wskazać ukryte przejście do jak sądzi podziemnego bunkra, których widział już kilka w tych plugawych norach wzdłuż ulicy Radomskiej. Szuka wejścia do kryjówki, w której ma nadzieję znaleźć nielegalne towary, a może nawet kosztowności. Stara kobieta pokornie wskazuje zamaskowane przejście na niższy poziom. Plaskota odpycha ją na stertę zakurzonych gazet i książek pokrytych grzybicą autorów. W ciasnym, stromym korytarzu zatraskują się za nimi zamaskowane drzwi, szybko i głośno odcinając dopływ świeżego powietrza, światła, pewności siebie. Za plecami słychać zgrzytliwie nerwowy dźwięk, szcęk przekręcanego w zamku klucza. Nozdrza i płuca wypełnia piwniczny chłód paniczny wzrastający w pułapce w strachu klatce. Plaskotę ze swymi pretorianami spowiły ciemności oceanicznej ciszy. W naturalnym odruchu solidarnie chcą się natychmiast wycofać, ale solidne drzwi niweczą ten zamiar skutecznie. Jedyna droga wiedzie schodami w dół. Tertium non datur. Nie ma ucieczki. Zejście. Todesfall.

Na dole czekał już widzący w ciemnościach Josek. Głodny kot morderca, przycajony za węglem z obnażoną, gotową na wszystko klingą i zgodną z liniami papilarnymi bukową rękojeścią doskonale dopasowaną przez rzemieślnika chiromantę do zamiarów głowy i topografii mocnej, wyćwiczonej dłoni. Czujny, napięty i pewny. Czterdzieści pchnięć nożem na minutę równa się czterdziestu kłutym ranom tułowia, głowy oraz szyi. W powietrzu słychać świst ostrza i mlaskanie mięsa, którym towarzyszą niewyobrażalne jęki i krzyki charczące, bulgoczące, gasnące. Deszcz hemoglobiny spryskuje obficie twarze. Ta minuta wydawała się Plaskocie nieskończoną nawałnicą wściekłego bólu. Otrzymał też kilka przypadkowych ciosów młotkiem w głowę od walącego na oślep Świętka miotającego się chaotycznie w spotęgowanym krzykami Plaskoty przerażeniu i poczuciu śmiertelnego zagrożenia wspinającego się zimnym dreszczem na szybkich tysiącach owadzych nóg biegnących wzdłuż autostrady kręgosłupa niewidomego i zaplątującego się we włosach na głowie, wwiercającego się przez uszy do wnętrza pnia mózgu. Jemu Josek także poświęca nie więcej niż minutę swego cennego zainteresowania, autentycznego zaangażowania. Analogicznie tyle samo czasu wystarczy kolejnemu klientowi, łamiącemu paznokcie i kości na ścianie oraz drzwiach pośród raniących palce drzazg i rozpaczliwych wezwań o pomoc matki boskiej częstochowskiej i wszystkich świętych głuchych na takie krzykliwe prośby. Nie robią one na Josku najmniejszego wrażenia. Robi swoje, ślepy na krzywdę i głuchy na rozpacz, winnym wymierza zasłużoną karę. Jego zaangażowanie robi wrażenie na wycieczce, a robiąc swoje ciągle myśli o rychłym powrocie na swój materac i zanurzeniu się w kolejnych częściach „Kobiety o aksamitnym naszyjniku”. Zupełnie się chłopak zatracił w literaturze się zatracił chłopaku.

Leon stoi gdzieś z tyłu, z niepokojem spoziera, przywiera plecami do chłodnej ściany, pod opuszkami palców wyczuwa jej śliską, skroploną oziębłość. Wraz z Wonsem, Moskwą, Harishem i Mimi poza linią bezpieczeństwa wskazaną przez tego dziwnego żydowskiego rzeźnika przewodnika oczekuje na rychły koniec tego spektaklu. Strefa bezpieczeństwa jest poza zasięgiem jego ramion. Przekroczenie tej granicy grozi w tej chwili śmiercią. Wszyscy są zdyscyplinowani, w stanie zagrożenia wykonują jego polecenia, gdy są grzeczni, są bezpieczni w tym obcym środowisku całkowicie podporządkowani jego woli w strachu niewoli. To, co zrobił z tymi ludźmi w tak krótkim czasie, naprawdę robi przerażające wrażenie, nawet małpa nie może ukryć niemego podziwu.

— Oni rzeczywiście są „inni”. To niebezpieczna, obca rasa. Inaczej wyglądają, mówią, myślą, działają. Inaczej żyją, zabijają i umierają. — Myśli Leon, analizując na bieżąco wydarzenia.

Woń ciepłej krwi zmieszanej z wilgocią śliny piwnicznego brudu przenika przez śluzówkę, jak aromat rytualnego uboju, choć atmosfera jest mniej podniosła, sytuacyjnie jednak bardziej uzasadniona. W zupełnych ciemnościach zapach zastępuje wzrok, wyobraźnia jest niezastąpiona i bardzo szczegółowa. Po wszystkim w ciszy pulsujących tętnic, stygnących ścięgien i powoli wiotczących włókien mięśni Jasek zezwala na zapalenie latarek. Przyklejeni do ściany podziwiają w żółtej poświacie jego dzieło w dadaistycznym duchu ujmujące antyczne piękno ludzkiej brzydoty. Można to ująć w dwa słowa: makabryczna dekompozycja. Po chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi u szczytu schodów zostają otwarte i na końcu astralnie stromych schodów będących sceną przeszłej już tragedii w drugim akcie pojawia się dwóch miejscowych rzeźmieszków, Parch z Kutasem, po których w tak zwanym międzyczasie pobiegł młodszy brat Joska szybki, jak strzała Apaczów Lejzorek.

— Jesu! Jasek, ale bałaganu narobiłeś. Co ciebie znowu opętało? Nie mogłeś chwilę poczekać! Zrobilibyśmy to w bardziej cywilizowany sposób — wyrażają swoją nieukrywaną dezaprobatę, widząc ogrom zbędnych, nieprecyzyjnych cięć i zbyt płytkich ran kłutych, biorąc się do roboty, której można było sobie przecież oszczędzić.

— Przeprasza. Było ciemno — tłumaczy się nieśmiało trochę jak zawstydzone dziecko nieco zakłopotany Jasek.

Reszta wycieczki przyklejona ciągle do ściany obserwuje w milczeniu, jak wciągają zmasakrowane zwłoki za nogi głębiej do piwnicy i dalej do jednego z ukrytych tuneli i dalej, dalej gdzieś tam w odległe echo ginącej czarnej głębi nieodkrytej tajemnicy. Jeden po drugim wałęsają łbami o schody, zostawiając za sobą na kamiennej podłodze śliski, czerwony dywan, a na nim pojedyncze buty, trzy buty, a każdy inny, ostatni ślad. Znikają. Trzy żywe cienie i trzech martwi celebryci, którzy przydadzą się już tylko na półprodukty. W podziemnych manufakturach sprawnie działający system odzysku ostatecznie ich spożytkuje. Nic się nie zmarnuje. Nie zostanie po nich najmniejszy choćby ślad. Miękkie części oraz resztki krwi przerobią na wędliny i farsz do knyszy. Chrzątki i skóry wiadomo, salcesony i abazury. Tłuszcz przyda się na świece i mydło. Kości przemielą na mączkę, wypełniacz do „szarej szynki” sprzedawanej z powodzeniem w „szarej strefie” na górze. Przetwórstwo ma ogromną przyszłość. Na zarzut kanibalizmu odpowie ekonomia i materializm dialektyczny albo Feuerbach.

Rudy folksdojcz i jego polskie przydupasy Antek Świętko i Zygmunt Szmytko byli w miasteczku dobrze znani i niezbyt lubiani. Zwłaszcza w nowej sytuacji pod nowymi rządami na służbie u nowych Panów dawali się mocno we znaki lokalnej w większości żydowskiej społeczności. Mieli wolną i zarazem ciężką rękę, co w połączeniu z konstrukcją psychiczną ameby dawało przykre efekty. Zabójstwa, rabunki, gwałty, handel łzami dziecka. Rutyna szmalcownika. Taki porządek dnia. Trójca święta, którą płomiennie czcili. Wierzyli, że te czyny doprowadzą do zbawienia nie tylko ich osobiście, ale także osoby, nad którymi się pastwili no i dodatkowo uwolnią przecież ludzkość od niepożądanego elementu. Uzdrowią społeczeństwo. Ogólnie robili dużo złego to znaczy dużo dobrego. Bez relatywizowania. W zgodzie z symetrią osiową i taoistyczną równowagą. Powinno ich zatem spotkać dużo dobrego od ludzi zalanych przez nich

oceanem złych uczynków, chyba że akurat byli martwi ci ludzie oczywiście lub jak Mojżesz potrafili stąpać po wodzie. I tak się w istocie stało. Nieboszczycy wskutek ich żarliwej aktywności upomnieli się o nich (o ich dusze?) poprzez żywych, którzy nigdy nie zapomnieli. Żydzi pielęgnują w sobie pamięć o cierpieniu jak mało kto. Sprawiedliwość ich dopadła za pośrednictwem przypadku i nieocenionej pomocy Joska, wykonawcy boskich wyroków. Zostali niespodziewanie wyzwoleni od doczesnych życia niedogodności, a światłość wiekuista zaczęła im świecić w wiecznym pokoju. Przynajmniej teoretycznie w najbardziej optymistycznej wersji. Kwestia pozagrobowej zemsty pozostaje drugorzędną karą trzeciego wymiaru rozpatrywaną w pierwszej instancji i przysługuje od niej odwołanie do instancji drugiej. Josek zna procedury i wie, że w tym procesie zostanie ulaskawiony i zasiądzie po lewicy tronu Ojca, albowiem prawicę już dawno temu zajął inny mściciel, Jozua z Nazaretu. Josek z Szydłowca jest lewą ręką Boga, jest Judexem, super bohaterem posiadającym nadnaturalne właściwości i niewyobrażalne moce. Ma misję i wypełnia ją każdego dnia, a każdy dzień jest dla niego próby dniem, aż do chwili, gdy powstanie o nim komiks.

Po wszystkim wszedł po schodach na górę. Matka płakała, kuzyni żyłastymi dłońmi zakrywali ciekawskim dzieciom oczy. Na podłodze leżał on nie on. Zupełnie niepodobny do siebie. Obcy ojciec jedyny. Zamykając jego dłoń w klatce dłoni własnych, rzekł przez powstrzymywane na tamie żalu ły.

— Spokojnie tato, zamknij oczy i płyń.

— Nie umiem pływać synu — odpowiedział z trudem, dławiąc się własną krwią, a w oczach jego powoli gasło światło, teżał zmierzch spokoju. Słońce schowało się za wielką wodą. Światło zgasło, na drugim brzegu mignawszy trzy razy. Koniec.

— Abraham też nie umiał pływać i dożył 175 lat — pomyślał Josek. Dlaczego śmierć bliskich wydaje się taka nieprawdopodobna, obca, a śmierć obcych taka rzeczywista i bliska? Stajesz naprzeciwko bestii i nagle okazuje się, że obok ciebie jest ktoś jeszcze bardziej bezbronny niż ty, na przykład nowo narodzone dziecko albo bezradny starzec, co wtedy? Bestia szczyrzy kły. Nadal jesteś takim bezkompromisowym, walecznym bohaterem patriotycznym?

Z osobliwym poczuciem ulgi ekspedycja grotolazów opuszcza dom przy Bóźniczej 6, zmykając za sobą drzwi, za którymi pozostał w swej przykrej formie ten mroczny, podziemny sztetl, gęsty, brunatny krwiobieg molocha z gliny i piaskowca. Żegnają się zdawkowo, pospiesznie z Mosze tożsamością Moskwy, który ma nadzieję na rychłe wyzwolenie w jakimkolwiek wymiarze zmieniającym jego obecny status na jakikolwiek inny lepszy, bo gorszego już być nie może. Patrzą smutno na klęczącego nad zwłokami ojca Joska próbując wymknąć się dyskretnie w rodzącej się żałobie. Wons, Leon, Mimi z Harishem i ten ponury typ Rogal upychają się ciasno w aucie i odjeżdżają, zostawiając za plecami znikające kontury tego specyficznie tajemniczego, wielopoziomowo rozwarstwowanego miasteczka. Wszyscy chcą czym prędzej zapomnieć o wydarzeniach, których byli katalizatorami. Wyjeżdżają niezatrzymywani przez nikogo, ignorując zupełnie konieczność wykonania pamiątkowej fotografii na masywnym konarze wiekowego dębu rosnącego na zamkowej wyspie, pochylającego się nad okalającą zamek fosą. Kto zrobi sobie na nim zdjęcie ten na pewno jeszcze kiedyś tu powróci. Na rogatek miasta żegna ich drewniana, zbita z desek przydrożna tablica „Szydłowiec. Kreishauptmannschaft Radom. Distrikt Radom”.

Po wyjeździe z miasta pasażerów Fiata 508 dwa dni po tym, jak w niewyjaśnionych okolicznościach zaginął bezpowrotnie niezastąpiony wachtmeister Plaskota wraz ze swymi przydupasami, miasteczko nawiedziło okryte złą sławą komando Fuchsa z Erichem Kapke we własnej wypielegnowanej różaną wodą i migdałowym mleczkiem osobie. Białe, atlasowe rękawiczki odegrały, jak zwykle perfekcyjnie swą teatralnie epizodyczną rolę pozostawione niczym niedbały podpis artysty na przemyślanym układzie nagich ciał. Komando Fuchsa było czymś w rodzaju objazdowej, teatralnej trupy, z tą różnicą, że nikt nie przychodził dobrowolnie na ich występy, bo i repertuar był dość dramatycznie przerażający, wręcz zabójczy. Więc to oni byli zmuszeni do poszukiwania publiczności, z którą wchodzili następnie w dosyć bliską interakcję. Nawiedzali wybrańców, których następnie formowali w grupy i sprawnie dokonywali cudu

przemienienia. Zamieniali ich w trupy, w stosy nagich ciał o pergaminowej, szaro pomarszczonej skórze, w mdłą ludzką masę wydzielającą trujące jady i nieprzyjemne odory przez wszystkie otwory. Było to jednak tylko preludium przed prawdziwą nawałnicą, która kondensowała się już nad zardzewiałymi dachami Szydłowca. Jej niszczycielska moc już nie mogła się doczekać chwili, gdy przetoczy się przez życie większości mieszkańców, którzy z dnia na dzień staną się popiołem oczekującym przynajmniej jedną wieczność na swego Feniksa. Zostaną bezimienną liczbą w arkuszach księgowych w zakładce „Zagłada”.

— Jak wyginą gołębie, nas też czeka zagłada — mawiał stary ojciec młodego Pomerantza. We wrześnie nie było już gołębi, ojca też już nie było. I tylko ten, który odnalazł tajemniczy rytm cellar door i podążył za nim, był uratowany, jego wyrok został czasowo odroczone.

Tuż za Chlewiskami w lesie w poprzek drogi stoi auto blokujące przejazd. Charakterystyczny kanciasty kształt zgarbionego Quasimodo wśród automobili zostaje prawidłowo zidentyfikowany jako niemiecki Kubelwagen we własnej, groteskowej formie. Marian jest zmuszony wyhamować rozpędzonego do prędkości światła fiata. Nie uda się przejechać nie usunąwszy przeszkody. Ktoś musi wysiąść i ocenić sytuację z bliska. I tu rodzi się problem. Istnieje ryzyko, że to klasyczna partyzancka pułapka. Z daleka widać trzy ciała, jedno w aucie i dwa w pewnym oddaleniu, leżą na trawie, twarzami w dół na poboczu. Może to być zasadzka. W każdej chwili te trupy mogą w cudowny sposób ożyć, budząc przerażenie, śmierć i zniszczenie. Zaczną pruć z ukrytych automatów i spadnie na głowy ołowiany deszcz lub grad granatów. Wysiada Leon. No bo kto inny? Powoli zaczyna rozumieć swoją rolę. Najmniej wie, więc najwięcej może, czyli musi. Jest mało ważny i dlatego właśnie bardzo potrzebny. Leon niezbędny. W razie wpadki lub śmierci organizacja niewiele traci w przeciwieństwie do niego tracącego wszystko. W każdym innym przypadku zawsze zyskuje.

— Daj mu swojego Visa — rozkazuje Wons Marianowi, który z nieukrywaną niechęcią mamrocząc niezrozumiale pod nosem będzie musiał użyczyć Leonowi swej broni. W przeciwnym wypadku sam musiałby się tam pofatygować wraz ze swoim sentymentalnym pistoletem. Odbezpieczony Vis doskonale leży w dłoni, lecz daje fałszywe poczucie pewności siebie, tej potężnej siły sprzed przegranej wojny. Totemiczny fetysz odpędza złe myśli, dodaje miękkim krokom gatunkowego ciężaru, daje pole do przeciwdziałania zagrożeniom ograniczone jedynie polem ostrzału. Gdzieś w oddali słychać gasnące dźwięki ludowej piosenki. Ginią za ścianą drzew melodyjne słowa pieśni, którą niosą tajemniczy leśni ludzie w oddalającym się echu odbitym od szumiących na wietrze drzew i suchego mchu.

Hej, idem w las, piórko mi się migoce,

hej, idem w las, dudni ziemia, ka kroce.

Ka wywinem ciupazeckom, krew cerwonom wytoce.

Ka obyrtne siekiereckom, krew mi spod nóg bulgoce.[9]

Jezu, są tu także górale. Lecz myli się Leon. To nie górale, tylko miejscowi, prawie autochtoni, Indianie jakkolwiek dziwnie to brzmi w powiecie koneckim. Ale to szczerza prawda, zaraz się o tym przekona i pomyśli — Boże! To jednak prawda z tymi Indianami w powiecie koneckim. — Uwierzy, gdy zobaczy równe pasy skóry zdarte z ich ofiar głów. Silnik jeszcze ciepły i krew jeszcze ciepła wsiąka w obcą ofiarom ziemię, odżywiając mchy i porosty dalece tragedii obce. Kierowca zwisa bezwiednie przez otwarte drzwi, dolny zawias trochę skrzypi, dwaj pozostali pasażerowie podjęli próbę ucieczki. Nieskuteczną, kule ich dogoniły. Wszyscy są bardzo młodzi i naprawdę martwi jakby można było być martwym nieprawdzwie, są wiotcy i oskalpowani, pozbawieni broni, butów i spodni. Martwa młodość robi przykre wrażenie, jest jednak różnica między zgonem starca a śmiercią młodzieńca. Leon daje znaki, że wszystko gra, to znaczy, że brak niebezpieczeństwa,

choć to karkołomna teza podczas wojny. Gotowego do akcji Visa z ulgą zabezpiecza. Kapral z kapitanem spokojnie wysiadają. Teraz komfortowo mogą to uczynić. Mimi śpi, a „Chemik” przez szybę podziwia atawistyczną intensywność eksplodującej wokół zieleni, zastanawiając się nad zsyntetyzowaniem chlorofilu i nieświadomością procesów biochemicznych u istot ludzkich. Absorpcja fotonów przez chlorofil jest nieskończenie zachłanna, porównywalnie do człowieczej głupoty, którą potrafił docenić chyba tylko Erazm z Rotterdamu. Świergot ptaków i szum drzew na wietrze brzmi jak złowieszczy duet. Co za bałagan. Trzeba usunąć ten złom z drogi i oddalić się czym prędzej byle dalej od tego miejsca.

— Oskalpowani — ocenia fachowo rany na głowach trzech niemieckich żołnierzy Marian stary traper świętokrzyskiej prerii, który w międzyczasie zdążył już przetrząsnąć kieszenie ofiar w poszukiwaniu czegokolwiek przydatnego w barterowym handlu oraz poprosił o zwrot Visa. Nie omieszkał też w międzyczasie opróżnić pęcherza z nadwyżek moczu, zostawiając wyszczone dziury w suchej ściółce.

— To Indianie, o których wspominał Moskwa? — Wons kieruje pytanie do zorientowanego w każdym temacie Mariana.

— Tak, lepiej stąd pryskajmy, bo będzie na nas, albo te dzikusy nie daj boże tu powrócą — cedzi przez zęby, zapinając pospiesznie guziki u spodni, mocząc sobie kciuk i palec serdeczny lewej ręki kropelkami moczu pozostałymi na nieobrzezonym, pomarszczonym jak trąba słonia napletku.

Szybko wciągają okaleczone ciała głębiej w chaszczę, a kubelwagena spychają w leśną przecinłę, nakrywając gałęziami, tak aby nie był widoczny z drogi.

— Zawsze trzeba sprzątać po tych brudasach — marudzi spocony Marian.

Po 15 kilometrach leśnych dróg, łagodnych łuków i skrętów pod kątem prostym pod wieczór docierają w końcu do majątku w Rzurowie. Dzisiejsza podróż była najdłuższą, jaką Leon odbył na najkrótszym odcinku drogi. 30 kilometrów licząc od Skarżyska pokonanych w 30 godzin. W końcu jednak jego stopy dotknęły modrzewiowych stopni schodów matecznika Wonsa. Modrzewiowy dworek polski robił przyjemne wrażenie. Dawał poczucie rodzinnego spokoju i bezpieczeństwa. Otoczony parkiem wiekowych dębów, czarnoleskich lip, zacnych grabów, wiązów i oczywiście modrzewi sprawiał wrażenie jakby w cieniu drzew skrywała się staropolska legenda. Tajemnica proporcjonalna do ilości drewna. Dużo historycznej pamięci zamkniętej w słojach drzew. Od razu widać, że gospodarze tego majątku kochali drewno, być może, aby zrównoważyć tą dendrologiczną fobią byli także właścicielami pobliskiej odlewni żelaza. Wycieczka, której Leon jest nieodłączną częścią, wygląda naprawdę imponująco. Choć dworek w Rzurowie gościł już wiele indywiduów prezentujących rozmaity stopień zezwierzęcenia nie mówiąc już o corocznych najazdach złotej ordy rozwydrzonych harcerzy z Piotrkowa Trybunalskiego, to jednak objazdowe mini zoo w składzie: kapral goryl, dwie małpy, makak i treser Wons prezentuje się na ich tle dość osobliwie. Niemniej Ptolemeusz w swym rodzinnym domu jest zawsze mile widziany. Często przecież zwykł przyjeżdżać w ciekawym towarzystwie ku uciechu zachwyconej matki oraz milcząco ostentacyjnej dezaprobaty ojca (świeć Panie nad jego skołataną duszą) i radości trzech myśliwskich psów rosyjskich chartów Atosa, Portosa i Aramisa, które jeszcze nigdy nie były na polowaniu. I tylko kocur zwany Kardynałem reagował na te wydarzenia z właściwym sobie stoickim spokojem, otoczony nimbem obojętności dobywającej się z jego zmrużonych znużonego demona oczu. Rzurow pachnie żelazem, rozgrzanym piecem hutniczym, sezonowanym drewnem, mokrą deszczem sierścią, ciepłym chlebem, dymem z wieczornych ognisk, kaczeńcami, kwitnącym głógiem i pyłącą lipą, sitowiem, pieczoną rybą i poranną mgłą na zapomnianych przez mapy wrzosowiskach. Tutaj inaczej płynie czas nawleczony na nitki babiego lata, rozrzedzony w hipertrofii tlenu skroplonego w klarowną esencję życia. Oddech pęcznieje w płucach, niemal je rozrywając. Zieleń jest tak soczysta, że można nią napełniać butelki i zaspokajać pragnienie. Płomień świecy przypomina lot ćmy, naturalnie smutny, tragicznie piękny. Zsiadłe mleko, chleb z pieca, nalewka z derenia, ziemniaki z koperkiem, wszystko smakuje swojsko, wyraziście, bardziej intensywne. Ludzie jakby mniej

skorodowani podłością, codziennym utrapieniem i niecodzienną sytuacją geopolityczną. Czas stanął w miejscu, zatrzymał się w latach dwudziestych na spróchniałym moście nad mętną Szabasówką. Niektórzy nawet nie zauważyli, że nie ma już rządu w Warszawie, zresztą dla nich nigdy go nie było. Sanacja, endecja jeden chuj. Byłe nie wsadzali nosa w nie swoje sprawy, jak ten minister, co to kazał wszystkie płoty na niebiesko malować, ponoć dla higieny. Rzuców nie jest jednak uroczyskiem zagubionym pośród kniei na krańcu świata. Ma stały kontakt z wielkim światem decyzji kształtujących ludzkie losy, przenikają go fale radiowe o częstotliwości 6 MHz emitowane z radiostacji zainstalowanej na zakurzonego strychu modrzewiowego dworku. Radiostację obsługiwała piękna radiotelegrafistka Basia o grubym warkoczu i chudych palcach. Przyjeżdżała dwa razy w tygodniu niby do posługi z pobliskich Chlewisk. Gnała jak strzała na niezawodnej kolarzówce wyprodukowanej przed wojną w radomskim „Łuczniku”.

Zamek w Chlewiskach określany także jako pałac Odrowążów przez złośliwych zwany „chlewem pańskim” w Generalnej Guberni awansował na obiekt specjalny wojskowego przeznaczenia. Pałacyk został kwaterą główną generała von Klinkerhoffena dowódcy 65 Regimentu Landeschützen, świeżo przybyłego wprost z Bretanii, z Château des Rohan w Pontivy. Kolejny zacny lokator wymagający odpowiedniej oprawy do prawidłowego funkcjonowania. Większość dywanów pasowała idealnie do jego generalskich lampasów. Służba wywiadowcza donosiła dzięki informatorowi ze służby zamkowej, że na nowych włościach generała odbędzie się wystawny raut, który zaszczyca swą obecnością gubernator Karl Lasch oraz gruppenfuhrer Fritz Katzmann, dowódca SS i policji w dystrykcie radomskim. Dwie wyjątkowe kanalie. Na pierwszy rzut oka widać było, że są kompilacją chciwości i złych intencji. Ogólnie reprezentowali skończony zbiór wszystkiego, co w ludzkiej naturze najgorsze. Szczególnie ten drugi, wątrobiany typ z worami pod oczami dawał się we znaki członkom polskiego podziemia oraz żydowskiej diaspory. Nadarzała się zatem świetna okazja, aby upiec trzy pieczenie przy jednym ogniu. Dwie krwiste i jedną wysmażoną w kolorze feldgrau.

Zamachu z nieukrywaną przyjemnością i wielkim poczuciem obowiązku dokona suicide commando Starka. Choć chętnych było wielu i już prawie odbyło się głosowanie, ale zapobiegliwy Berl w porę przerwał te demokratyczne bzdury osobiście dokonując wyboru.

— Lasch będzie naszym Holofernesem z księgi Judyty. Naszym moralnym obowiązkiem jest pozbawienie go głowy — poinformował swoją zaufaną grupę dywersyjnych desperatów.

Wybrańcy są zachwyceni, jak dzieci, które mogą pobawić się nowymi zabawkami. W pocie czoła i wilgotnej ciasnocie przejdą 8 kilometrów podziemnym tunelem łączącym szydłowiecki zamek z pałacem Odrowążów. Pokonanie całej trasy zajmie prawie dobę. Nie będzie to łatwe zadanie, nie tylko ze względu na zawiłą topografię i duszny klimat zatopionych w egipskich ciemnościach podziemnych korytarzy. Szczególną uciążliwość sprawi przeciskanie się ze „świnia” na plecach przez wąskie przesmyki wydrążone w piaskowcu szarogłazowym. Niewątpliwy plus to niezauważalne przedostanie się do celu oraz niespodziewany, równie dyskretny, co podstępny atak. Plan jest prosty. Po przedostaniu się sekretnym przejściem do jednej z piwnic pałacu ze „świni” zostanie uwolniony zabójczy gaz. Ciepłe powietrze unoszące się w wysokich pałacowych komnatach, uciekając przez kanały wentylacyjne, wytwarza podciśnienie zasysające powietrze z niższych kondygnacji tym mocniej im większa jest różnica temperatur. W ten sposób gaz, a będzie to wspaniały fosgen we własnej bezkształtnej, zabójczej osobie zostanie naturalnie i zupełnie niepostrzeżenie rozprowadzony od piwnic aż po strych. Niestety wentylacja w pałacu to stara dobra robota wykonana przez profesjonalnego zduna, działa bez zarzutu, o czym będą mieli okazję przekonać się rozradowani na różnych kondygnacjach uczestnicy tego rautu. Szybko zmieniają swój status z honorowych gości na ofiary zamachu ku uciesze podziemnych istot o ziemistych cerach, oddychających w tym czasie zemstą przez filtry masek z grubą warstwą aktywnego węgla. Skrytych dwa metry pod dnem 13-metrowej, wyschniętej studni znajdującej się na dziedzińcu, do której nieszczęśliwie zakochani wrzucają karteczki z życzeniami spełnienia swych marzeń i odmiany fatalnego losu.

W jednym z piwnicznych pomieszczeń znajdujących się pod pałacową scenerią pięknych wewnątrz kunsztownej architektury czterech cichych zabójców rozkłada swoje śmiercionośne precjoza, diabelskie wynalazki. Wszyscy zakładają przeciwwgazowe maski i gumowane rękawice sięgające łokci. Wyglądają jak cztery wielkie mrówki o zawężonym polu widzenia. Stoją bezpośrednio pod otworem wentylacyjnym, a cug jest taki, że gdyby któryś z nich nosił tupecik, jarmułkę lub piuskę z pewnością musiałby się z nimi szybko pożegnać, zostałyby natychmiast zerwana. Na szczęście ani Berl, ani Josek, ani nawet Parch z Kutasem nie mają teraz nakryć głowy, jedyne, co mogą stracić to trochę łupieżu i kilka wszy. Berl powoli odkręca zawór w tyłku świnki. Niby nic się nie dzieje, a jednak dzieje się wiele, dla niektórych o wiele za wiele. Zachodzi poważna ingerencja w życiową przestrzeń, niedostrzegalna bezpośrednio z poziomu ludzkiej percepcji. Czuć napięcie w naelektryzowanym emocjami powietrzu. Fosgen błyskawicznie zostaje wyssany gdzieś do góry, do raju niczego nieświadomych głupców. Teraz trzeba chwilę poczekać, aż zaczną działać, aż roztoczy swój nieodparty, zabójczy urok, przeniknie eteryczność w większości ewangelickich dusz. Wiadomo, Josek z kolegami woleliby zadziałać bardziej klasycznymi metodami. Z dużą dozą kontaktu bezpośredniego, z adrenaliną, z mlaskaniem mięsa, chrzęstem kości, błyskiem ostrza, z gatunkowym ciężarem grzechu i solidnym poczuciem winy, z którym później w samotności trzeba stoczyć drugą, duchową batalię topiąc dyskomfort i pytania o sens życia w hektolitrach alkoholu. Woleliby zacząć się gdzieś za drzwiami w kuchni lub toalecie i spuścić wprost na białe, podłogowe płytki trochę aryjskiej krwi, która spokojnie spłynęłaby przez kratkę ściekową wprost do kloaki. Tam jej miejsce. Za 15 minut Josek i tak będzie musiał iść na górę po krętych schodach ze swym nożem wytrawnego rzeźnika, ale wtedy będzie już po wszystkim. Nie będzie mógł liczyć choćby na odrobinę czegoś, co przypominałoby choćby cień interakcji. Nie będzie niczego, z czym mógłby skonfrontować wysoki poziom adrenaliny. Wszyscy będą sparaliżowanymi kukiełkami, workami ze skóry, wypełnionymi mięsem, tłuszczem, podrobami i kośćmi. Jedyna trudność to odszukanie wśród zwłok ciała Holofernesa. Potem już łatwizna, precyzyjne cięcie nożem między kręgami szyjnymi pozwoli na szybkie odcięcie głowy. Josek musi ją owinać w swoje ulubione gazety, po czym spakować do plecaka i zabrać ze sobą. Uzyskanie tego trofeum kończy zadanie.

Gruppenführer Fritz Katzmann opuścił komnatę rycerską między zającem po wiedeńsku a roladą z prosięcia w auszpiku. Nie przepadał za tego rodzaju spotkaniami. Męczyły go spędy przesiąknięte wyperfumowanymi dostatkami konwenansami i zdawkowymi pseudoartystycznymi uprzejmościami wciśniętymi w świecące pantofelki i białe marynarki ze złotymi guzikami i spodnie z czerwonymi lampasami. Czuł się nieswojo, jakby był na orgii u Kaliguli. Musiał odetchnąć papierosem. Złapać dystans. Spalić wstręt. Pech chciał, że było to akurat w chwili cichego ataku. Wymknął się dyskretnie, miękkim krokiem stąpając po czerwonym dywanie prowadzącym wprost na oświetlony pełnią księżyca dziedziniec. Chciał pooddychać nocnym powietrzem polskiej wsi tak rozległe podległej, upajać się cichym spokojem narodowo obojętnych gwiazd i zapalić samotnego papierosa dla przywrócenia eterycznie zachwianej równowagi. Przygnębiały go te męskie rozmowy na swobodne tematy dowolne, męczyła teoria, nie mniej niż fantazje frontowych praktyków. Lubił konkrety, był pragmatykiem, co nie przeszkadzało mu być również introwertycznym samotnikiem. Wracając odświeżony do balowej sali mentalnej tortury, spostrzegł przez przeszklone drzwi dziwne zachowanie padających w konwulsjach na podłogę ludzi. Przerażający był to widok. Jedni chlustali wymiotami, inni obficie srali i szczali w miejscu, w którym stali. Padali niczym martwe muchy na parapet spryskane niezwykle skutecznym środkiem owadobójczym. Widział podobny obrazek w zeszłym roku w Sonnenstain podczas prezentacji ciężarówki Magirusa przerobionej na komorę gazową do likwidacji materiału biologicznego dwutlenkiem węgla. Zapamiętał, że jedyną niedogodnością tej metody było późniejsze sprzątanie ciężarówki. Wtedy podczas prezentacji zabito pensjonariuszy pobliskiego szpitala dotkniętych płaswicą Huntingtona. Zachowywali się podobnie, jak ci tutaj. Lecz tamta sytuacja była w tamtych okolicznościach naturalną konsekwencją wdrażanego planu, to, co się działo tutaj wydawało się zupełnie oderwanym od rzeczywistości niewytłumaczalnym nieprawdopodobieństwem. Sądził, że jest świadkiem otrucia zebranych gości przez gastronomicznych sabotażystów. W przeczuciu, że jest to tylko preludium przed prawdziwym

atakiem w klasycznym stylu przy użyciu broni białej i palnej postanowił poszukać kryjówek. Mógłby pobiec przez park jakieś 200 metrów do stajni Platara, gdzie stacjonował oddział wartowniczy, ale pokonanie tej trasy w tych okolicznościach wydawało się być wyjątkowo głupim pomysłem, za którym kryło się śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wiadomo zresztą, czy żołnierze na wartowni nie przedstawiają takiego samego obrazka, co goście w pałacu. Udał się więc czym prędzej w stronę przeciwną do północnego skrzydła pałacu z doklejoną kaplicą „świętego Jacka z pierogami” patrona ludzi zagrożonych utonięciem. Była zdecydowanie bliżej. Katzmann poczuł jakby jakiś tajemniczy duch go tam przywoływał. Nigdy wcześniej tam nie był, ale wiedział doskonale gdzie skierować swe kroki. Na szczęście była otwarta. Przekroczył jej progi i zaryglował drzwi od środka. Tutaj przeczekaj najgorsze. Noc trwała wieczność. Pomieszczenie przypominało wnętrze solidnego panzerwerk na linii Zygfryda. Przytulna i bezpieczna asceza opieczętowana krucyfiksem. Gruppenführer SS Katzmann padł na kolana, a nie miał tego w zwyczaju. Jednak w tym miejscu, w samotności śmiertelnego zagrożenia wydawało mu się to zupełnie naturalnym odruchem. Z głębi jego trzewi dobywał się jednostajny dźwięk, który wyciekając przez wąskie usta uzyskiwał postać mantry.

— Ave Maria gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu, Benedicta in mulieribus, Et benedictus fructus ventris tui Jesus Ave Maria gratia plena — popłynęła modlitwa wraz ze słonymi łzami w ograniczonej grubymi murami bezpiecznej przestrzeni kaplicy.

Domeną Jacka Odrowąża było wskrzeszanie topielców (lecz tylko młodych) oraz uzdrawianie z febry i dyzenterii poprzez objawienia mocy wiary w ducha świętego. Oprócz tego przywracał wiarę w życie doczesne, sycąc głodnych własnej roboty pierogami. Z tego był znany. Teraz nie wiadomo dlaczego zaopiekował się esesmanem Katzmannem, być może był w tym jakiś boski zamysł, wielki plan niezrozumiały dla maluczkich. Niesławny gruppenführer po tym wydarzeniu stał się sławny. Popularny inaczej niż dotychczas, bo w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Cudowne ocalenie pozwoliło mu nawrócić się na wiarę ojców. Skruszony wrócił na łono kościoła. I to był niewątpliwy plus. Jego duchowy renesans. Wierzył, że uratowała go Matka Boża Jackowa, podobnie jak ją samą w Kijowie przed Tatarami psimi synami uratował onegdaj Jacek. Gruppenführer za jego przykładem wkrótce wyruszył na Ukrainę. W kaplicy tak naprawdę od wieków panowała duszna atmosfera eucharystycznego kultu. Powietrze w tym miejscu można było kroić nożem, było datowane na rok 1605. Pachniało wojną o Inflanty i papieżem Klemensem VIII. Ciężka atmosfera. Dlatego właśnie Fritz Katzmann ocalał, przez brak wentylacji i trochę przez skłonność do samotnych papierosów. Sam wolał wersję ocalenia przez anioła stróża.

Tamtego pamiętnego dnia kilka dni przed Bożym Ciałem św. Jacek został także nieformalnym patronem ludzi nieskutecznie zagazowanych, a było ich na bożym świecie niewiele. Fritz Katzmann wierząc, że wiekuista opatrność czuwa nad jego losem, pozwalał sobie na większą niż dotychczas dezynwolturę i nieokiełznaną łacińską kulturą brawurę. Stał się na swój uroczy sposób nieobliczalny. Budził niepokój. Generała von Klinkerhoffena wraz z całym jego sztabem przeniosły na zasłużony, acz przedwczesny spoczynek do Walhalli muskularne blond Walkirie. Pogrzeby były uroczyste i kwieciste, jak przemowy gauleiterów. Gubernator Lasch stracił bezpowrotnie głowę oraz każdy rodzaj posiadanej władzy. Trzeba przyznać, że bez głowy nie wyglądał już tak dobrze, zwłaszcza w swych wełnianych garniturach i kaszmirowych swetrach. Najdroższa żona Lilly została wreszcie upragnioną wdową, zacieśniając jeszcze bardziej swoją dziwną zażyłość z Brigitte Frank, która wdową szalenie, lecz bezskutecznie pragnęła zostać. Generalnego Gubernatora Hansa Franka bardziej przeraziło okaleczone ciało i podstępny sposób, w jaki dokonano zamachu aniżeli osoba denata, który przed swym niespodziewanym zgonem zdążył jeszcze zbałamucić „Królową Polski” i „Nazi Frau” w osobie jego urodzivej w specyficzny niemiecki sposób żony Brigitte. W zasadzie zamachowcy z Chlewisk wyrządzili gubernatorowi przysługę, usuwając z jego życia upierdliwego szwagra i kochanka żony w jednej osobie. W gazowym obłoku podstępnego ataku zginęło ponad 21 osób w tym także pracujący w zamkowej kuchni bogu ducha winny informator. Trochę go szkoda, bo młody był bardzo, dodatkowo ideowo zaangażowany i przydatny nawet choć w sumie to dobrze, że zginął. Przynajmniej zaoszczędził sobie cierpień na torturach w kazamatkach

radomskiego gestapo. Trop się urywa. Ogólnie to raczej bez znaczenia kto i dlaczego, bo i tak przecież okupacyjne władze prewencyjnie zastosują odpowiedzialność zbiorową wśród lokalnej społeczności. Prawdziwi sprawcy pozostaną nieuchwytnymi fantomami zła, zupełnie anonimowi, choć Jasek pozostawił w lochu pewien trop. Wyrył nożem w ścianie słowo „Judex” wyszeptując:

— Zemsta należy do mnie.

Odwet spadł niczym grom z jasnego nieba dnia następnego. Oddziały SS i Policji przystąpiły do krwawej zemsty, z lubością pacyfikując okoliczne sioła, poszukując śladu sprawców. Nie szczędzili amunicji, obelg ani benzyny. Wybrańcy zostali rozstrzelani, a ci, którzy mieli mniej szczęścia, spalili się wraz z domostwami. Dwa tygodnie przed czasem rozpoczęło się gorące lato. Spirala nienawiści nakręciła się do granic wytrzymałości. Niemieccy okupanci i folksdojczce mutanci trzebili lasy z partyzantów, którzy z kolei, jak tylko mogli, uprzykrzali im życie zamieniając je w śmierć. Okoliczne chłopstwo cierpiało, nienawidząc po staropolsku jednych i wybacząc po chrześcijańsku drugim. Indianie też dodawali coś od siebie, propagując na leśnych duktach egzotycznie barwne okrucieństwo pozostające w pełnej zgodzie z własnymi, oryginalnymi wzorcami kulturowymi w kwestii tortur. Zaginiona głowa gubernatora Karla Lascha odnalazła się w poczekalni radomskiego dworca kolejowego tydzień później wewnątrz ładnie zapakowanego w szary papier pudełka. Głowa owinięta była w „Ilustrowany Kuryer Codzienny” z 25 czerwca 1930 roku, w którym obok informacji o nowych „chrupankach śmietankowych”, inwazji zgniłych śledzi na Gdynię i zwycięstwie hitlerowców w wyborach w Saksonii, można było zapoznać się z treścią artykułu „Świnia o ludzkiej głowie”. Na starannie zapakowanym pudełku leżał wykupiony bilet drugiej klasy na pociąg Reichsbahn z Radomia do Krakowa.

W Gajówce w leśnych ostępach, w połowie drogi między Długą Brzezina a Ruskim Brodem w 1939 roku 6 września wieczorową porą została ukryta zgniłozielona skrzynia. W środku znajdowała się dokumentacja techniczna nowego gazu bojowego, nad którym w PFA trwały zaawansowane prace. To była jedyna skrzynia, która nie pojechała z ewakuowaną dzień wcześniej fabryką na wschód do Włodzimierza Wołyńskiego. Właśnie ta skrzynia w bezchmurną noc z piątego czwartku na szósty piątek ciepłego czerwca 1941 roku, gdy kończyły się imieniny Bonifacego, a prawo świętowania uzyskał Gerard w świetle latarek i w pocie czoła została wydobyta przez zaufaną ekipę nieprofesjonalnych kopaczy i przetransportowana wozem konnym przez zawodowego woźnicę w miejsce zaimprovizowanego naprędce polowego lądowiska.

Gdy Leon walczył bohatersko z wrażeniem, że w samolocie zamiast Harisha siedzi Mimi, było już za późno na jakąkolwiek reakcję, choć tak naprawdę przestał ich odróżniać już jakiś czas temu, a poza tym nie miał ochoty na żadną umysłową aktywność. Po załadunku skrzyni i Harisha Wons niemalże wepchnął go do samolotu, samemu wskakując tuż za nim. Zatrzasnął właz i nie było już odwrotu. Nie było chwili na zastanowienie, rozważenie możliwości i konsekwencji. Nie było wyboru. Został ofiarą impulsu i starannie zaplanowanej akcji, która w międzyczasie uległa małej modyfikacji. Zdarza się. Podczas pospiesznego startu zapinając pasy, patrzy przez małe okienko masywnego Hudsona, jak w dole, na polanie pojawiają się złowrogie cienie wychodzące z lasu, żeby po chwili zniknąć w dymie dogasających ognisk. Ich obraz rozplywa się, jak obłany ciepłą wodą śnieg, tonie zalany czernią zalakowany pieczęcią gęstej nocy. Wraz z nimi znika nadzieja na rychły powrót do domu, do ukochanej Hanne, do normalności, tak, jak było w umowie. Spostrzega jeszcze w ostatniej chwili znajomą postać kaprała Rogala machającego prawą ręką w stronę samolotu, lewą przytrzymującego chwiejną małpę w garniturze.

— Co on taki zadowolony? — pyta sam siebie w myślach w niepokojących wątpliwościach.

— Kapral Rogal to jednak synonim nędznej kurwy jest. Wydaje się kretynowi, że ma chemika, boleśnie się rozczaruje. W nocy próbował ich zamienić, kazał się Hariszowi przebrać w ciuchy małpy, ale ja podmieniłem ich ponownie. Wyczułem skurwiela — Wons jakby słysząc pytanie odpowiada niepytany na wątpliwości Leona.

Kapral Rogal, aby ratować własną skórę, ale także w zemście inspirowanej kompleksem niższości i obietnicą lepszego życia wyspał Moskwę i całą znaną mu organizację. W domu przy Bóźnicznej 6 gestapo nie odnalazło jednak ani Moskwy, ani wejścia do labiryntu, ani zwłok folksdojczza Plaskoty, bo najzwyczajniej ich tam nie było. Dom zniknął wraz z mieszkańcami, pozostał jedynie podziemny labirynt gdzieś tam zasypany pod gruzami i wspomnienie obrastające kurzem miejskiej legendy. Dom spłonął, a jego mieszkańcy zasiedlili na krótko drewniane baraki Treblinki, o ile zdołali przeżyć samą podróż z biletami w jedną stronę, ku przyszłości nakreślonej wyraźnie przez Endlösung der Judenfrage.

Po pacyfikacji wsi Skłoby w odwecie za bestialski mord na trzech ważnych niemieckich oficerach i tuzinie mniej istotnych oraz po aresztowaniu dzierżawcy majątku w Rzurowie za współpracę z partyzantami, harcerzami i Indianami następny miał być ksiądz Kryński. W porę ostrzeżony zdołał jednak uciec do lasu ratując życie jako jeden z niewielu ocalałych podczas tej „wielkiej wyspy”. Kaprala Rogala jeszcze przed adwentem trafiła kula, a właściwie cztery. Trzy w korpus i jedna w czoło. Został zastrzelony na targu w Szydłowcu przez egzekutorów przebranych za wiejskie baby sprzedające ser i jajka. Poniósł zasłużoną karę. Wiele osób poniosło karę niezasłużoną. W pewnym sensie kary się zrównoważyły, jakościowo i ilościowo zachowując jednak swoją charakterystyczną odmienną.

— Ktoś mówi tu po polsku? — Zadaje głośno pytanie próbując przekrzyczeć hałas silników Leon po polsku w angielskim bombowcu — Albo chociaż po niemiecku — myśli po niemiecku w angielskim bombowcu.

— Nie krzycz! To nie ma sensu — krzyczy Wons.

Z kokpitu pilotów dobiega międzynarodowy śmiech, uniwersalny język odpowiadający na głupie pytania. Przy dźwięku silników ledwo słychać odpowiedź przeciskającą się przez metalicznie-mechaniczny hałas. W eterze odbijają się szczątki słów zagłuszanych wyteżoną pracą dwóch potężnych jednostek Pratt & Whitney o mocy 1200 koni mechanicznych każdy, pchających lub raczej wciągających na pułap przelotowy prawie 6 ton zwartych w masie samolotu Lockheed Hudson ze 148 dywizjonu RAFu.

— Witamy na pokładzie! — Wrzeszczy gładkoliccy mechanik, pyzaty chłopak z Małopolski wyrazisty, jak końskie zęby na targu w Skaryszewie. Okazuje się, że tylko samolot jest tu angielski, a w zasadzie amerykański, cała materia ożywiona operuje językiem „Pana Tadeusza” z niemiecką perfekcją. Hudson nie jest tak wygodny, jak jego pasażerski protoplasta Super Electra, którym Wons kilka razy latał na linii Warszawa — Lwów. Zamiast rzędów wygodnych foteli w wersji wojskowej zamontowano składaną wzdłuż rzędu okien niby ławkę niby polową pryczę, na przeciwległej ścianie powieszono spadochrony. Ptolemeusz balansując na cienkiej linie jawy i snu przypomina sobie, że w katastrofie takiego samolotu w barwach LOTu w 38 roku zginął w Rumunii jego przyjaciel jeszcze z czasów „Batorego” kpt. Olimpiusz Nartowski. Od razu poczuł się bardziej komfortowo. Z Olimpiuszem to była przyjaźń od pierwszego przedstawienia swoich imion. Byli niczym Szczepcio i Tońcio. Wzbudzali w gawiedzi plebejskie rozbawienie, ale raczej w tragicznym wymiarze, którego ukoronowaniem był ostatecznie los Olimpiusza roztrzaskanego na wzgórzu w sosnowym lesie Dorotea Latonica. Czasami wydaje się, że ktoś ma przed sobą przyszłość, gdy nagle okazuje się, że jego przyszłość miała jednak inne plany. Pech chciał, że akurat tego dnia nie leciał z nimi „Szczepcio”, który w ostatniej chwili zrezygnował tego dnia z feralnego lotu do Bukaresztu. Przynajmniej w ostatnich sekundach byłoby „ta joj” wesoło. Teraz Ptolemeusz ma szansę pójść, a raczej polecieć w ślady Olimpiusza. wystarczy uderzenie pioruna lub przetarta steru wysokości linka i lecą w dół awansując na ofiary katastrofy lotniczej. Nie wiadomo kiedy dotrą do celu, a tym bardziej, kiedy wrócą, trochę to niepokojąca, ta liczba niewiadomych. Na pokładzie są obecne także dwie metalowe skrzynie wykopane poprzedniej nocy w Gajówce w pobliżu Rzurowa w miejscu dokładnie opisanym przez Harisha.

— „Chemik” na pewno leci z nami? — Próbuje się upewnić Leon. Wons nie słyszy, widzi tylko ruch warg skierowanych w swoją stronę i odczytuje z nich treść.

— Nie słyszę! Mów głośniej! — Mówi, nie słysząc, spoglądając równocześnie w stronę małej, włochatej postaci w zielonym, kaszmirowym swetrze, brązowych spodniach i kaszkiecie, usadowionej naprzeciwko upewniając się w świetle czerwonej żarówki, że zawartość tego uniformu jest Harishem.

— Kurwa, sam już nie wiem! Mam wątpliwości. Są tacy podobni. Mam tylko nadzieję, że nasz geniusz od przebywania z prawdziwą małpą nie doznał regresu ewolucyjnego. Trochę pokrzyżowałyby nam to plany! — Dzieli się swoimi wątpliwościami i obawami.

Mimi źle znosi pobyt w małych, ciasnych pomieszczeniach odwrotnie niż Harish, który w takich ograniczonych przestrzeniach zwłaszcza ostatnio przebywać się przyzwyczaił. Nawet trochę polubił odkrywając w sobie prenatalne poczucie bezpieczeństwa. Im głębiej i ciaśniej, tym lepiej. Skoro teraz w tej owalnie ograniczonej przestrzeni nie panikuje tylko spokojnie siedzi, to musi być właśnie on. Jakże zdziwi się Marian i oficerowie abwehry, gdy w celu potwierdzenia tożsamości na przesłuchaniu w siedzibie radomskiego gestapo Mimi na krześle rozpostarta zaprezentuje w całej okazałości swe wdzięki, obnażając dżiąsła i wyraziste piękno swej pantroglodyckiej szczęki oraz wątpliwe powaby małpiej dupy urągającej majestatowi oficerów śledczych. W zwierzęcym, zwinnym szale postrąca im czapki z głów, pozrywa dystynkcje i odgryzie guziki, które wypluje prosto w ich zdumione twarze, zanim zostanie obezwładniona przez strażnika, byłego brunszwickiego rzeźnika.

Budzi się Harshi. Nie od razu uświadamia sobie, gdzie jest, jakby identyfikuje miejsce, będąc jeszcze we śnie. Powoli składa wszystkie coraz wyraźniejsze szczegóły w spójną, rozpoznawalną całość. Wnętrze samolotu. Wszyscy wokół śpią. Wszyscy oprócz pilota i radiooperatora rzecz jasna, ale oni siedzą nieco wyżej ukryci za metalową grodzią dzielącą kokpit od przestrzeni transportowej, więc się nie liczą. Oni chyba nigdy nie zasypiają, mają chirurgicznie usuwany ośrodek snu. Ciągłe czuwają, zatopieni w świecie automatyzmu procedur pilotażu i nawigacji. Nie myślą w ogóle o ładunku. O ludziach na pokładzie zawsze tak myślą. Ładunek, który trzeba dostarczyć we wskazane miejsce. Dwaj poznani w Szydłowcu dżentelmeni, którzy wydobyli go z podziemi, zupełnie odplynęli w objęciach zdradliwego Morfeusza. Zmęczeni, bo taki czas męczący. Śnięta eskorta. Ten o aparycji włoskiego alfonsa śpi snem zmęczonego biciem życiowego rekordu jebaki. Ten drugi, krępy wygląda trochę, jak martwe dziecko w makro skali, ofiara łódeczkowej śmierci, sprawia wrażenie zaginionej w lesie latorośli skandynawskich drwali. Harish dłuższą chwilę prześwieśla wzrokiem otoczenie. Jego uwagę przykuwa spadochron wiszący na przeciwległej ścianie. Najnowsza brytyjska konstrukcja dla oddziałów desantowych Type X nawet w laiku wzbudza zaufanie dobrze przemyślaną prostotą. Podchodzi do niego, chwilę studiuje z bliska po czym szybko zarzuca spadochron na plecy. Dopasowuje uprząż, ściąga paski, spina w centralnym zamku cztery klamry i zatrzaskuje metalowy uchwyt taśmy desantowej na karabińczyku w pobliżu drzwi, otwiera je i... zawahał się. Bezmiar przestrzeni w pierwszej chwili przeraża. Słyszy z tyłu krzyk alfonsa przebudzonego nagłym wtargnięciem chłodnego powietrza w jego nozdrza, który widząc, jak przez mgłę, co się zaraz może wydarzyć podejmuje desperacką próbę pochwycenia powietrznego uciekiniera, ale Harish zrobił krok naprzód i przepadł. Spadł. Do góry. Natychmiast porwał go pęd powietrza. W nicość zassał czarny chłód nocy. Poczul mocne szarpnięcie, nieznana dotąd fizyczna siła pochwyciła go za kark i rzuciła niczym szmacianą kukielką w nieznanym kierunku. Jakby porwała go powietrzna trąba i wyssała przez otwarte okno w sam środek oka cyklonu. Zniknął pod czaszą otwartego spadochronu. Przez chwilę słyszy jeszcze oddalający się hałas wysokoprężnych silników wysoko ponad swoją głową. Kątem oka spostrzega ginące bezpowrotnie w ciemności charakterystyczne, pionowe stateczniki zmierzającego konsekwentnie do wyznaczonego celu Hudsona. Roztrzęsiony, mocno wkurwiony Wons stojąc z rozdziawionym zdziwieniem w otwartych ustach drzwi, widzi nikoną powoli w mroku rozpostartą w czarnej przestrzeni nocnego chłodu białą czaszę spadochronu, białą plamę kłęski. Podmuch chłodnego wiatru prawie zrywa mu z twarzy wąsy, wali z otwartej dłoni w pysk, całkowicie go wybudza. Taka niespodzianka, kto by się spodziewał, że ta małpa przejmie inicjatywę. Nieprzewidywalnie nieprzyjemna sytuacja w rzeczywistym wymiarze totalna porażka.

— Na miejscu powiemy, że odmówił współpracy, jego akt ewidentnie o tym świadczy. Zamanifestował niezależność. Uciekł niewdzięcznik. Została nam przynajmniej dokumentacja. — Pociesza się Ptolemeusz w myślach skłębionych pośród burzowych chmur, patrząc na obudzonego, zziębniętego Leona próbującego zrozumieć, co się stało i jakie to niesie ze sobą konsekwencje.

Po dwóch latach spędzonych w ponurych piwnicach, wilgotnych kryptach i ciemnych katakumbach przestrzeni nocy otulającej szczelnie zewsząd Harisha wydaje się być nieskończona i obojętna wobec materii ożywionej, której Hari jest obecnie jedynym reprezentantem w tym bezmiarze smolistej samotności. W tej przestrzeni bez horyzontu odnosi osobliwe wrażenie, jakby wisiał nieruchomo, a wszystko wkoło mozolnie płynęło, przepływało przez jego ciało w górę i w dół, jakby kołysało się i przelewało błoto wewnątrz gigantycznej klepsydry. Nie odczuwa pędu, nie potrafi ocenić prędkości spadania ani odległości dzielącej go od ziemi, nie jest w stanie określić swego położenia względem gwiazdy polarnej. Niebo zasnuły chmury, poza tym czas spadochronu zupełnie przesłania widok u góry. Nie ma żadnego punktu odniesienia. Centralnym punktem wszechświata jest teraz on, sam. Pierwszy raz od lat odczuwa paniczną radość, która nie pozwala w spokoju cieszyć się wolnością. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie ma żadnych planów, żadnych harmonogramów. Nic.

Wyskoczył na wysokości 4 tysięcy metrów i spada z prędkością 6 metrów na sekundę. Przed nim około 11 minut swobodnego opadania, czyli wieczność w całkowitych ciemnościach w bezwymiarowej pustce aż do bolesnego przyziemienia w grawitacyjnym piekle Newtona. Wyskoczył nad obwodem Briańskim, gdzieś między Trubeckiem a Łokocią, twardo lądując w okolicach rzeki Desny. Szczęście, że nie w samej rzece. Z pływaniem u niego kiepsko. Szczęście mu sprzyja. Ale póki co, nie wie, gdzie się znajduje. Minie nieco czasu, zanim się zorientuje. Nie wie, czy to jeszcze Ukraina, czy może już Rosja. Nieważne. Z pewnością jest gdzieś w orientie i jest w pełni samodzielny po raz pierwszy od lat. Nie ma nikogo, kto mówi, co ma robić. Nikt nie składa propozycji nie do odrzucenia, nie organizuje życia w najdrobniejszych szczegółach, nie decyduje, szantażuje, nie podsuwa problemów i nie określa terminów na ich rozwiązanie. Nie ma roszczeń, planów, wyników. Nikt nie traktuje go protekcyjnie ani autorytarnie. To zupełnie nowa sytuacja, do której musi przywyknąć. Musi oswoić swoją wolność. Wszystko trzeba od podstaw przemyśleć, zreformować. Przeanalizować, dopasować, wypracować i wdrożyć nowe, własne procedury koegzystencji w nowych, zaimprovizowanych niespodziewanie warunkach. Wzywa zew natury. Dzikość serca z piersi radosny okrzyk wyrwa.